

Statek plag

Andre Norton

Książka II z Sargassowa planeta



calibre 0.9.27

STATEK PLAG

Przełożył: Paweł Kruk

Tytuł oryginału: Plague Ship

ROZDZIAŁ 1

PERFUMOWANA PLANETA

Dan Thorson, zastępca Szefa Ładowni na Królowej Słońca, statku kosmicznym należącym do Wolnych Pośredników z portem macierzystym na Ziemi, stał na środku ciasnawej łazienki statku, podczas gdy Rip Shannon, zastępca Astronawigatora i jego przełożony w Służbie Handlowej od około czterech lat, wcierał między okazale łopatki Dana olbrzymie ilości jakiejś mocno pachnącej maści. Małe pomieszczenie wypełniał ostry zapach, który Rip wciągał nosem, kiwając przy tym z uznaniem głową.

- Będziesz prawdopodobnie najpiękniej pachnącym Ziemianinem, jaki kiedykolwiek stanął na powierzchni Sargolu. - Jego miękka, trochę niewyraźna mowa przeszła w rubaszny chichot.

Dan kichnął i spróbował ocenić wyniki nacierania na swym barku.

- Czego to nie musimy robić dla Branży. - W jego uwadze dało się odczuć zażenowanie. - Dobrze to wetrzyj, muszę mieć pewność, że starczy na długo. Van twierdzi, że Salarikowie potrafią zagadać cię na amen nie mówiąc przy tym nic konkretnego. A my mamy siedzieć i wysłuchiwać, dopóki nie wyciągniemy od nich jasnej odpowiedzi.

Kichnął i potrząsnął głową. W tak ciasnym pomieszczeniu nawet przyjemny zapach trochę odurzał.

- Musieliśmy wybrać taki świat... Ciemne palce Ripa zastygły w bezruchu.

- Dan - odezwał się ostrzegawczo. - Nie mów nic przeciwko tej

wyprawie. Ustaliliśmy już to, a więc powinniśmy optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Dan jakby na przekór obstawał w myśli przy bardziej ponurej wizji najbliższej przyszłości.

- Jeśli - rzekł - ta propozycja z Sargolu zawiera istną galaktykę takich „jeśli”. Tobie łatwo tak mówić, wylądujesz i nie musisz uganiać się, pachnący niczym fabryka przypraw korzennych, zanim dogadasz się z jakimś tubylcem.

Rip postawił słój z kremem.

- Co świat to obyczaj - powtórzył utarte powiedzonko Branżowców. -

Ciesz się, że na tym akurat łatwo jest się przystosować. Przypomina mi się parę innych. No - zakończył masaż solidnym klepnięciem. - Równiutko cię wymazałem. Dobrze, że nie masz cielska Vana. By jego wysmarować, potrzeba co najmniej godziny, nawet z pomocą Franka. Twoje ubranie powinno być już wyparzone i gotowe.

Otworzył małą szafkę ścienną przeznaczoną do sterylizacji ubrań mogących ulec skażeniu w kontakcie z organizmami szkodliwymi dla Ziemi. Z jej wnętrza wydobył się obłok pary o tym samym korzennym zapachu.

Dan wyciągnął ostrożnie swój strój Branżowca. Gdy się ubierał, poczuł na skórze wilgoć brązowej jedwabistej tkaniny, z której był uszyty.

Na szczęście na Sargolu było ciepło. Kiedy stanie na jego czerwonej powierzchni tego ranka, żaden najmniejszy nawet ślad zdradzający jego pochodzenie spoza tego świata nie będzie mógł podrażnić wrażliwych

nozdrzy Salarików. Miał nadzieję, że przywyknie do tego. W końcu przechodził przez coś takiego po raz pierwszy. Nie potrafił jednak pozbyć się odczucia, że to wszystko jest bardzo głupie. Tyle tylko, że Rip miał rację - trzeba się przystosować do zwyczajów cudzoziemców albo przestać handlować. A wtedy musiałby robić rzeczy, które z pewnością o wiele bardziej doskwierałyby jego wybrednym gustom, których istnienia niewielu domyśla się w tym wysokim chudym ciele.

- Fe, wynoś się - odezwał się Ali Kamil, zastępca głównego mechanika. Na jego twarzy o zbyt regularnych rysach malował się wyraz olbrzymiego obrzydzenia, gdy machając ręką mijał Dana w korytarzu. Chcąc ulżyć powonieniu swego towarzysza, Dan przyśpieszył kroku w stronę lewej burty Królowej połączonej teraz rampą z powierzchnią Sargolu. Tu jednak zatrzymał się czekając na Van Rycka, który był Szefem Ładowni na statku i jego bezpośrednim przełożonym. Był wczesny ranek i Dan pozostawiając statek za sobą pozwolił, by świeży poranny wiatr szemrzący w błękitnozielonym trawiastym lesie uniósł ze sobą sporą dawkę jego chwilowej irytacji.

Ta część Sargolu pozbawiona była gór, najwyższymi zaś wzniesieniami były okrągłe pagórki gęsto pokryte wysoką na dziesięć stóp trawą, która rosła też na równinach. Przez iluminatory Królowej widać było nieustanne falowanie traw, co sprawiało wrażenie, że planeta wyścielana jest szemrzącym i płynącym dywanem. Na zachodzie można było dostrzec morza - obszary płytkiej wody tak pocięte pasmami wysp, że bardziej przypominały szereg słonych jezior. I właśnie to, co można było

znaleźć w tych morzach, zwabiło Królową Słońca na Sargol.

W rzeczywistości odkrycie to przypadło innemu Kupcowi. Był nim

Traxt Cam i on właśnie rościł sobie prawo do Sargolu, mając nadzieję na sporą fortunę lub przynajmniej na niewielki zysk z wkładów włożonych w

handel wonnościami, który polegał głównie na eksporcie z pachnącej

planety jej najbardziej wonnych produktów. Znalazłszy się na Sargolu,

Cam odkrył kamienie Koros - nowy gatunek klejnotów. Garść ich

oferowana na targu jednej z planet układu wywołała nieomal bijatykę

wśród licytujących się handlarzy klejnotami. Tym sposobem Cam znalazł

się na dobrej drodze do tego, by stać się jednym z handlowych

potentatów. Na przeszkodzie stanęło to, że zwabiono jego statek w

zdradliwą sieć piratów z Otchłani i tak wypadł z gry.

A ponieważ załoga Królowej Słońca także nie uniknęła pułapki, jaką

była Otchlań, i miała swój dość znaczny udział w rozbiciu tej diabelskiej

instalacji, więc zażądała w nagrodę handlowych przywilejów Traxta

Cama, który nie posiadał prawnych spadkobierców. Tak znaleźli się na

Sargolu, mając za przewodnik notatki Cama i wtłoczoną do mózgow całą

dostępną wiedzę o mieszkańcach zwanych Salarikami.

Dan usiadł na skraju rampy, opierając stopę na bogatej czerwonej

glebie Sargolu, w której przebłyskiwały okruszki złota. Nie miał

wątpliwości, że jest obserwowany, lecz starał się nie okazywać, iż jest tego świadom. Dorośli Salarikowie zachowywali w stosunku do kupców

postawę wyniosłości i obojętności, młodzież zaś swoją wścibskością

dorównywała pogardzie starszych. Dan pomyślał, że jest może w takiej

postawie jakaś metoda.

Van Ryck i kapitan Jellico prowadzili już wstępne rozmowy, co zajęło nieomal cały dzień, a z czego nie wynikło zupełnie nic. Salarikowie, mający kocich przodków - w swych kontaktach z przybyszami spoza ich własnego świata byli ceremonialnie ostrożni i zupełnie obojętni. A jednak Cam musiał jakoś do nich dotrzeć, inaczej nie przywiózłby ze swej pierwszej wyprawy sakiewki pełnej kamieni Koros. Chociaż z drugiej strony wśród jego zapisków odnalezionych na Otchłani nie było najmniejszej nawet wzmianki o tym, jak udało mu się pokonać niechęć tubylców do sprzedaży. Dawało to do myślenia, lecz pośrednikiem każdego Kupca jest cierpliwość, a Dan całkowicie ufał Yanowi. Prędzej czy później Szef Ładowni znajdzie sposób na Salarików.

W tym momencie, jakby wywołany myślą Dana, ukazał się sam Van Ryck ustrojony w nasączoną wonnościami tunikę, która opinała jego nie przyzwyczajony do takiego skrępowania byczy kark. W czapce wsuniętej na swe blond włosy zszedł po rampie, rozsiewając wokół aromatyczną woń. Kiedy zbliżał się do swego asystenta, pociągnął mocno nosem i z uznaniem pokiwał głową.

- Widzę, że nasmarowany i gotowy.

- Sir, czy kapitan też idzie?

Van Ryck zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, to nasze zmartwienie.

- Cierpliwości, chłopcze, cierpliwości.

Ruszył przez przeredzoną trawę po drugiej stronie wypalonego

ładowiska w kierunku dobrze ubitej drogi.

Dan ponownie poczuł na sobie czyjś wzrok, co przypomniało mu, że są obserwowani. Przynajmniej nie musieli obawiać się ataku. Kupcy byli tu nietykalni, stanowili tabu, a ich stanowiska znajdowały się pod białą diamentową tarczą pokoju, który gwarantowała przysięga krwi składana przez wszystkich klanowych wodzów z całego okręgu. Nawet w czasie międzyklanowych utarczek śmiertelni wrogowie spotykali się zgodnie pod tą tarczą i nie śmieli zwrócić ku sobie swych szponiastych noży w dwumilowym promieniu zasięgu tarczy.

Trawiasty las szeleścił zdradliwie, lecz Ziemianie nie wykazywali jakiegokolwiek zainteresowania tymi, którzy ich śledzili. Z lodygi trawiastego drzewa poderwał się owad o cieniutkich, lśniących zielono skrzydłach i leciał przed nimi, jakby był ich oficjalnym heroldem. Z czerwonej, rozgniatanej butami gleby unosił się ostry zapach, zupełnie różny od ich własnego. Dan przelknął parokrotnie ślinę, mając nadzieję, że jego przełożony nie dostrzeżł tych oznak złego samopoczucia. Lecz Van Ryck mimo nastroju ogólnego zadowolenia i beztroskiej życzliwości miał oko na wszystko, włączając najdrobniejsze nawet szczegóły, które mogły mieć wpływ na delikatne negocjacje w ramach galaktycznego handlu. To właśnie, że nigdy nie pominął najdrobniejszego, ale często ważnego szczegółu, przyniosło mu w efekcie status wytrawnego zdobywcy Kargo.

Teraz odezwał się, wydając polecenie:

- Zażyj znieczulacz!

Dan sięgnął do torebki zawieszanej u pasa, zbierając się w sobie i

obiecując, że bez względu na to, jak bardzo tego dnia będą mu dokuczały zapachy, nie podda się. Przełknął małą pigułkę, jaką medyk Tau przygotował na taką ewentualność, i spróbował skupić się na czekającym ich zadaniu. Jeśli w ogóle będzie coś do zrobienia i nie będzie to kolejny długi dzień zmarnowany na bezowocne przemówienia pełne wzajemnego szacunku, które nie przyniosą im większych korzyści poza kolekcją pięknych słówek.

- Hou...! - usłyszeli za sobą przy drodze okrzyk, który brzmiał jak zawołanie lub może butne ostrzeżenie.

Van Ryck nie zmienił kroku. Nie odwrócił głowy, ani nie dał poznać po sobie, że słyszał to ostrzeżenie wysłane wodzowi klanu. Szedł dalej, trzymając się dokładnie środka drogi. Dan zaś kroczył regulaminowym krokiem z tyłu po lewej stronie, jak przystało oficerowi jego rangi.

Hou! - temu okrzykowi, jaki wydobył się z gardła jednego z Salarików, którego wybrano ze względu na siłę jego płuc, zawtórowało teraz głucho dudnienie wielu stóp. Ziemianie dalej szli środkiem, nie rozglądając się i nie przyśpieszając.

Dan wiedział, że było to uzasadnione. Przeczulenemu starszeństwu członkowie klanu Salarików uważali, że nie powinni się ustępować, jeśli nie chcesz okazać swej niższości, jeśli zaś z jakichś tam powodów już to uczyniłeś, to nie masz co stawać twarzą w twarz z ich wodzami.

Hou! - okrzyk z tyłu informował, że orszak skręcający drogą dostrzeże obu nieświadomych tego kupców. Dan nie mógł się doczekać

możliwości odwrócenia głowy choćby na tyle, by sprawdzić, którego to z lokalnych paniczków blokują.

Hou! - w tym krzyku dało się słyszeć pytanie, a ciężkie dudnienie stóp ustało. Ludzie z klanu zobaczyli ich, lecz nie mogli się zdecydować, by zepchnąć ich z drogi.

Van Ryck i Dan posuwali się miarowo do przodu. Nie mieli wprawdzie herolda o żelaznych płucach, ale za to swoją postawą okazywali, że mają całkowite prawo do zajmowania drogi tak, jak to robili. I właśnie ta niewzruszona postawa wpłynęła na tamtych z tyłu. Szybki tupot przeszedł w marsz, utrzymujący idących w bezpiecznej odległości za Ziemianami. A więc poskutkowało. Salarikowie, a przynajmniej ci Salarikowie, zaakceptowali ich zgodnie z własnymi zasadami; stanowiło to dobrą wróżbę na późniejsze rozmowy. Fakt ten dodał Danowi animuszu, lecz idąc za przykładem swego przełożonego, pozostawał niewzruszony. Było to w końcu tylko drobne zwycięstwo, a czekało ich dziesięć czy dwanaście godzin uprzejmych, lecz taktycznych skrytych manewrów.

Królowa Słońca wylądowała możliwie najbliżej centrum handlowego zaznaczonego na prywatnej mapie Traxta Gama i teraz Ziemianie mieli przed sobą pięć minut marszu. Musieli je pokonać środkiem drogi, idąc przed wodzem, który pewnie gotował się z wściekłości na ich widok, aż wreszcie dotarli do polany, na której ustawiona była okrągła, pozbawiona dachu konstrukcja, służąca Salarikom zamieszkującym ten okręg jako targowisko oraz miejsce

pokojoych rozmów i łagodzenia klanowych sporów. Na środku, ponad łodygami trawiastych drzew, wznosiła się umocowana na palu tarcza symbolizująca handel. Gwarantowała ona siedzącym pod nią pokój, tym zaś, którzy brali udział w pojedynkach lub wendecie - trzydniowy azyl, jeśli zdołali tu dotrzeć i położyć swe dłonie na podtrzymującym ją wyschniętym palu.

Nie byli pierwszymi, którzy tu przybyli, co również dobrze wróżyło.

Pod ścianą miejsca spotkań usadowiła się straż, orszak wojowników i młodszy krewni czterech czy pięciu wodzów klanowych. Dan dostrzegł natychmiast, że nie było tam ani jednej lektyki czy orgela. Nie zauważył też kobiet Salarików. Nie mogły przybyć wcześniej, zanim ich ojcowie, mężowie i synowie nie dobili targu. Wykazując pewność kogoś, kto przewodzi własnemu klanowi, Van Ryck pomaszerował wprost do wejścia w ogrodzeniu, nie zwracając uwagi na niższych rangą Salarików. Dwu czy trzech młodszych wojowników poderwało się, powiewając niczym skrzydłami swymi wspaniale zdobionymi płaszczami, lecz gdy Van Ryck zignorował ich, nie patrząc nawet w tamtą stronę, nie próbowali stanąć mu na drodze.

Starając się ocenić bez uprzedzeń Salarików przebywających w zasięgu jego wzroku, Dan doszedł do wniosku, że jako wojownicy mogą oni zrobić wrażenie. Ich przeciętny wzrost wynosił około sześciu stóp, a ich odległe kocie dziedzictwo widoczne było jedynie w paru szczegółach. Paznokcie u rąk i stóp Salarika mogły się chować, jego skóra była szara, gęste zaś, przypominające aksamitne futro włosy porastały grzbiet oraz

zewnątrzną stronę dobrze umięśnionych ramion i nóg. Były brązowożółte, niebieskoszare lub białe. Zwrócone teraz w stronę Ziemiań twarze Salarików wydawały się im zupełnie bez wyrazu. Ich oczy były duże i lekko skośne, przedziwnie pomarańczowoczerwone lub barwy zielononiebieskiego turkusy. Na biodrach nosili przepaski wykonane z jasno farbowanego materiału z szerokimi pasami chroniącymi ich szczuple talie, na których to pasach połyskiwały wysadzone kamieniami rękojeści szponiastych noży. Ich posiadanie oznaczało status wojownika. Na ramiona narzucone mieli płaszcze złożone na kształt skrzydeł nietoperza, równie barwne, jak reszta stroju; każdego z nich spowijała niewidzialna chmura wonności.

Podobnie jak i grupa wasali oczekujących na zewnątrz, tak i zebrani w miejscu narad wodzowie tworzyli wielobarwny tłum otoczony różnymi zapachami. Wodzowie siedzieli na drewnianych stołkach. Przed każdym stał stół, a na nim puchar z insygniami klanu, złożony kawałek wzorzystego materiału będący „handlową tarczą” i wysadzone kamieniami pudełko, które zawierało pachnącą maść stosowaną przez wodza do odświeżania w czasie trudów konferencji.

Cale to towarzystwo siedziało bez ruchu w straszliwym milczeniu i tylko wiatr targał połami ich płaszczy i końcami pasów. Wciąż nie próbując nawiązać kontaktu, Van Ryck przeszedł do stojącego z boku stołu oraz stołka i usiadł. Dan uczynił to, co do niego należało. Ustawił przed swym zwierchnikiem plastikową, kieszonkową flaszkę, która kolorem dorównywała grubo ociosanym klejnotom Salarików. Wyłożył

też jedwabną chustkę do nosa i wreszcie butelkę ziemskich soli
otrzeźwiających, które przygotował medyk Tau jako środek
wzmacniający, niezbędny na długie godziny wypełnione przemówieniami
i zapachami Salarików. Spełniwszy swe obowiązki, Dan mógł sobie teraz
pozwoić na to, by spocząć. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi za
swym wodzem, podobnie jak pozostali synowie, następcy i doradcy
skupieni za swymi panami.

Wódz, którego przybycie niejako opóźnili, siedł za nimi i Dan
spozregł, że był to Fashdor - znowu szczęście, gdyż był to wódz małego
klanu i odgrywał ni wielką rolę. Gdyby opóźnili przybycie Halfera lub
Pafta, sprawy przybrałyby pewnie całkiem inny obrót.

Gdy Fashdor zajął miejsce i rozłożono rekwizyty, Dan policzył
dyskretnie obecnych i upewnił się, że teraz rada jest już w komplecie.

Traxt Cam zanotował, iż terytorium nadmorskie podzieliło pomiędzy
siebie siedem klanów i tylu właśnie było tam wodzów. Wskazywało to na
wagę spotkania, jako że niektóre klany poza zasięgiem tarczy pokoju
toczyły ze sobą obecnie krwawą wojnę. Tak, było ich siedmiu. Mimo to po
przeciwnej stronie Van Rycka wciąż pozostawał wolny stółek. Wolny
stółek - kto miał się jeszcze zjawić?

Odpowiedź otrzymał niemal w tej samej chwili, gdy przyszło mu to
na myśl. W drzwiach nie pojawił się żaden z pomniejszych wodzów
Salarików. Gdy dostrzegł insygnia zdobiące tunikę nowo przybyłego,
tylko samokontrola pozwoliła mu pozostać na miejscu. Kupiec - i to
Kupiec z Branży! Dlaczego? Skąd? Kompanie interesowała tylko duża

zdobycz, a to była planeta pozostawiona Wolnym Pośrednikom, którzy swobodnie podróżowali po gwiazdnych szlakach. Według oficjalnych danych nikt z Branży nie prowadził tu interesów. Chyba, że... - Dan starał się zachować równie kamienną twarz jak Van, choć jego myśli mknęły.

Jako Wolny Pośrednik Traxt Cam rościł sobie prawo do eksploatacji Sargolu, a głównym produktem eksportu miały być wonności - dla Branży był to drobny interes. Później jednak odkryto kamienie Koros i dla grubych ryb znaczenie Sargolu musiało znacznie wzrosnąć.

Prawdopodobnie dowiedzieli się o śmierci Traxta Cama, gdy tylko raport Patrolu z Otchłani dotarł do Kwatery Głównej. Wszystkie Kompanie posiadały źródła prywatnych informacji i służby wywiadowcze. Toteż, gdy Traxt Cam zmarł, nie pozostawiając spadkobiercy, postanowili skorzystać z okazji. Dan, zaciskając zęby, pomyślał, że przecież nie mają najmniejszej nawet szansy. Zgodnie z prawem na Sargolu mógł teraz przebywać tylko jeden Statek Handlowy i była nim Królowa Słońca, Kapitan Jellico miał na to potwierdzone przez Patrol dokumenty. Jedyne, co ten człowiek z Inter-Solaru mógł zrobić, to uklonić się nisko i spróbować swych sztuczek gdzie indziej.

Ten z Inter-Solaru wcale się nie śpieszył, by to uczynić. Z arogancką wyższością usadowił się na wolnym siedzeniu, a niższy rangą w mundurze Inter-Solaru rozkładał przed nim taki sam zestaw, jaki Dan wyłożył przed Van Ryckiem. Jeśli nawet obecność Eysie zaskoczyła Szefa Ładowni, to nie dał on tego po sobie poznać.

Jeden z młodszych wojowników ze świty Pafta wstał i złożył dłonie z

kląśnięciem, które z siłą jakiegoś archaicznego strzału odbiło się echem po milczącym zgromadzeniu. Salarik, ubrany w bogaty strój wyższej kasty i z pierścieniem, zakładanym jeńcom schwytanym w bitwie na szyje, wstąpił w krąg miejsca spotkań, trzymając w dłoniach dzban.

Prowadzony przez syna Pafta podchodził kolejno do każdego z zebranych i nalewał ze swego dzbana do pucharów stojących przed każdym z wodzów purpurowy napój. Zastępcy Pafta uroczyście kosztowali napoju z każdego z pucharów, zanim zostały one oferowane przybyłym wodom.

Zatrzymawszy się przed Van Rykiem, dostojnik Salarików dotknął brzegów plastikowej flaszki.

Oznaczało to, że ludzie spoza tego świata muszą być ostrożni, próbując tutejszych wyrobów, i wznosząc Pierwszy Puchar Pokoju podczas ceremonii powinni to zrobić symbolicznie.

Paft uniósł swój puchar, a pozostali z kręgu uczynili podobnie; przemawiając archaicznym językiem swej rasy powtórzył formułę tak starą, że tylko nieliczni spośród Salarików byli w stanie przetłumaczyć monotonna wypowiedziane słowa. Wypili i spotkanie zostało formalnie otwarte.

Pierwszy jednak przemówił starszy Salarik siedzący po prawej ręce Halfera. Nie miał on szponiastego noża, a jego ciemnożółty płaszcz i pas stanowiły stonowany akcent pośród przepychu szat pozostałych gości.

Mówił bełkotliwym kupieckim żargonem, którego jego naród nauczył się od Cama.

- Pod tą bielą - tu wskazał na tarczę w górze - zbieramy się, by

wysłuchać wielu rzeczy. Lecz oto przybywają dwa języki, by przemówić, podczas gdy na ich miejscu stał kiedyś jeden ojciec klanu. Powiedzcie nam, przybysze, czyjej prawdy mamy wysłuchać?

Swe spojrzenie przeniósł z Van Rycka na przedstawiciela Inter-Solaru.

Szef Ładowni z Królowej nie odpowiadał. Wpatrywał się w siedzącego po drugiej stronie człowieka z Kompanii. Dan czekał w napięciu. Co tamten odpowie?

I rzeczywiście, miał już gotową odpowiedź:

- To prawda, ojcowie klanów, że są dwa głosy tutaj, gdzie zgodnie z prawem i zwyczajem powinien być jeden. To jednak musimy rozstrzygnąć między sobą. Pozwólcie nam oddalić się i porozmawiać na osobności.

Ten, który wróci, będzie głosem prawdziwym i nie będzie więcej podziałów.

Zanim mówca Halfera zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Paft:

- Chyba byłoby lepiej, gdybyście się byli rozmówili zanim przyszlście tutaj. Idźcie więc i pozostańcie, póki nie zniknie cień tarczy; potem wróćcie tutaj i mówcie prawdę. Nie będziemy czekać dla przyjemności przybyszów.

Ten ostry komentarz skwitowany został pomrukiem aprobaty.

„Póki nie zniknie cień tarczy”. A więc mieli czas do południa. Van Ryck wstał, a Dan pozbierał przedmioty należące do swego wodza. Okazując wciąż tę samą wyższość zebrany jak w chwili przybycia, Szef Ładowni opuścił miejsce spotkań. Za nim wyszli przedstawiciele Eysie. Oddalili się

spory kawalek od polany, idąc z powrotem na Królową, nim tamci dwaj z

Kompanii dogonili ich.

- Kapitan Grange przyjmie was natychmiast - zaczął Oficer

Pokładowy Eysie, lecz przerwał powstrzymany piorunującym

spojrzeniem Van Rycka.

- Posłuchajcie, kłusownicy, jeśli w ogóle macie coś do powiedzenia,

to powiecie to na Królowej kapitanowi Jellico - oświadczył spokojnie i

ruszył dalej.

Nad wysokim kołnierzem tuniki twarz tamtego oblala się purpurą, a

zęby błysnęły złowrogo, gdy przygryzł wargę, siłą powstrzymując się od

odpowiedzi. Przez chwilę zawahał się, lecz zaraz ruszył boczną ścieżką, a

za nim jego zastępca. Przeszli już mniej więcej jedną czwartą część drogi

do statku, zanim Van Ryck otworzył usta.

- Wydawało mi się to za łatwe - odezwał się ponuro. - Ale teraz już

ugrzęźliśmy w tym, i to chyba po same silniki. Na kłujący ogon Exola, to

nie był nasz szczęśliwy dzień.

Przyśpieszył kroku tak, że w końcu prawie biegli truchtem.

ROZDZIAŁ 2

RYWALE

- Wystarczy, Eysie.

Kupcy zgodnie z prawem i tradycją nie nosili już broni osobistej kalibru większego - wyjąwszy okresy wielkich kryzysów - od usypiaczy, których ogień był równie nieprzyjemny, jak mocniejsze promienie.

Groźba użycia takiej właśnie broni wystarczyła teraz do powstrzymania trzech mężczyzn, którzy podeszli do skraju rampy Królowej i stanęli, widząc pistolet niedbale trzymany przez Alego. Jednak w jego wzroku nie było ani śladu bez troski. Wolni Pośrednicy posiadali opinię, z którą rywale z Kompanii musieli się liczyć. Tułacze życie dawało im srogie lekcje, z których musieli wyciągnąć naukę lub zginąć.

Spoglądając ponad ramieniem zastępcy mechanika, Dan przekonał się, że przyjęta wcześniej przez Van Rycka postawa opłaciła się. Uplynęły zaledwie trzy kwadranse od chwili, gdy opuścili miejsce handlu z Salarikami, a tu już stał przed nimi obwieszony odznaczeniami kapitan statku I.S. wraz ze swym oficerem pokładowym.

- Chcę rozmawiać z waszym kapitanem - warknął oficer Eysie. Na twarzy Alego pojawił się lekki uśmiezek, który u patrzących był w stanie wywołać najgorsze instynkty. Dan znał to uczucie z przeszłości, gdy będąc jeszcze najmniej doświadczonym wśród załogi, sam był raczony podobnym drwiącym spojrzeniem.

- Ale czy on życzy sobie spotkania z tobą? - odciął mu się Kamil.

- Pozostań, Eysie, na swoim miejscu, póki nie upewnimy się co do

tego.

Znaczyło to, że Dan miał udać się jako posłaniec. Odszedł w głąb statku i wspinał się żwawo po drabinie do sekcji dowodzenia. Mijając kabinę kapitana Jellico, usłyszał stłumione wrzaski wstrętnego ulubieńca dowódcy, Queexa. Queex był z rodzaju Hoobatów - jest to ohydne połączenie kraba, ropuchy i papugi o błękitnym upierzeniu. Jest skłonny do wrzasków i plucia na każdego, kto się do niego zbliży. Dan domyślał się, że Queex nie wydzierałby się tak, gdyby był z nim jego pan. Dlatego też poszedł dalej, aż do kajuty sterowniczej, w której odbywała się właśnie zamknięta narada z udziałem kapitana, oficera pokładowego i astronawigatora.

- Co tam znowu? - Oszpecony blizną od blastera lewy policzek

Jellico drgnął, gdy zniecierpliwiony zwrócił się do przybyłego.

- Sir, kapitan Eysie i jego oficer pokładowy chcą się z panem zobaczyć.

Spojrzenie kapitana Jellico pełne było zawziętości, a linia ust tworzyła niemal prostą. Dłoń Dana instynktownie przesunęła się w stronę kolby usypiacza, zawieszzonego u pasa. Kiedy na twarzy Starego pojawiał się tak wojowniczy wyraz twarzy, lepiej było mieć się na baczności. Znowu się zaczyna - pomyślał, zastanawiając się nad tym, co ich czeka.

- A chcą, pewnie, że chcą! - Zaczał Jellico, lecz zaraz zdusił złość,

którą w razie konieczności potrafił utrzymać w stalowych ryzach. -

Bardzo dobrze, powiedz im, by pozostali na miejscu! Van, zejdziemy tam.

Przez chwilę oficer pokładowy zawahał się, opuszczone powieki nadawały mu wyraz śpiącego, wyglądał, jakby ta uwaga do niego nie dotarła. Skinięcie głową wyrażało gotowość podjęcia kolejnego nudnego obowiązku.

- Tak jest, sir. - Wyswobodził swe cielsko zza małego stołu, poprawił tunikę i nałożył czapkę z taką troskliwością, jakby miał występować w imieniu Królowej przed całą starszyzną Sargolu.

Dan pośpiesznie zszedł po drabinach i stanął przy Alim. Teraz z kolei mężczyzna stojący na skraju rampy warknął niecierpliwie:

- I co tam? (Czy było to jedyne słowo w kapitańskim słowniku?)

- Czekajcie - odpowiedział Dan, nie siląc się na jakąkolwiek

uprzejmość w stosunku do oficera Eysie. W ciągu tego ziemskiego roku służba na pokładzie Królowej Słońca sprawiła, że zrodziło się w nim poczucie dumy. Wolny Pośrednik odpowiadał tylko przed własnymi oficerami. Nikt inny na Ziemi czy wśród gwiazd nie mógł mu rozkazywać, bez względu na to, ile dyscypliny lub etykiety stosowano w Kompanii dla wzmocnienia ich władzy.

Dan nie bardzo wierzył, by oficerowie Inter-Solaru nie odeszli, otrzymawszy taką odpowiedź. Konieczność czekania na Wolnego Pośrednika musiała przecież dopieć do żywego kapitanowi w służbie Kompanii. Fakt, iż jednak czekał, wskazywał na to, że może załoga Królowej mogła mieć niewielką nadzieję na przewagę w przyszłych targach. Tak więc delegacja Eysie wściekała się tam na dole, podczas gdy Ali stał niedbale u wyjścia, zabawiając się swym usypiaczem, a Dan

badawczo przyglądał się trawiastym lasom. Gdy jego but potracił

pozostawiony przy luku pakunek, spojrział pytająco na Alego.

- Okup za kota - otrzymał odpowiedź na swe nieme pytanie.

- A więc to tak - zapłata za powrót Sinbada. - Cóż to jest dzisiaj?

- Cukier, mniej więcej stołowa łyżka - odpowiedział zastępca

mechanika - a do tego dwukolorowe steelos. Jak dotąd nie podnieśli nam

ceny. Wygląda na to, że łup rozdzielają równo, co wieczór inny smarkacz

przynosi kota.

Królowa Słońca, tak jak i inne ziemskie statki, miała na pokładzie

kota, którego uważano za normalnego członka załogi. Do chwili

wylądowania na Sargolu dostojny Sinbad nie sprawiał najmniejszego

kłopotu. Wykonywał swe obowiązki, które polegały na tępieniu mniej lub

bardziej niezwykłych utrapień gnieźdzących się w przewożonych przez

statki towarach. Robił to szybko i sprawnie. Gdy przybywali do portu

obcego świata, nigdy nie próbował wymykać się poza pokład.

Zapachy z Sargolu najwyraźniej jednak odurzyły go, przytępiając

jego niewzruszone dostojeństwo i wiekową dojrzałość. Teraz każdego

ranka Sinbad wypadal jak błyskawica, gdy tylko otwierano luk, a wracał

pod wieczór, wydzierając się i drapiąc wyrostka, który przynosił go, by

odebrać niezmienną nagrodę za jego dostarczenie. W ciągu trzech dni

nabrało to cech stałej transakcji handlowej, która zadowalała wszystkich

z wyjątkiem Sinbada.

Stukot metalowych obcasów na szczeblach drabiny był znakiem, że

przybyli oficerowie. Ali i Dan wycofali się w głąb korytarza,

przepuszczając Jellica i Van Rycka, lecz za chwilę byli już na swoich miejscach, by zobaczyć rezultat spotkania.

Obie strony nie okazywały sobie specjalnej czułości, jak można by się spodziewać po Ziemiach spotykających się na planecie oddalonej o ćwierć Galaktyki od miejsca, z którego wszyscy pochodzili.

Jellico z Van Rykiem u swego boku zatrzymali się nie schodząc z rampy, tak by kapitan, oficer pokładowy i ich eskorta, bez względu na to, czy chcieli, czy nie, zmuszeni byli patrzeć w górę na dowódcę Królowej, któremu - jako pracownicy potężnej Kompanii - okazywali afektowaną pogardę.

Szczupła, dobrze umięśniona postać dowódcy sprawiała wrażenie ogromnej mocy powstrzymywanej siłą woli, podobnie jak i twarz, która pod grubą warstwą kosmicznego zmęczenia okazywała się obliczem poszukiwacza przygód przywykłego do podejmowania decyzji w ułamku sekundy; mówiła o tym dobitnie szrama od blastera na policzku.

Powierzchny obserwator mógłby wziąć Van Rycka, który zdążył się już przebrać, za wyższego rangą urzędnika Kompanii. Lecz przyjrząwszy się bliżej, dostrzegłby oczy pod sennie opadającymi powiekami, czy też wyczuł pewną specyficzną nutę w jego powolnym, spokojnym sposobie mówienia. Przyglądając się obu starszym oficerom z Królowej Słońca można by powiedzieć, że stanowili swoje przeciwieństwo, lecz w akcji byli uzupełniającymi się częściami potężnego walca, o czym wielu należących do Służby i będących na licznych planetach przekonało się w przeszłości na własnej skórze.

Jellico zbliżył do siebie obcasy swych kosmicznych butów, trzaskając nimi ekstrawagancko, a jego dłoń powędrowała do przedniej części kasku w geście, który bardziej pasował do bohatera z Patrołu występującego w dość starym serialu video.

- Jellico, Królowa Słońca, Wolny Pośrednik - przedstawił się krótko i dodał: - A to Van Ryck, nasz oficer pokładowy.

Na twarzy kapitana Inter-Solaru pozostawały jeszcze resztki rumieńca.

- Grange, Żądło - Mówiąc to, nie próbował nawet udawać, że salutuje.

- Inter-Solar, Kallee, oficer pokładowy. - Trzeciego osobnika, który czaił się z tyłu, nie przedstawił.

Jellico stał wyczekująco, tak że po długiej chwili milczenia Grange zmuszony był przejść do rzeczy.

- Do południa musimy...

Jellico z dłonią wsuniętą za pas po prostu czekał. Czując wciąż na sobie jego nieugięte spojrzenie, kapitan Eysie zaczął tracić grunt.

- Dali nam czas do południa - zaczął ponownie - byśmy się porozumieli.

Głos Jellica zabrzmiał zimno i obco:

- Nie ma powodu do jakiegokolwiek „porozumiewania się”, Grange.

Zgodnie z prawem mogę was oskarżyć o kłusownictwo przed Radą Handlową. Królowa Słońca posiada wyłączne prawo handlowania tutaj.

Jeśli odleciecie w rozsądnym terminie, to skłonny jestem zapomnieć o

tym. Nie powiem, by bardzo chciało mi się gnać taki kawał drogi do najbliższego posterunku Patrolu z raportem na was.

- Nie próbujecie chyba zastraszyć Inter-Solaru. Zaproponujemy wam... - Była to replika Kalleego, który odezwał się, czując, że jego zwierzchnik nie może znaleźć wystarczająco ostrych słów.

Jellico, którego mocną stroną była bezpośredniość, spróbował teraz w tonie zjadliwego sarkazmu:

- No dobra, Eysie, dostaliście chyba wystarczającą lekcję. Radziłbym trochę lepiej zapoznać się z Kodeksem, a nie tylko z drobnymi fragmentami końca taśmy. Nikogo nie straszymy. W Centrum znajdziecie na taśmach nasze uprawnienia do Sargolu. I myślę, że im szybciej się wyniesiecie, tym lepiej - zanim oskarżymy was o nielegalne przebywanie na planecie.

Grange zdołał wreszcie opanować swoje emocje.

- Jesteśmy dość daleko od Centrum - zauważył.

To stwierdzenie faktu zawierało podtekst, który potrafili właściwie ocenić. Królowa Słońca była Statkiem Samodzielnym, samotnym w obecnym świecie, podczas gdy statki Inter-Solaru mogły krążyć razem, gotowe do ściągnięcia pomocy zarówno w ludziach, jak i w sprzęcie. Dan wstrzymał oddech. Eysie muszą być pewni siebie, lecz to nie tylko o to chodzi. Muszą też bardzo pragnąć tego, co Sargol ma do zaoferowania, i to tak bardzo, że gotowi są złamać prawo, by to otrzymać.

Kapitan Inter-Solaru postąpił krok naprzód.

- Myślę, że teraz się rozumiemy - powiedział odzyskując pewność

siebie.

Odpowiedział mu Van Ryck, a jego głos zabrzmiał wyraźnie na tle

wiatru jęczącego w trawiastym lesie:

- Co proponujecie?

Być może to nawiązanie do sugerowanej przez nich groźby

wzmocniło ich przekonanie o niezawodności Kompanii, jak i wiarę, że

żaden Wolny Pośrednik nie będzie śmiało stawiać się sile i potędze Inter-

Solaru.

Kallee odpowiedział:

- Przejmujemy wasz kontrakt z zyskiem dla was, a wy opuścicie

planetę, zanim Salarikowie zupełnie się pogubią w tym, z kim mają

handlować...

- Jak wielki będzie zysk? - wtrącił leniwie Van Ryck.

- Och - Kallee wzruszył ramionami - powiedzmy dziesięć procent

ostatniego ładunku Cama. Jellico roześmiał się:

- Eysie, cóż za wspaniałomyślność! Dziesięć procent ładunku,

którego nie da się oszacować, ta banda z Limbo nie zapisywała tego, co

splądrowali.

- Nie wiemy, co przewoził, gdy rozbił się na Otchlani - zaproponował

natychmiast Kallee. - Naszą ofertę opieramy na tym, co przywiózł on do

Axolu.

Van Ryck skwitował to cmoknięciem.

- Ciekawe, kto to obmyślił? - Odwrócił się, jakby pytając wonnego

wiatru. - Widać dba o dobro Kompanii. Interesująca oferta.

Sądząc po wyrazie błogiego zadowolenia, który pojawił się teraz na twarzach stojących poniżej ludzi Inter-Solaru, wydawali się pewni odniesionego zwycięstwa.

Królowa Słońca otrzyma parę groszy słaty i pod groźbą zemsty ze strony Kompanii odleci z Sargolu, podczas gdy im przypadnie lukratywny handel kamieniami Koros, za co z pewnością wynagrodzą ich sownie zwierchnicy. Dan zastanawiał się, czy tamci kiedykolwiek mieli do czynienia z Wolnymi Pośrednikami albo chociaż z takimi niezależnymi poszukiwaczami przygód, jak załoga Królowej Słońca.

Van Ryck poszperał w sakiewce zawieszanej u pasa, po czym wyprostował rękę. Na jego szerokiej dłoni leżał płaski, metalowy krążek.

- Bardzo ciekawe - powtórzył. - Będę strzegł tego nagrania.

Na widok krążka wyraz zadowolenia zniknął z twarzy Eysie. Fala purpury popłynęła w górę od ciasnego kołnierza tuniki, rozlewając się po całej twarzy Grange'a. Kallee zamrugnął, a ręka nie znanego im trzeciego osobnika opadła do paralizatora, którego to ruchu nie przeoczył ani Dan, ani Ali.

- Można się odmeldować! - Jellico rzucił używaną w Branży rutynową komendę odejścia.

- Lepiej, żebyś... - Kapitan Eysie zaczął porywczo, lecz popatrzawszy na krążek trzymany przez Van Rycka - czuły kawałek plastyku i metalu, który nagrywał tę rozmowę dla późniejszego odtworzenia - zacisnął mocno usta.

- Słucham? - Powiedział uprzejmie Szef Ładowni Królowej. Lecz

Kallee ciągnął już ramię swego Kapitana, przynaglając Grange'a do opuszczenia statku.

- Macie czas na odlot do południa - rzucił na odchodne Jellico, gdy trójka z Kompanii zbierała się do odwrotu.

- Nie sądzę, by to uczynili - dodał już po odejściu tamtych do Van Rycka.

Szef Ładowni przytaknął mu.

- Też byś tego nie zrobił na ich miejscu - zauważył rzeczowo. - Z drugiej strony nie spodziewali się, że dostaną aż tak po nosie. Dawno pewnie nikt nie stawiał się Grange'owi.

- Otrząsną się z szoku. - Wzmogła się w nim znów nieufność wobec przyszłości.

- To - Van Ryck wsunął krążek z powrotem do sakiewki - wytrąciło ich z kursu o jeden czy dwa parseki. Grange nie należy do tych silnych facetów, którzy natychmiast chwytają za blaster. Jeśli Tang Ya popracuje trochę na podsłuchu, to może będziemy mogli sprawić im kolejną niespodziankę, gdyby Grange próbował zwracać się o poradę do kogoś spoza tego świata. Tymczasem nie sądzę, by próbowali wdawać się w interesy z Salarikami. Nie chcieliby być zmuszeni odpowiadać na trudne pytania, gdybyśmy nasłali na nich statek patrolowy. A więc - przeciągnął się i skinął na Dana - wracamy do roboty.

I tak Van Ryck i dwa kroki za nim Dan pomaszerowali do handlowego kręgu Salarików. Od ich wyjścia upłynęło pięć czy sześć minut czasu statku, a wystarczyło to, by tubylcy przestali interesować się

ich powrotem. Dan spostrzegł jednak, że teraz był już tylko jeden stół i jedno wolne miejsce w kręgu. Salarikowie spodziewali się powrotu jednego kupca z Ziemi.

Potem nastąpiła kolejna runda ceremonii, wymiana rutynowych banałów, życzeń i powitań. Nikt nie wspominał nic o kamieniach Koros ani nawet o wonnej korze i nikt nie oferował ich kupcom z innego świata. Nikt nie uchylił nawet rąbka swego handlowego płótna, pod którym to, chcąc przystąpić do transakcji, ukryta dłoń sprzedającego dotykała dłoni kupującego tak, by tylko przez nacisk palców aprobować lub odrzucać cenę. Niestety, takie nudne spotkania stanowiły rytuał Handlu, więc Dan próbując zwracać minimalną uwagę na przemowy i „wspólne toasty” obserwował obecnych, chcąc poznać ich bliżej.

Salarików cechowała przezorna niezależność. Jedyłą tolerowaną przez nich formą rządów była formacja rodzinnego klanu. Wendety i śmiertelne pojedynki między klanami lub osobnikami były na porządku dziennym, a każdy osobnik płci męskiej po osiągnięciu wieku dojrzałego chodził uzbrojony i gotów do walki do chwili, aż nie został „Rzecznikiem przeszłości”, czyli nie był już dość stary, by nosić broń. Z powodu powszechnej wojowniczości niewielu dożywało tego etapu. Czasem dochodziło do krótkotrwałych sojuszy między rodzinami; zdarzało się to wtedy, gdy mieli stawić czoło siłom potężniejszym od obu stron.

Wystarczyła jednak kłótnia między wodzami czy jakaś wymyślona zniewaga, by w jednej chwili zniweczyć pokój. Jedyne, tak jak teraz, Handlowa Tarcza pozwalała spotykać się wszystkim siedmiu klanom bez

wzajemnego skakania do owłosionych gardel.

Godzinę przed zachodem słońca Paft odstawił swój puchar do góry dnem, a zaraz po nim uczyniła to reszta wodzów. Oznaczało to koniec rozmów na ten dzień. I, o ile Dan był w stanie się zorientować, nie osiągnięto zupełnie niczego - chyba tyle tylko, że pozbywali się Eysie. Cóż takiego odkrył Traxt Cam, co pozwoliło mu nawiązać handlowe kontakty z tymi podejrzliwymi cudzoziemcami? Dopóki oni sami nie dowiedzą się, co to jest, będą mogli gadać w nieskończoność, aż wygaśnie kontrakt, a i wtedy nie posuną się ani o krok dalej, niż są dzisiaj.

Dan wiedział z przygotowań, że nawiązanie kontaktów z obcą rasą w chwilach wolnych wymagało długich i cierpliwych manipulacji, lecz między teorią a praktyką istniała przepaść i Dan pomyślał ze smutkiem, iż jeszcze dużo musi się nauczyć, zanim będzie w stanie opanować taką sytuację jak ta, z pewnością siebie i cierpliwością Van Rycka. Szef Ładowni nie wydawał się bynajmniej zmęczony kolejnym zmarnowanym dniem. Dan wiedział, że Van znowu pewnie będzie siedział do późna, po raz kolejny studiując zapiski Traxta Cama i łamiąc sobie głowę nad tym, co osiągnął Traxt, a co dla nich wciąż stanowiło mur nie do pokonania.

Ci, którzy orientowali się w temacie, wiedzieli, że zbieranie kamieni Koros jest trudnym zajęciem. Jeśli chodzi o obszar lądowy na Sargolu, to panowanie na nim Salarików było niezaprzeczone; inaczej jednak rzecz się miała na płytkich wodach mórz. Tam panowały gorpy i należało wciąż mieć się na baczności przed ich przebiegłą, gadzią inteligencją, tak obcą procesom myślowym Salarików i Ziemi, że wydawało się, iż nie ma

możliwości kontaktu. Zbieracze kamieni Koros balansowali między zdobyczą a utratą życia. Możliwe, że Salarikowie nie znajdowali w tej operacji żadnej korzyści. A jednak Traxt Cam wrócił z torbą klejnotów, które udało mu się zatrzymać.

Van Ryck wspiął się na rampę i wrócił pośpiesznie na pokład, jakby obawiał się, że zabraknie mu czasu na studiowanie zapisków. Dan jednak pozostał na miejscu, przyglądając się w zadumie trawiastej dżungli.

Zdawało mu się, że te wczesne popołudniowe godziny to najlepsza pora na Sargolu. Złote światło wypełniało krajobraz, a nocne wiatry nie zaczęły jeszcze wiać. Nie lubił zamieniać swobody otwartej przestrzeni na więzienie na statku.

Gdy tak stał niezdecydowany, z lasu wynurzyło się dwóch młodzieńców - Salarików. Nieśli między sobą sieć łowiecką, a w niej spokojnego, choć nieszczęśliwie wyglądającego więźnia. Oczywiście był to Sinbad, którego dostarczano za codzienny okup. Dan sięgał już po zapłatę dla zdobywców, gdy ku jego zaskoczeniu jeden z nich wysunął się do przodu, wskazując szponiastym palcem na otwarte wejście.

- Wejdz - starał się mówić wyraźnie, używając żargonu handlowego.

Zaskoczenie Dana musiało być bardzo widoczne, gdyż młodzian przytaknął jego słowom i postawił nogę na rampie, by wyraźniej podkreślić swe pragnienie.

Salarikowie niezmiennie okazywali przekonanie, że Ziemianie i ich statek są czymś obraźliwym dla nozdrzy normalnych „ludzi”. Dlatego też fakt, że jeden z nich pragnął wejść na statek, był czymś zgoła

niespotykanym. A przecież, bez względu na to jak mały, każdy pozytywny fakt, który mógł przynieść lepsze zrozumienie, powinien być wykorzystany natychmiast.

Dan odebrał mruczącego Sinbada i skinął na chłopca nie próbując go dotykać:

- Chodź!

Tylko jeden z dwóch młodzieńców skorzystał z zaproszenia. Drugi wybaluszył najpierw oczy, po czym umknął z powrotem do lasu. Ten ze statku krzyknął coś do niego. Tamten nie miał zamiaru zostać schwytyany w pułapkę.

Dan poszedł przodem w górę rampy, starając się nie okazywać otwarcie zainteresowania młodym Salarikiem, ani nie poganiać go, gdyż ten zatrzymał się na dłuższą chwilę u wejścia. Zastępca Szefa Ładowni gorączkowo próbował przypomnieć sobie, jakie towary posiadali. Cóż takiego mieli, co mogłoby okazać się intrygującym prezentem dla małego, tak bardzo ciekawskiego tubylca? Gdyby tylko miał tyle czasu, by móc skontaktować się z Van Rykiem.

Salarik był teraz w korytarzu, a jego rozszerzone nozdrza analizowały każdy zapach tego dziwnego miejsca. Nagle głowa mu drgnęła, jakby targnęła nią jedna z lin jego własnej sieci. Jego uwagę przyciągnął jakiś zapach wykryty przez czule zmysły. Oczy patrzyły pytająco na Dana. Ten natychmiast skinął głową przyzwalająco i podążył długim krokiem za Salarikiem, który pomknął na pokład Królowej Słońca najwyraźniej tropiąc coś bardzo ważnego.

NARESZCIE SUKCES

- Co do... - Frank Mura, steward, magazynier i kucharz na Królowej cofnął się w najbliższe drzwi, gdy młody Salarik przemknął w dół drabiny i wpadł do jego sekcji.

Dan, trzymając wciąż pod pachą zrezygnowanego Sinbada, posuwał się za gościem i nadszedł właśnie w chwili, gdy tubylec zatrzymał się nagle przed jednymi z najważniejszych drzwi na statku - było to wejście do wodnego ogrodu, który odnawiał zasoby tlenu na statku i dostarczał im świeżych owoców i warzyw mających urozmaicać ich dietę, składającą się głównie z koncentratów.

Salarik położył dłoń na gładkiej powierzchni szczelnie zamkniętego pomieszczenia i przez ramię spojrzął na Dana błagalnym wzrokiem.

Wiedziony instynktem, że jest to ważne dla nich wszystkich, Dan spytał

Murę:

- Możesz go tam wpuścić, Frank?

Nie było to rozsądne, a mogło nawet okazać się niebezpieczne.

Jednak każdy z członków załogi zdawał sobie sprawę z konieczności nawiązania jakiegoś kontaktu z tubylcami. Mura nie odpowiedział nawet, lecz precyzyjnie przesunął się obok Salarika i nadusił przycisk. Poczuli powiew powietrza i świeży zapach rosnących tam roślin, pozbawiony odurzających wonności zewnętrznego świata, buchnął im w twarz.

Młodzieniec pozostał na miejscu z głową wzniesioną i nozdrzami wchłaniającymi najpełniej, jak mogły, nowy zapach. Po chwili ruszył

bezgłośnie z niesamowitą szybkością właściwą jego przodkom i popędził wąską ścieżką w kierunku plątaniny zieleni w drugim końcu pomieszczenia.

Sinbad zaczął mrużyć i wrywać się. Były to jego prywatne tereny łowieckie, których strzegł przed intruzami. Dan postawił kota. Salarik najwyraźniej znalazł to, czego szukał. Wspinał się teraz na palce, by powąchać jakąś roślinę. Oczy miał na wpół przymknięte, a całe jego ciało wyrażało ekstazę. Dan popatrzył na stewarda pytająco.

- Frank, co go tak interesuje?

- Kocia mięta.

- Kocia mięta? - powtórzył Dan. Nic mu to nie mówiło, lecz Mura miał w zwyczaju zbierać różne dziwne rośliny i hodować je w celach naukowych.

- Co to jest?

- Jeden z ziemskich rodzajów mięty, ziele - wyjaśnił Mura zbliżając się do obcego. Zerwał liść i zgniótł go w palcach.

- Dan nie potrafił wyczuć nowego zapachu, gdyż jego powonienie przytępiły ostre zapachy, które otaczały go przez cały dzień. Młody Salarik odwrócił się do stewarda, jego oczy wyrażały zdumienie, a nos badał. Sinbad zamiauczał przeraźliwie i skoczył, by otrzeć się głową o pachnącą teraz dłoń stewarda.

- A więc o to chodziło, to był klucz do sprawy. - Dan podszedł do tamtych.

- Masz coś przeciwko temu, bym wziął parę liści? - spytał Murę.

- Czemu nie? Hoduję to dla Sinbada. Dla kota to coś takiego, jak trawka heemel lub kufel czegoś mocnego.

Obserwując zachowanie Sinbada, Dan doszedł do wniosku, że roślina ta oddziaływała na kota tak, jak stymulanty na ludzkie istoty.

Zerwał ostrożnie lodygę z trzema listkami i wręczył ją Salarikowi, który najpierw wytrzeszczył na niego oczy, a później chwycił gałązkę i wypadł z wodnego ogrodu, jakby gonił go ktoś z wrogiego klanu.

Dan słyszał tupot nóg na drabinie - pewien był, że to młodzieniec umykający ze swym cennym znaleziskiem. Jednak nie wyglądał na zadowolonego. Z tego, co widział, było tam tylko pięć podobnych roślin.

- To cała mięta, jaką masz? Mura wsadził Sinbada pod pachę i popychając przed sobą Dana wyszedł za nim z ogrodu.

- Nie było potrzeby hodować więcej. Jemu odrobina tego starcza na długo. - Postawił kota na korytarzu. - Liście można suszyć. Wydaje mi się, że jest to klucz, który umożliwi nam handel kamieniami Koros. Zapasy ograniczałyby się do pięciu roślin i paru suszonych liści! Mimo to trzeba zawiadomić o tym jak najszybciej Van Rycka.

Szef Ładowni zbił jednak Dana z tropu, nie zachwycając się zbyt szczerkami ujawnionymi przez podwładnego. Co więcej, znający Van Rycka potrafiliby wyczytać z jego twarzy oznaki niezadowolenia.

Wysłuchał Dana i wstał. Przyzywając go palcem, wyszedł z kabiny, która była jednocześnie jego kwaterą prywatną i biurem, i poszedł do pomieszczeń medyka Craiga Tau.

- Coś dla ciebie, Craig - powiedział Van Ryck siadając na

wysuwającym ze ściany krzeselku, które rozłożył dla niego Tau. Dan stał w drzwiach pewny teraz, że zamiast pochwały za swe odkrycie otrzyma reprimendę. Wciąż jednak nie pojmował, dlaczego.

- Co wiesz o tej roślinie, którą Mura hoduje w ogrodzie, no, tej „kociej mięcie”?

Tau nie wydawał się być zaskoczony pytaniem - medyk na wolnym statku niczemu się nie dziwił. Nadmierną dawkę silnych wrażeń otrzymał już w pierwszych latach swej służby, tak że później wszystkie, najdziwniejsze nawet okoliczności przyjmował ze stoickim spokojem. Ponadto Tau posiadał hobby, którym była „magia”, tajemna wiedza praktykowana przez szarlatanów i ludzi medycyny innych światów. Posiadał bibliotekę składającą się z zapisków, dziwnych skrawków informacji dotyczących poświadczonych wyników pewnych bardzo szczególnych eksperymentów. Co jakiś czas wysyłał raport do Centrum, gdzie czytała go grupa niedowierzających gryzipiórków i odkładała do kolejnej szuflady. Z czasem nawet i to przestało go frustrować.

- To ziele z rodziny mięty na Ziemi - odparł. - Mura hoduje je dla Sinbada, dość mocno oddziałuje na koty. Frank próbował utrzymać go na statku, pozwalając mu tarzać się w świeżych liściach. Sinbad robi to dalej, ale wciąż się wymyka, gdy tylko nadarzy mu się okazja.

To przynajmniej wyjaśniało coś Danowi, dlaczego, mianowicie dzisiaj młody Salarik tak bardzo chciał wejść na pokład Królowej Słońca. Salarik odkrył zapach rośliny, który został na sierści Sinbada i chciał dotrzeć do jego źródła.

- Czy to narkotyk? - Spytał Van Ryck.

- W jakimś sensie są nim wszystkie zioła. Ludzie zażywali je kiedyś regularnie w postaci herbaty parzonej z suszonych liści. To ziele nie posiada większych medycznych właściwości. Dla kotowatych stanowi rodzaj środka pobudzającego; tarzając się w nim i jedząc jego liście, odurzają się podobnie jak my pijąc alkohol.

- W jakimś sensie można powiedzieć, że Salarikowie należą do rodziny kotów - zastanawiał się Van Ryck.

Tau wyprostował się.

- Wnioskuje, że Salarikowie odkryli kocia miętę.

Van Ryck skinął głową na Dana i zastępcę Szefa Ładowni po raz drugi złożył swój raport. Gdy skończył, Van Ryck zadał fachowe pytanie oficerowi medycznemu:

- Jak ta kocia mięta może oddziaływać na Salarika?

Dopiero wtedy Dan zdał sobie sprawę z wagi swego czynu. Nie było sposobu zbadania wpływu rośliny z innego świata na przemianę materii w obcym organizmie. A co będzie, jeśli pokazał mieszkańcom Sargolu jakiś niebezpieczny narkotyk i zapoczątkował u tego młodzika proces uzależnienia? Przeszedł go dreszcz. Mógł go nawet otruć!

Tau wziął czapkę i, po chwili wahania, zestaw pierwszej pomocy.

Danowi zadał tylko jedno pytanie:

- Kim jest ten smarkacz, do jakiego klanu należy? Dan, teraz już porządnie przestraszony, nie mógł udzielić odpowiedzi. Co on narobił?

- Czy potrafisz go odnaleźć? - Van Ryck zwrócił się do Tau, ignorując

Dana. Medyk wzruszył ramionami.

- Mogę spróbować. Włóczyłem się trochę dziś rano i spotkałem jednego z ich Kapłanów Burzy, którzy zajmują się medycyną. Nie mogę powiedzieć, żeby przyjął mnie zbyt gorąco. No, ale w takiej sytuacji musimy spróbować.

W korytarzu Van Ryck wydał Danowi polecenie:

- Myślę, że powinieneś trzymać się statku, Thorson, dopóki nie dowiemy się, jak sprawy wyglądają.

Dan zasalutował. Ta nuta w głosie przełożonego była niczym smagnięcie batem, było to coś gorszego niż zniewaga kogoś niższej rangi. Przelknął ślinę, zamykając się w swojej ciasnej kajucie. To mogło oznaczać koniec ich przedsięwzięcia. Będą mieli szczęście, jeśli nie cofną im licencji. Niechby tylko ci z Inter-Solaru dowiedzieli się o jego pochopnej decyzji, a Kompania raz-dwa ściągnęłaby ich na dywanik Rady i pozbawiłaby wszelkich praw w Branży. I to z powodu jego własnej głupoty, jego zadufanej próby przełamania lodów, których ani Van Ryck, ani Kapitan nie potrafili dotąd przełamać. Gorsza jednak od przyszłości, jaka ewentualnie czekała Królową, była myśl, że może swoim prezentem z tych paru liści pokazał Salarikowi niebezpieczny narkotyk. Kiedy wreszcie się nauczy? Leżał z ukrytą twarzą na swej koi przygnębiony i wyobrażał sobie kolejne nieszczęścia, które mogą i prawdopodobnie wynikną z jego bezmyślnego i pochopnego czynu.

Na statku różnica między dniem a nocą była znikoma, oświetlenie w kajutach niewiele się zmieniało. Dan nie wiedział, jak długo leżał,

zmuszając umysł do rozważań na temat swego głupiego postępu.

Uzmysłowił sobie, że w Branży nie można pozwolić sobie na odstępstwa, które stwarzają niebezpieczeństwo dla innych - chyba, że ryzyko ponoszą sami Ziemianie.

- Dan! - Głos Ripa Shannona przerwał jego koszmarne myśli. On jednak nie reagował. - Dan, biegiem do Vana!

Dlaczego? Chce go pewnie postawić do raportu u Jellica. Dan zebrał się w sobie, wstał, obciągnął tunikę, lecz nie potrafił spojrzeć Ripowi w oczy. Był przecież jednym z tych, których tak haniebnie zawiódł. Rip nie zwrócił uwagi na jego nastrój.

- Poczekaj, aż ich zobaczysz! Chyba z połowa Sargolu wyje tam, chcąc handlować!

Ta uwaga była czymś tak różnym od tego, czego się spodziewał, że zaledwie zdołała przerwać jego ponure myśli. Śniadą twarz Ripa rozjaśniał szeroko uśmiech, a jego czarne oczy iskrzyły się - najwyraźniej był podekscytowany.

- No, odpalaj silniki - popędzał go - bo Van cię objedzie!

Dan ruszył w górę na następny pokład, a później na rampę lewej burty. Spojrzawszy w dół, stanął jak wryty. Zapadł już wieczór, lecz krajobraz poniżej wcale nie przypominał pogrążonego w mroku. Od strony trawiastego lasu sunęły szeregi pochodni. Ich blask łączył się ze światłem przenośnych reflektorów ze statku, zmieniając noc w środek dnia.

Van Ryck i Jellico siedzieli na stolikach, mając przed sobą pięciu z

siedmiu ważniejszych wodzów, z którymi bezowonie jak dotąd konferowali. Za nimi zaś klębił się tłum pomniejszych Salarików. Tak, widać było co najmniej jedną lektykę, przyjechał też jeden orgel, z którego grzbietu przy pomocy dwu służących zsiadał zawołowany dostojnik. Nadchodziły też kobiety z klanów, co znaczyło, że handel nareszcie ruszył. Ale handel czym?

Dan poszedł w dół rampy. Zobaczył, jak Paft z ręką dokładnie ukrytą pod handlowym płótnem zbliża się do Van Rycka, którego palce również skrywa skromnie chustka. Ich palce spotykały się pod fałdami materiału. Był to początek targu. Teraz wodzowie musieli już zachowywać się odpowiednio. Zgodnie z zapiskami Cama posłańców takiego kalibru wysyłano zwykle do cieszących się uznaniem wasali.

Na osobnym stolku usypany był nieduży stos kamieni, w których odbijało się silne światło reflektorów ze statku i łagodniejsze błyski pochodni. Dan wstrzymał oddech. Znał kamienie Koros z opisu, widział nawet trójwymiarowy obraz jednego z nich, znalezionego wśród rzeczy Cama, lecz rzeczywistość przeszła jego oczekiwania. Znał chemiczny skład klejnotów, podobne były do bursztynu z Ziemi - skamieniała żywica pochodząca z dawnych roślin (może poprzedników trawiastych drzew) zagrzebanych na długo w pokładach solnych płytkich mórz, w których chemiczne przemiany doprowadziły do powstania tych cudownych kamieni. Na zewnątrz ich barwa zmieniała się od koloru różowej moreli po intensywny fioletowo-różowy, lecz od wewnątrz przebłyskiwało srebro i ogniste złoto, które przy obracaniu kamieniem sprawiały wrażenie

ruchu. Salarikowie jednak cenili je przede wszystkim za to, że noszone na ciele i ogrzane jego ciepłem wydawały woń, która mogła oczarować nie tylko tubylców, lecz i innych wystarczająco bogatych mieszkańców Galaktyki.

Po prawej stronie Van Rycka ustawiony był stół, podobny do tego z kamieniami obok Pafta, a na nim spoczywało przezroczyste plastikowe pudełko z pomarszczonymi brązowymi liśćmi.

Dan starał się, najdyskretniej jak mógł, zająć miejsce przypadające mu w czasie takiej transakcji, to znaczy za plecami Van Rycka. Kolejni Salarikowie wynurzali się z lasu; zarówno czeladź, jak i spowici w płaszczach wojownicy nieśli pochodnie. Trochę z boku znajdowała się trzecia grupa, której Dan dotąd nie dostrzegł.

Zgromadzili się oni wokół czegoś, co wbite w ziemię u góry było zwieńczone białym proporcem, symbolizującym tymczasowe miejsce handlu. Bez wątplenia byli to Salarikowie, lecz nie nosili kolorowych szat jak pozostali. Ubrani byli w brązowo-zielone stroje o długich rękawach. Byli to Kapłani Burzy, a kolor ich szat odzwierciedlał kolor sargolskiego nieba przed wybuchem najgorszych nawałnic. Cam nie pozostawił zbyt wielu wskazówek dotyczących religii Salarików - wiadomo było, że Kapłani Burzy posiadali mocno ograniczoną władzę, lecz to, że akceptowali ziemskich kupców, mogło korzystnie wpłynąć na ogólną atmosferę.

Pośród Kapłanów stał Ziemianin - medyk Tau, który rozprawiał żywo z przywódcą grupy sakralnej.

Dan dałby wiele, by móc podejść i zadać Tau parę pytań. Czy całe to zgromadzenie było rezultatem odkrycia w ogrodzie? W chwili, gdy zadawał sobie to pytanie, handlowe płótna odsłoniły dłonie targujących się i Van Ryck rzucił przez ramię polecenie:

- Odmierz do pudełka dwie pełne łyżki suszonych liści. - Tu wskazał na malutki plastikowy pojemnik.

Dan wykonał polecenie z niezwykłą ostrożnością. Jednocześnie służący wodzowi Salarik zgarnął z drugiego stołka garść kamieni i wysypał je przed Van Ryckiem, który z kolei umieścił je w solidnym pudełku znajdującym się między jego stopami. Paft wstał, lecz nie zdążył jeszcze opuścić swego miejsca, gdy już zajął je jeden z mniej znaczących klanowych przywódców z handlowym płótnem zwisającym luźno z jego dłoni.

W tym momencie ceremonia została przerwana. Na scenie ukazała się grupa, ubrana w praktyczne tuniki Branzowców tworzące brudną brązową plamę wśród tłumu Salarików, pośród których przeciskali się, idąc zwartą grupą. Ludzie z Inter-Solaru. A więc nie opuścili Sargolu. Nie wyglądali na zakłopotanych - tak jakby to Wolni Pośrednicy naruszyli ich prawa. Kallee, ich oficer pokładowy, pomaszerował dumnie wprost na targowisko. Głosy Salarików ucichły, a oni sami cofnęli się, wietrząc dramat i pozwalając, by grupy Ziemian mogły stanąć twarzą w twarz. Van Ryck i Jellico milczeli, oczekując na to, co powie Kallee.

- Tym razem, spryciarze, przeciągnęliście strunę. - Jego drwiący głos brzmiał triumfalnie. - Regulamin trzeci, artykuł szósty, a może wasze

tępe głowy nie są w stanie opanować taśm z przepisami?

Regulamin trzeci, artykuł szósty. Dan starał się przypomnieć sobie

to prawo z regulaminu Służby. Słowa pojawiły się w jego pamięci

dokładnie tak, jak umieścił je tam samouczek podczas pierwszego roku

praktyki w Centrum:

Żadnej obcej rasie Kupiec nie będzie dostarczał jakichkolwiek

rodzajów narkotyków, żywności lub napojów spoza świata, jeśli taka

substancja nie zostanie uznana za nieszkodliwą dla obcych.

A jednak! Handlowcy z Inter-Solaru mieli ich w ręku, i to z jego

winy. Dobrze, lecz jeśli on popełnił taki błąd, to czemu u licha Van Ryck

siedział, handlując w najlepsze. Nie tylko, że darował mu ten błąd, to

jeszcze brnął w przestępstwo, za które mogli dostać się przed oblicze

Rady i stracić uprawnienia handlowe?

Van Ryck uśmiechnął się uprzejmie.

- Regulamin czwarty, artykuł drugi - zacytował, uśmiechając się

jowialnie, jak dobroczyńca rozdający na jarmarkach podarki. -

Regulamin czwarty, artykuł drugi: Każda organiczna substancja

oferowana do handlu musi być zbadana przez zespół ekspertów w

dziedzinie medycyny; zespół powinien składać się z równej liczby

Ziemi i obcych.

Kallee wciąż uśmiechał się zjadliwie.

- No cóż - odezwał się - gdzież to wasz zespół ekspertów?

- Tau - Van Ryck krzyknął w stronę Tau stojącego wśród Kapłanów

Burzy. - Spytaj swego kolegę, czy pozwoli sobie przedstawić oficera

pokładowego, Kallee.

Wysoki i ciemny młody medyk powiedział coś do stojącego obok niego Kapłana i obaj zbliżyli się, przecinając polanę. Van Ryck i Jellico wstali i skłonili czcigłowy przed Kapłanem, podobnie jak i Wódz, z którym właśnie mieli zacząć targi.

- Znaczący chmur i panie wielu wiatrów. - Słowa Tau obfitowały w składające się z wielu samogłosek tytuły Sargolczyka. - Czy pozwolisz, że stanę przed twym obliczem oficer pokładowy Kallee, sługa Inter-Solaru w Królestwie Handlu?

Ogolona czaszka i ciało Kapłana lśniły, rzucając stalowo-szare błyski. Jego niesłychanie błękitno zielone oczy obrzuciły grupę Inter-Solaru spojrzeniem pełnym cynicznej obojętności.

- Czego sobie życzysz! - Kapłan należał do tych, którzy uważają, że od razu należy przechodzić do sedna sprawy.

Kallee nie dawał się onieśmielić.

- Ci trzej Wolni Pośrednicy oferowali twoim ludziom silny narkotyk, który przyniesie dużo zła - mówił wolno, prostymi słowami, jakby zwracał się do smarkacza.

- Masz dowody tego zła? - odparł mu Kapłan. - W czym tkwi zło tej nowej rośliny?

Kallee milczał chwilę zakłopotany. Jednak szybko się pozbierał.

- Nie została zbadana, nie wiesz, jak zareagują na nią twoi ludzie.

Kapłan Burzy potrząsnął głową zniecierpliwiony.

- Kupcze, nie brak nam rozumu. Ta roślina została zbadana

zarówno przez waszego pana tajemnic życia, jak i przez naszego. Nie ma w niej nic szkodliwego; jest raczej czymś dobrym, czymś, co należy bardzo cenić, tak bardzo, że wyrażamy podziękowania za to, że została nam przedstawiona. Ta „wspólna mowa” jest zakończona.

Zebrał obfite faldy swej szaty i oddalił się.

- A teraz - Van Ryck zwrócił się do grupy Inter-Solaru - muszę was prosić o opuszczenie tego miejsca. Zgodnie z regułami Handlu wasza obecność tutaj może napotkać czynny opór.

Kallee niewiele stracił ze swej pewności.

- To jeszcze nie koniec. Taśma z całą sprawą znajdzie się w Radzie.

- Jak sobie życzysz. A tymczasem! - Van Ryck skinął na czekających Salarików, którzy zaczynali już szemrać niecierpliwie.

Kallee rozejrzał się i słysząc te szemrania, wycofał się, wybierając jedyne możliwe rozwiązanie. Nie był aż tak wojowniczy, lecz wiadomo było też, że się nie poddał.

Dan pociągnął za rękaw Tau i zadał mu pytanie, które cisnęło mu się na usta od chwili, gdy się tam znalazł.

- Co się stało z kocią miętą? Poważna dotąd twarz Tau pojaśniała.

- Szczęśliwie dla ciebie ten młodzik zaniósł liście do Kapłanów

Burzy. Zbadali je i zaaprobowali. Nie znaleźli żadnych negatywnych skutków oddziaływania. Thorson, miałeś po prostu szczęście, sprawy mogły potoczyć się zupełnie inaczej.

Dan westchnął.

- Wiem o tym, sir - przyznał. - Nie próbuję się wymigiwać.

- Każdemu czasem zdarzy się przegrzać dyszę. Tylko następnym razem...

Nie musiał kończyć swego ostrzeżenia, gdyż Dan uprzedził go:

- Nie będzie następnego razu, sir, nigdy...

ROZDZIAŁ 4

POLOWANIE NA GORPY

Cale to zamieszanie zmąciło handlowy spokój. Okazało się, że niższy rangą wódz, który tak skwapliwie zajął miejsce Pafta, miał do zaoferowania tylko dwa kamienie Koros i nawet niedoświadczone oko Dana potrafiło stwierdzić, że rozmiarem i kolorytem nie dorównywały tym, które sprzedał jego poprzednik. Ziemianie zdawali sobie sprawę, że wydobywanie Koros jest zajęciem niebezpiecznym, lecz nie wiedzieli, że liczba dostępnych obecnie kamieni jest tak znikoma. W ciągu dziesięciu minut ostatnia z poważniejszych transakcji została zakończona i członkowie klanów opuszczali wypalone pole wokół podpór Królowej.

Dan złożył handlowe płótno, zadowolony, że coś ma do zrobienia.

Wyczuwał, iż daleka jeszcze droga do odzyskania dawnych łask Van Rycka. Złym znakiem był fakt, że przełożony nie omawiał z nim wyników handlu.

Kapitan Jellico wyprostował się. Choć na jego twarzy w zasadzie nigdy nie gościł wyraz pogody ducha, to teraz wydawał się zadowolony.

- Zdaje się, że skończyliśmy. Jaki rezultat polowu?

- Dziesięć kamieni pierwszej klasy, około pięćdziesięciu drugiej i ze dwadzieścia trzeciej. Wodzowie udadzą się jutro na tereny łowieckie.

- A jak tam nasze ziola? - To również zastanawiało Dana. Jasne, że nie można było sprzedawać w nieskończoność tych paru roślin z ogrodu i suszonych liści.

- Tak, jak mogliśmy się tego spodziewać - powiedział zmartwiony

Van Ryck. - Ale Craig uważa, że może znajdzie coś, co pomoże.

Kapłani Burzy wyciągali z ziemi maszt wyznaczający krąg handlu i owijali wokół niego proporzec. Ich przywódca zdążył już odejść, więc Tau wrócił do swoich towarzyszy przy rampie.

- Van mówi, że masz jakiś pomysł - powitał go kapitan.

- Jeszcze tego nie wypróbowaliśmy. I nie możemy, dopóki Kapłani nie wyrażą zgody.

- Rozumie się - przytaknął Jellico.

Kapitan nie kierował tej uwagi bezpośrednio do niego, lecz Dan był przekonany, że jego dotyczyła. Nie musieli się martwić - nie popełni już więcej takiego błędu, tego mogli być pewni.

Dan uczestniczył w naradzie, która odbyła się w mesie, tylko dlatego, że był członkiem załogi. Nie potrafił powiedzieć, jak wielka była niełaska, w jaką popadł, lecz nie próbował zdobywać niczyich względów, nawet Ripa.

Tau dyskutował z Murą, który był doświadczonym przyrodnikiem.

Opisał właściwości kociej mięty i poinformował o ograniczonej ilości, jaką posiadali na pokładzie. Na koniec przedstawił nową sugestię.

- Kotowate z Ziemi, a w rzeczywistości wiele innych naszych ssaków, wykazują podobne zainteresowanie tym.

Mura wyciągnął małą butelkę, którą Tau otworzył i podał kapitanowi Jellico, a ten z kolei przekazał ją dalej. Każdy z nich powąchał mocny aromat. Zapach był intensywniejszy niż ten ze zgniecionej mięty.

Dan nie był pewien, czy mu się podoba. W chwilę później Sinbad wpadł

do pokoju z korytarza i popełnił niewybaczalny grzech, wskakując na stół tuż przed Murą, który właśnie wziął flaszkę od Dana. Kot zamiauczał żałośnie i zaczął drapać w rękaw stewarda. Mura zatkał flaszkę i zdjął kota na podłogę.

- Co to jest? - Jellico zażądał wyjaśnienia.

- Anyżówka, napój sporządzany z oleju anyżowego - z nasion anyżu.

Jest środkiem pobudzającym, lecz używamy go głównie jako przyprawy.

Jeśli okaże się nieszkodliwy dla Salarików, to powinien być lepszym towarem handlowym niż jakiegokolwiek wonności czy przyprawy, które Inter-Solar są w stanie importować. A pamiętajcie, że posiadając nieograniczony kapitał, mogą oni zalać rynek produktami dla nas niedostępnymi, w razie potrzeby mogą je sprzedawać ze stratą po to tylko, żeby nas wyeliminować. Ich statek nie odleci z Sargolu tylko dlatego, że przybył tu nielegalnie.

- O to chodzi - wtrącił Van Ryck. - Eysie handlują lub chcą handlować wonnościami. Sprzedają jednak tylko gotowe produkty, egzotyczne, lecz syntetyki. - Wyciągnął z sakiewki u pasa dwa malutkie pudełka.

Zanim jeszcze Dan poczuł intensywny zapach pasty w pudełkach, rozpoznał je jako luksusowe przedmioty z Casper. Zawierały chemiczne produkty, które dobrze się sprzedawały po dość wysokich cenach w cywilizowanych portach Galaktyki. Szef Ładowni odwrócił pudełka do góry dnem, ukazując inicjały na ich spodach - był to znak Inter-Solaru.

- Sprzedał mi je jeden z Salarików. Wziąłem je, by mieć dowód na

to, że Eysie tu handlują. Zwróćcie uwagę, że otrzymałem je w transakcji z dwoma najwyższej jakości Koros! I to za co? Za jedną łyżkę suszonych liści kociej mięty. Czy to wam coś mówi? Pierwszy odezwał się Mura:

- Salarikowie wolą produkty naturalne od syntetyków.

- Zgadza się.

- Czy myślisz, że to była tajemnica Cama? - Zastanawiał się astronawigator, Steen Wilcox.

- Jeśli nawet - wtrącił Jellico - to zatrzymał ją dla siebie. Gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej.

Wszyscy myśleli teraz o tym samym, o ich magazynach pieczolowicie wypełnionych bezużytecznymi towarami. Gdyby wiedzieli wcześniej, tę samą powierzchnię można było załadować ziołami o pięcio- lub dwudziestopięciokrotnie większej sile nabywczej.

- Może teraz, gdyśmy już przełamali ich handlowy opór, możemy spróbować innych towarów - wtrącił z zadumą Tang Ya, oderwany od swych ukochanych radiostacji. - Lubią kolory, może by tak rozwinąć im parę bel harlińskiego jedwabiu.

Van Ryck westchnął ciężko.

- Och, spróbujemy. Wystawimy wszystko, co się da, ale można było na tym wyjść dużo lepiej - rozmyślał o figlach, jakie płała los, który sprawił teraz, że wylądowali na planecie spragnionej handlu bez odpowiednich towarów w ładowniach.

W kajucie dał się słyszeć odgłos przepaszającego chrząknięcia.

Jasper Weeks, mały konserwator z załogi maszynowni, kolonista trzeciej

generacji na Wenus, o którym bardziej wymowni członkowie załogi

Królowej zwykle zapominali, widząc oczy wszystkich zwrócone na siebie,

szepnął chrypliwie:

- Cedr - kora lacquel, trawa forsh.

- Cynamon - Mura dorzucił do listy. - Importowane w małych

ilościach.

- Naturalnie! Ważne tylko, ile cedru, kory lacquel, trawy forsh i

cynamonu mamy na pokładzie? - Spytał z sarkazmem Van Ryck.

Jego sarkazm nie dosięgnął! jednak Weeksa, gdyż ten precisnął się

obok Dana i ku zaskoczeniu wszystkich opuścił kabinę. W ciszy, która

nastąpiła, usłyszeli stukot jego butów na szczeblach drabiny, gdy schodził

do pomieszczeń personelu maszynowni.

Tang zwrócił się do swego sąsiada, Johna Stotza, który był głównym

mechanikiem Królowej.

- Po co on tam idzie?

Stotz wzruszył ramionami. Weeks był skromnym człowiekiem, na

tyle skromnym, by nawet na dość ograniczonej powierzchni statku nie

dać się lepiej poznać współtowarzyszom, z czego właśnie zaczęli sobie

zdawać sprawę. Za chwilę usłyszeli kroki powrotne i Weeks wpadł do

kajuty z impetem, który zaniósł go aż do stołu zajmowanego przez

kapitana i Van Rycka.

W dłoniach trzymał plastikowo-metalowe pudełko - skarbiec

każdego astronauty. Jego mocna obudowa gwarantowała bezpieczeństwo

zawartości przed wszystkimi z wyjątkiem zupełnego rozpadu. Weeks

położył pudełko na stole i otworzył wieko.

Nowy aromat, czy aromaty, dołączył do reszty mieszających się teraz zapachów w kajucie. Weeks wyciągnął garść czegoś białego i puszystego, co spowijało jego palce niczym delikatna pianka. Następnie, z większą już ostrożnością, podniósł tackę z przegródkami, z których każda posiadała osobne wieczko.

Członkowie załogi Królowej zaczęli przysuwać się z rosnącą ciekawością, popychając się wzajemnie.

Wzrost Dana dawał mu przewagę, chociaż potężne cielsko Van Rycka i szerokie bary kapitana oddzielały go od przedmiotu, na którym skupiła się teraz ich uwaga. W każdej przegródce tacki leżała rzeźbiona figurka, doskonale widoczna poprzez przeźroczyste wieko. Byli tam przedziwni mieszkańcy polarnych bagien na Wenus, wyglądające jak żywe podobizny ziemskich zwierząt, pełna okrucieństwa marsjańska mysz piaskowa, jak również okazy zwierząt i gadów charakterystyczne dla kilkudziesięciu innych światów. Obok pierwszej Weeks położył drugą tackę, również ukazującą menażerię dziwnych form życia. Dopiero jednak, gdy otworzył jedną z przegródek i wręczył kapitanowi znajdującą się w niej figurkę, Dan zrozumiał, dlaczego Weeks pokazuje swoje rzeźby.

Większość z nich zrobiona była z matowego, niebiesko szarego drewna. Dan wiedział, że gdyby podniósł którąś, to stwierdziłby, że prawie nic nie waży. Była to kora lacquel - aromatyczny produkt winorośli z Wenus. Każde z miniaturowych zwierząt lub gadów leżało zanurzone w miękkiej kępcie puszystej, białej trawy forsh, która była

pachnącą skorupką nasion roślin porastających kanały Marsa. Jedna czy dwie figurki z drugiej tacy wykonane były z czerwono brązowego drewna, które Van Ryck powąchał z uznaniem.

- Cedr, ziemski cedr - mruknął.

Weeks przytaknął skwapliwie z roziskrzonym wzrokiem. - Czekam

teraz na drzewo sandałowe, też się nadaje do rzeźbienia.

Jellico przyglądał się figurkom w zdumionym zachwycie.

- Ty je zrobiłeś?

Sam, będąc niepośledniej miary ksenobiologiem amatorem, zwrócił szczególną uwagę nie tyle na surowiec, z którego zrobiono rzeźby, co na ich kształty.

Każdy na pokładzie Królowej miał jakieś hobby. Monotonia

podróży w hiperprzestrzeni wymagała zajęcia zarówno dla rąk, jak i

umysłu na długie, jałowe dni, podczas których zmuszeni byli przebywać

wspólnie, nie mając zbyt wielu obowiązków utrzymujących ich w

aktywności. Kajutę Jellico zaśmiecały trójwymiarowe rysunki rzadko

spotykanych zwierząt i nieznanych stworów, które badał w swych

rodzinnych stronach lub o których zbierał pracowicie wszelkie

informacje. Tau miał swoją magię, Mura oprócz swych roślin również

miniaturowe krajobrazy, które sam kształtował i zamykał na zawsze we

wnętrzach plastikowych kul. Jedyne Weeks nigdy dotąd nie pokazywał

swjej pracy i teraz promieniał olbrzymią radością artysty mogącego

wprawić swych towarzyszy w kompletne zdumienie.

Oficer pokładowy pierwszy wrócił do omawianej sprawy.

- Jesteś gotów przekazać je jako towar? - Spytał żywo. - Ile ich masz?

Weeks wyciągnął z pudełka trzecią i czwartą tacę, po czym

odpowiedział, nie podnosząc wzroku:

- Dwieście. Tak, oddam je, sir. Kapitan obracał w palcach pięknie

ukształtowaną figurę dwurożca z Astry.

- Szkoda będzie handlować czymś takim - odezwał się smutno. - Czy

Paft albo Halfner docenią tu coś więcej niż tylko zapach?

Weeks uśmiechnął się zażenowany.

- Miałem je już przygotowane. I tak chciałem ofiarować je na próbę

panu Van Ryckowi. Zawsze mogę zrobić inny zestaw. I właśnie teraz,

biorąc pod uwagę, że są wykonane z aromatycznego drewna, mogą okazać

się bardziej przydatne dla Królowej niż gdziekolwiek indziej. A

przynajmniej Eysie nie będą mogli pochwalić się czymś takim! -

Zakończył z wyraźną dumą.

- Z pewnością nie! - Przyznał mu Van Rycke.

Planując jutrzejszy sukces rozeszli się, by przespać przynajmniej

resztę nocy. Dan wiedział, że nie darowano mu ani nie zapomniano jego

gafy. Obecnie jednak był zbyt zmęczony, by przejmować się tym, i zasnął

tak, jakby nic go już nie trapiło.

Rankiem zjawiała się tylko garstka mniej ważnych członków klanów,

którzy poza nowinami nic nie mieli do zaoferowania. Kapłani Burzy jako

neutralni sędziowie podzielili tereny występowania Koros. Członkowie

klanów przystąpili więc do połowów kamieni pod osobistym nadzorem

swych wodzów. Ze strzępów informacji Ziemianie dowiedzieli się, że

poszukiwania klejnotów nigdy dotąd nie były prowadzone na tak dużą skalę.

Nim zapadła noc, otrzymali kolejne wieści, niestety mniej pomyślne. Paft, jeden z dwóch głównych wodzów w tej części Sargolu, został zaatakowany i zabity przez gorpa podczas nadzorowania pracy swych poddanych na nowo odkrytym i obfitującym w kamienie obszarze wokół raf. Niespotykana dotąd aktywność Salarików na płycznach zwabiła tam mnóstwo inteligentnych, przebiegłych gadów, które zaatakowały masowo zabijając i uciekając, nim Salarikowie zdolali sformować odpowiednią obronę. Zaatakowały zniecka straż mieszkańców tego rejonu, po czym ruszyły na pracującą w pocie czoła zasadniczą grupę myśliwych.

Strata pewnej liczby górników czy też myśliwych była wkalkulowana w cenę, jaką trzeba było zapłacić za Koros. Lecz śmierć wodza stanowiła poważną sprawę, a jej następstwa wykraczały daleko poza samą śmierć Pafta. Gdy wiadomość ta dotarła do Salarików znajdujących się w pobliżu Królowej, ci zniknęli w trawiastym lesie i po raz pierwszy Ziemianie przestali czuć na sobie ich szpiegowski wzrok.

- I co teraz? - Zastanawiał się Ali. - Czy wycofają się ze wszystkich transakcji?

- Tak, niestety, może się zdarzyć - przyznał Van Ryck.

- Może się zdarzyć - Rip zwrócił się do Dana - że pomyślą sobie, iż w jakimś sensie jesteśmy za to odpowiedzialni.

Dan, świadomy i czuły na wszelkie aspekty handlu z Salarikami,

zdążył już o tym pomyśleć.

nie wiedząc, jaka taktyka będzie najlepsza, Ziemiańskie roztropnie zdecydowali nie podejmować na razie żadnych kroków. Gdy jednak następnego ranka nikt z Salarików nie pojawił się, poczuli się nieswojo.

Zastanawiali się, czy śmierć Pafta nie przyniosła jakiejś klótni o przywództwo między klanami, które wycofały się, by pozwolić pretendentom do tytułu na rozstrzygnięcie sporu. Czy też - co było bardziej prawdopodobne i niebezpieczne - tamci doszli do wniosku, że to głównie Królowa jest winna tej katastrofie i przygotowywali gorące przywitania Kupcom, którzy ośmieliliby się ich odwiedzić.

Pamiętając o tym, nie oddalali się zbyt daleko od statku. Granicą, do jakiej odważali się wypuszczać, była krawędź lasu, z którego mogli zostać zaatakowani, tak więc nie byli w stanie wiele się dowiedzieć.

Był już późny ranek, gdy okazało się, iż nie dość, że nikt nie uważa ich za wrogów, ale mieli nawet zostać zaproszeni do udziału w Ceremonii Pokojowej. Ceremonie takie odbywały się podczas tymczasowego, lecz ściśle obowiązującego zawieszenia broni.

Oto pojawił się z wielką pompą młody wojownik Salarik, ubrany we wspaniałą płaszcz rozdarty i powiewający strzępami na znak oficjalnej żałoby. W jednej ręce trzymał wypaloną pochodnię, w drugiej zaś obnażony szponiasty nóż, którego ostrze odbijało słoneczne promienie złowrogim blaskiem. Za nim szła świta składająca się z sześciu młodych wojowników, również ubranych w rozerwane płaszcze i niosących obnażone noże.

Kapitan, astronawigator, Szef Ładowni i główny mechanik, czyli wszyscy starsi oficerowie, stali na rampie, by przyjąć oficjalną delegację. Wojownik niosący pochodnię przedstawił się w dźwięcznie brzmiącym handlowym żargonie jako syn i spadkobierca zmarłego Pafta. Wyjaśnił, że dopóki jego ojciec, jako były wódz, nie zostanie krwawo pomszczony, on nie będzie mógł stanąć na czele rodziny ani objąć przywództwa klanu. A teraz, zgodnie ze zwyczajem, zapraszał przyjaciół i „czasem sprzymierzeńców” zmarłego Pafta na polowanie na gorpy. Dan zorientował się, słuchając pilnie niezwykle kwiecistej mowy Salarika, że chodzi o polowanie, jakie dotąd nie miało miejsca na Sargolu. W przeszłości niejeden Salarik zginął od morderczych szponów wodnych gadów, lecz rzadko śmierć osiągała wodza, dlatego jego klan tak bardzo pragnął, by zabójcy zapłacili krwią.

- Tak więc, władcy nieba - kończył swe przemówienie Groft - przychodzimy prosić was, byście przysłali na polowanie swych młodych ludzi, by zaznali radości zatopienia noża w „opancerzonej śmierci” i ujrzeli, jak rogate bestie umierają skąpane w swej ohydnej krwi. Dan nie musiał pytać innych oficerów, by zorientować się, że zaproszenie to mocno odbiegało od przyjętych zwyczajów. Przyłączając się do tej wyprawy tubylców, Ziemianie mogli osiągnąć pewien stopień pokrewieństwa z nimi, które cementowało ich wzajemne stosunki więzami trudnymi do rozerwania dla ludzi Inter-Solaru czy jakichkolwiek innych intruzów. Jeszcze trzy dni temu nie śmieliby nawet marzyć o tak pomyślnym obrocie sprawy.

Van Ryck odpowiedział na zaproszenie Salarików. Jego głos brzmiał odpowiednio mocno, gdy wybierał co bardziej kwieciste wyrażenia dźwięcznego języka, którego wszyscy uczyli się w czasie podróży, korzystając z nagrań Cama. Oczywiście, Ziemianie chętnie przyłączą się do tak ważnej i wielkiej sprawy. Użyczą siły swego ramienia, by pokonać wszystkie gorpy, które szczęśliwie staną na ich drodze. Groft musi tylko wyznaczyć porę, kiedy mają się do niego przyłączyć.

Nie było to jednak konieczne, gdyż młody wódz Salarików pośpiesznie oświadczył, że starsi władcy nieba uczynią to według własnego uznania. W rzeczywistości oznaczało to znowu wyłom w zwyczajach, gdyż było przyjęte, że polowania prowadzą doświadczeni wojownicy tak, by zdobyć chwałę i moc stanąć w świetle ognia podczas ceremonii Pasowania na Mężów. Teraz wyciągnięty szponiasty kciuk Grofta wskazał na Ziemian - niech ten, tamten i ten czwarty będą gotowi dołączyć do grupy Salarików dziś na godzinę przed południem i wtedy z pewnością dadzą I porządną nauczkę tym ohydny, zdrażliwym i czającym się w dziurach gadom.

Salarik bezbłędnie, z jednym tylko wyjątkiem, wybrał najmłodszych członków załogi. Byli to Ali, Rip i Dan, w takim porządku. Jako czwartego wybrał Jaspersa Weeksa. Być może naturalna bladość i mizerna postura konserwatora sprawiły, że wydał się tamtemu młodszy, niż był w rzeczywistości. W każdym razie Groft dał wyraźnie do zrozumienia, że wybiera tych mężczyzn, i Dan wiedział, że oficerowie Królowej nie będą się sprzeciwiać, gdyż mogłoby to zakłócić delikatną równowagę

korzystnych stosunków.

Van Ryck poprosił jednak o jedno ustępstwo, na które, choć niechętnie, wyrażono zgodę. Otrzymał pozwolenie, by jego ludzie mogli wziąć paralizatory. Salarikowie bowiem przestrzegali od dawna obowiązującego zwyczaju, zgodnie z którym sprzeciwiali się polowaniu na ich odwiecznego wroga z bronią inną niż ta, której używają w czasie pojedynków, to jest siecią i szponiastym nożem.

- Idźcie z nimi - kapitan Jellico wydał całej czwórce końcowe polecenie - ale tylko na tak długo, dopóki wasze życie nie znajdzie się w niebezpieczeństwie, rozumiecie? Martwi bohaterowie nigdy jeszcze nie pomogli w starcie rakiety. Z tego, co mówią, te gorpy to twarde sztuki. Będziecie musieli sami zdecydować, czy użyć waszych pistoletów. - Myśl o tym najwyraźniej zmartwiła go.

Ali szczyrzył zęby w uśmiechu, a mały Weeks zacisnął swój pas bojowy ze swadą, jakiej nigdy dotąd nie okazywał. Rip pozostawał taki sam jak zawsze, spokojny, niezawodny, podpora pozostałych. To on bez jakichkolwiek ustaleń przejął komendę, gdy wychodzili, by dołączyć do grupy Grofta.

ROZDZIAŁ 5

NIEBEZPIECZNE MORZA

Myśliwi przedzierali się przez trawiasty las w rodzinnych grupach, co pozwoliło Ziemianom zorientować się, że przedsięwzięcie to spowodowało kolejne, niezbyt szczęśliwe zawieszenie broni w tym okręgu, gdyż poza ludźmi Pafta szli także przedstawiciele innych klanów.

Wszyscy Salarikowie byli młodymi wojownikami, którzy idąc w grupach paplali podekscytowani. Jasne było, że polowanie na tak dużą skalę nie ograniczało się tylko w swym charakterze do zemsty na znenawidzonym wrogu, lecz stanowiło również dużej wagi wydarzenie sportowe.

Teraz trawiaste drzewa zaczęły się przerzedzać, aż w końcu znaleźli się na terenie porośniętym jedynie ich kępami, tak że grupa, do której dołączyli Ziemianie, posuwała się szlakiem idącym przez wysokie do kolan paprocie żółtawo-czerwone. Większość Salarikow zabrała nie zapalone pochodnie, niektórzy po cztery i pięć, tak jakby polowanie na gorpy miało odbywać się nocą. I rzeczywiście, było już późne popołudnie, gdy stanąwszy na szczycie wzniesienia, spojrzeli na jedno z mórz Sargolu.

Woda miała barwę metalicznej szarości z wielkimi smugami purpury, jakby artysta chlapał pędzlem, nie trafiając w odpowiednie miejsca. Czerwony piasek, rozjaśniony złotymi cętkami, rozciągał się aż do krawędzi drobnych fal rozbijających się leniwie na łuku wybrzeża. W oddali piętrzyły się w zwartych szeregach główne wyspy, na szczytach których rosły trawiaste drzewa szumiące pod wpływem morskiego wiatru.

Wyszli na plażę w miejscu, gdzie jedno z takich purpurowych pasm dotykało brzegu i Dan spostrzegł, że pozostawiło ono pienisty ślad. Ziemianie zbliżyli się do krawędzi wody. Tam, gdzie nie było w wodzie purpurowej substancji, można było z trudnością dostrzec dno, lecz piana skrywała długie połacie brzegu i fal po zewnętrznej stronie wysp. Dan zastanawiał się, czy gorpy wywoływały ją, by zamaskować swą obecność. Chwilowo Salarikowie przestali iść w stronę morza, które miało być ich terenem łowieckim. Zamiast tego najmłodszy uczestnicy polowania, wśród których byli młodzieńcy nie uprawnieni jeszcze do noszenia szponiastego noża świadczącego o ich dojrzałości, rozbiegli się po plaży, przystępując energicznie do zbierania drewna wyrzuconego przez fale. Drewno to układali w stosy na piasku. Obserwując ich pracę, Dan spostrzegł coś długiego i gładkiego. Zawołał Weeksa, pokazując na ten zaokrąglony wodą cylinder. Oczy konserwatora rozbłysły, po czym schylił się, by to podnieść. Pozostałe patyki pochodziły z trawiastych drzew, lecz to było coś innego. Wśród wyblakłej reszty ten miał barwę płomienia, był intensywnie purpurowy. Weeks obracał go w dłoni, gładził czule jego wspaniałe słoje. Nawet w tak surowym stanie był piękny. Zatrzymał Salarika, który właśnie przyniósł kolejną wiązkę drewna.

- Co to jest? - spytał niezdarnie w handlowym żargonie. Tubylec popatrzył na patyk dość obojętnie.

- To migdałowiec - odpowiedział. - Rośnie na wyspach. - Mówiąc to, uczynił ręką dość enigmatyczny ruch, obejmujący spory kawałek zachodniego morza, po czym oddalił się. Weeks ruszył samotnie wzdłuż

linii pływu, a Dan za nim. Po kwadransie, gdy wezwani okrzykami wrócili do rozpalonego teraz ogniska, mieli już około dziesięciu kawałków drewna migdałowego. Niektóre ze znalezionych kawałków były długie na trzy stopy o średnicy czterech cali, inne to zaledwie cienkie gałązki, nie większe od używanego do pisania steelo, lecz wszystkie były niesłychanie gładkie, o ciepłym, płomiennym zabarwieniu. Weeks związał je razem, zanim dołączył do grupy, w której Graft wyjaśniał Ziemianom technikę łowienia gorpów.

Jakieś dwieście stóp od nich wrzynała się w morze rafa, często zalewana wodą i zabarwiona purpurową pianą; jej długi łuk tworzył naturalny falochron. To był cel ich ataku. Najpierw jednak należało usunąć warstwę piany, aby mieszkańcy lądu i morza mieli równe szansę. Ogień rozpalał się, obejmując coraz więcej drewna. Od ognia odrywały się postaci młodych Salarików, którzy z zapalonymi pochodniami podbiegali do krawędzi wody i z rozmachem ciskali je w purpurowe plamy. Na wodzie wybuchały płomienie, które z niezwykłą szybkością pędziły po grzbietach niskich fal. Salarikowie, kaszląc, chowali nosy w swych wonnych pudełkach, gdyż wiejący od morza wiatr niósł ze sobą okropny smród. W miejscach, gdzie oczyszczający płomień przebiegał po wodzie, pozostawała jedynie naturalna metaliczna szarość wody, a purpurowa warstwa znikła. Starsi wojownicy wybierali teraz uważnie pochodnie spośród tych, które przynieśli ze sobą. Graft podszedł do Ziemian, niosąc cztery.

- Tych użyjecie teraz!

Po co? - zastanawiał się Dan. Słońce wciąż jeszcze widoczne było na niebie. Trzymał swą pochodnię i obserwował Salarikow, by zobaczyć, co robią z pochodniami.

Groft ruszył pierwszy - biegł lekko po rafie, skacząc zwinnie tam, gdzie woda przelewała się przez skałę. Pozostali tubylcy ruszyli za nim.

Każdy z nich trzymał zapaloną pochodnię, którą przydawszy umieszczał mocno w szczelinie, po czym stawał obok swej latarni.

Ziemiańskie posuwali się tą samą drogą, lecz mniej pewnie w swych kosmicznych butach. Mokrzy od wodnego pyłu, marszczyli nosy z powodu unoszących się z wody smrodliwych oparów.

Idąc za przykładem Salarikow, zwrócili się w stronę morza, lecz

Dan nie wiedział, czego ma szukać. Cam pozostawił im bardzo ogólny opis gorga. Wiedzieli tylko, że jest to gad, inteligentny i niebezpieczny.

Gdy wojownicy zajęli swe stanowiska wzdłuż rafy, do akcji ponownie przystąpili młodszy Salarikowie. Zapalając przy ognisku jeszcze więcej pochodni, biegli wzdłuż posterunków starszych i ciskali je, jak mogli najdalej w morze na zewnątrz rafy.

Stałowoszara dotąd woda odbijała teraz żółty blask zachodzącego słońca. Żółta i brunatnożółta woda zaśniła jeszcze bardziej, gdy rzucone przez Salarikow pochodnie wzniciły ogień na pływających plamach piany. Dan zasłonił oczy przed blaskiem i starał się obserwować wodę, myśląc, że takie posunięcie musi być prowokacją i zobaczy wreszcie stworzenia, na które polują.

Trzymał w pogotowiu swój paralizator tak sarno, jak Salarik z jego

prawej strony trzymał w jednej ręce szponiasty nóż, a w drugiej

przygotowaną sieć, która miała usidlić i unieruchomić ofiarę,

umożliwiając jej zabicie.

Lecz pierwszy gorp uderzył na oddalonym od niego odcinku rafy -

był to najbardziej uhonorowany posterunek, który Gofit zazdrośnie

zarezerwował dla siebie. Gdy rozległ się dziki obronny okrzyk, Dan

odwrócił się nieco i ujrzał, jak dostojnik Salarików zarzuca swą sieć na

poziomie morza, a potem sprawnie zadaje okrutne pchnięcie. Gdy uniósł

ramię do ponownego ciosu, zielonkawa posoka spłynęła z ostrza na jego

nadgarstek.

- Dan!

Thorson odwrócił głowę. Ujrzał bąbelki zbliżające się wprost do

skał, na których stał, chwiejąc się. Ten ruchomy klin wodny nie wydawał

mu się dość pewnym celem, więc czekał. Instynktownie zgiął nogi w

półprzysiadzie i przyjął pozycję bojową. Pomyślał, że przydałby się teraz

blaster.

Żaden z Salarików stojących po obu jego stronach nie poruszył się i

Dan odgadł, że taka zasada obowiązywała na polowaniu. Każdy sam

musiał stawić czoło potworowi, który rzucił mu wyzwanie, i zabić go.

Wiedział, że od umiejętności, jakie wykaże w ciągu następnych paru

minut, zależeć będzie reputacja wszystkich Ziemi, przynajmniej jeśli

chodziło o ich kontakty z tubylcami. Teraz pod powierzchnią metalicznej

wody pojawił się jakiś niewyraźny kształt, którego Dan nie widział dobrze

poprzez zniekształcające mętne fale. Wciąż czekał, by mieć pewność.

Nagle to coś bluznęło wodą i koszmarny potwór wynurzył się do połowy, oddalony tylko o cale od czubków jego butów. Równie długie jak jego ramiona, szczypcowate szpony próbowały go dosięgnąć.

Nieświadomy tego, co robi, nacisnął przycisk swego pistoletu, celując w kierunku tego morskiego ohydztwa.

Ku jego całkowitemu zdumieniu stworzenie nie zostało odrzucone do swego wodnego świata, z którego się wynurzyło. Zamiast tego szpony zamierzyły się ponownie i tym razem zaczepiły o czubek buta Dana, zostawiając bruzdę w tworzywie, którego nie mógłby naciąć najostrzejszy nawet nóż.

- Doładuj mu! - Usłyszał głos Ripa, który zachęcał go ze swego oddalonego posterunku na rafie.

Dan naciskał spust. Pazury cięły powietrze, a z otwartej żabiej paszczy monstrum ciekła ślina. Paszcza ta uzbrojona była w okropne zęby rekina. Zwierzę wylazło prawie całe z wody i sunęło na licznych krabich nogach, a jego górna, uzbrojona w pazury łapa próbowała dosięgnąć Dana. Nagle zatrzymało się. Jego olbrzymia głowa kołysała się z boku na bok w chroniącej je naturalnej zbroi pancerza. Zwierzę przysiadło, jakby szykując się do końcowego skoku - skoku, który z pewnością zepchnąłby Dana do morza.

Atak taki jednak nie nastąpił. Zamiast atakować gorp zaczął kurczyć się w swojej skorupie, aż przypominał tylko ciężką kulę niezniszczalnej zbroi i tak już pozostał.

Salarikowie stojący po obu stronach Dana wydali okrzyk triumfu i

zbliżyli się. Jeden z nich zakreślił znacząco swą siecią, widząc, że Ziemianin nie posiada tej podstawowej części ekwipunku myśliwego. Dan przytaknął mu żywo i tamten wprawnym ruchem zamachnął się siecią, chwytając w nią znieruchomiałe zwierzę. Skorupa chroniła je tak szczelnie, że nie było sposobu, by dosięgnąć stworza szponiastym nożem. Zostało schwyte, lecz nie można było go zabić.

Mimo to Salarikowie nie posiadali się z radości. Kilkunastu opuściło swe stanowiska, by pomóc chłopcom wciągnąć potwora na brzeg, gdzie unieruchomiono go, wbijając pale przez oka sieci. Niewiele jednak czasu mieli myśliwi, by cieszyć się tak sprzyjającymi okolicznościami. Gorp zabity przez Grofta i ten rażony przez Dana stanowiły zaledwie część armii. Wkrótce myśliwi na rafie stawiali czoło sile tnących szponów i diabolicznej waleczności.

Nie można było powiedzieć, że bitwa jest jednostronna. Dan obrócił się, słysząc rozdzierający krzyk agonii. Zdążył zobaczyć, jak jeden z Salarików, rozszarpany szponami gorpa, znika pod wodą. Za późno było na ratunek, choć Dan, balansując na samej krawędzi rafy, skierował promień w krwawe fale. Nie wiedział, czy trafił gorpa, gdyż zarówno ofiara, jak i atakujący pozostali pod wodą.

Ali miał więcej szczęścia w ratowaniu Salarika, z którym polował na tym samym odcinku i którego teraz z raną uda, tryskającą krwią, odciągano w bezpieczne miejsce. Gorp, który zbyt wolno zwijał się przed promieniem Alego, został dosłownie poćwiartowany na kawałki przez mściwe noże krewnych rannego.

Walka przerodziła się w wiele indywidualnych pojedynków prowadzonych teraz w świetle ogni w miarę, jak zapadał zmrok. Ostatnia z purpurowych plam wypaliła się. Dan przykucnął obok wetkniętej w szczelinę pochodni, wypatrując w morzu złowieszczego bulgotania, zdradzającego kolejnego gorpa gotującego się do ataku na rafę.

Wzdłuż raf spryskanych wodą panowało takie zamieszanie, że nie był w stanie powiedzieć, co się działo. Nie wyglądało jednak na to, by gorpy miały dość.

Kolejny okrzyk odwrócił uwagę Dana. Z pewnością nie był to krzyk żadnego z Salarików. Wstał. O cztery stanowiska za nim ustawiony był Rip. Wysoki zastępca astronawigatora stał tam oświetlony światłem pochodni. Ali - nie, to był zastępca mechanika Weeks? Ale Weeks wycofywał się właśnie w wielkim pośpiechu po rafie do brzegu. Rozległ się kolejny okrzyk. Ziemianie zamarli.

- Wracaj! - To był głos Weeksa, który wymachiwał gwałtownie w stronę brzegu i czegoś, co szamotało się w obrębie zabezpieczającego koła rafy. Młodszy Salarikowie, którzy rozniecali ogień, zbili się w gromadkę na krawędzi wody.

Nadbiegł Ali, który ostatni kawałek drogi pokonał skokiem i wylądował niebacznie po kolana w wodzie. Dan dostrzegł światło odbite od jego pistoletu, gdy mignął nim w szerokim łuku, celując w stronę miejsca gwałtownej walki. Trzeci okrzyk przeszedł w jęk i wtedy Salarikowie rzucili się do wody z rozciągniętymi sieciami, wyciągając przez fale ciemną i spokojną już masę.

Fakt, że przynajmniej jeden gorp zdołał przedostać się do wnętrza rafy, zrobił wrażenie na pozostałych tubylcach. Po krótkiej chwili niepewności Groft dał sygnał do odwrotu. Wycofując się, zabrali swe przerażające trofea. Dan naliczył siedem ciał gorpów, nie licząc tego uwięzionego na brzegu. Istniała możliwość, że inne zsunęły się do morza, by tam zdechnąć. Ze strony Salarików zginęło dwóch myśliwych, jeden z nich został wciągnięty do morza na oczach Dana i co najmniej jeden z nich był ciężko ranny. Ale kto w takim razie został wciągnięty na płyciznę, ktoś wysłany z wiadomością z Królowej?

Dan popędził z powrotem na rafę, zostawiając wetkniętą pochodnię. Tuż przed brzegiem wyprzedził go Rip. Ten, który leżał, jęcząc na piasku, nie był z Królowej. Na rozdartej i pochłapanej krwią tunice skrywającej poszarpane ramiona widniało godło Inter-Solaru. Ali był już przy nim i udzielał pierwszej pomocy z apteczki przy pasie. Tamten nie odpowiadał z uporem na żadne z ich pytań, nie mógł lub nie chciał.

W końcu pomogli Salarikom sklecić trzy pary noszy. Na większych leżał gorp skrępowany siecią, wciąż skryty w chroniącej go kuli swego pancerza. Drugie nosze przeznaczone były dla młodego Salarika, a na trzecich Ziemianie położyli człowieka z Inter-Solaru.

- Zaniesiemy go na jego statek-zdecydował Rip. - Musiał nas szpiegować.

Spytął przechodzącego Salarika, gdzie mogą znaleźć statek Kompanii.

- Mogą sobie pomyśleć, że to nasza wina - zasugerował Ali. - Wiem

chyba, co masz na myśli. Jeśli zataszczymy go na Królową, a on wykorkuje, to mogliby powiedzieć, że mu w tym pomogliśmy. Dobra, chłopaki, startujemy, na mój gust nie jest z nim najlepiej.

Ruszyli szybko ścieżką, zmieniając się kolejno przy noszach; prowadził ich młody Salarik z pochodnią. Na szczęście statek Inter-Solaru był bliżej morza niż Królowa, tak że minąwszy bardziej grząski teren zaczęli biec.

Choć statek Kompanii był prawdopodobnie najmniejszy z całej floty Inter-Solaru, to i tak był o jedną trzecią większy od Królowej. Część tej jednej trzeciej niewątpliwie przeznaczona była na specjalne towary. W porównaniu z nim ich własny statek nie tylko wydawał się mniejszy, lecz zniszczony i sponiewierany. Mimo to żaden Wolny Pośrednik nie przyjąłby odznaki Kompanii, nawet za cenę dowodzenia tak nowiutkim statkiem.

Kiedy ktoś opuszcza Centrum i dostaje pierwszy przydział, to trafia na statek, na którym najlepiej wykorzysta swój temperament, praktykę i zdolności. I tak, obdarzeni mianem Wolnych Pośredników, nie pasowaliby do ludzi Kompanii. Ostatnimi laty alarmująco zwiększała się przepaść między tymi, którzy żyli pod ścisłą rodzicielską kontrolą jednej z pięciu organizacji obejmujących swym zasięgiem całą Galaktykę, a tymi, którym indywidualność nie pozwoliła prowadzić innego życia niż tułaczkę na wpół badacza i pioniera. Antagonizm był wciąż żywy, a rywalizacja mocna. Jak na razie wielkie Kompanie same były w stanie zimnej wojny, rywalizując o profity z rozrzuconych układów. Wolni Pośrednicy zwykle

zbierali okruchy i było to ogólnie przyjęte, wyjąwszy przypadki takie jak Sargol, gdy okruchy okazały się ukrytym tortem na tyle dużym, by przyciągnąć olbrzyma.

Zdecydowany rozkaz zatrzymania się przywitał załogę Królowej, gdy dotarli do rampy drugiego statku. Rip zażądał rozmowy z oficerem wachtowym, któremu w miarę możliwości zrelacjonował zdarzenie z rannym. Szybko zabrano go na pokład, z którego nie padło ani jedno słowo podziękii.

- To jest to - wzruszył ramionami Rip - chodźmy lepiej, zanim nie zatrzasną luku tak, że im podpory odlecą.

- Uprzejmi, co? - zauważył łagodnie Weeks.

- A czego spodziewacie się po Eysie? - dopytywał się Ali. - Dla nich

Wolni Pośrednicy to śmieci z prowincjonalnych planet. Wracajmy tam, gdzie nas doceniają.

Krótszą drogą dotarli na Królową i weszli w szeregu na rampę, by zdać raport kapitanowi.

Groft i jego łowcy gorpów nie przynieśli Ziemianom oczekiwanej satysfakcji. Z zaskoczeniem stwierdzili następnego dnia, że żaden Salarik nie pojawił się w celach handlowych. Zamiast tego zjawila się druga delegacja, składająca się tym razem ze starszych mężczyzn i Kapłanów Burzy. Przybyli z zaproszeniem na uroczystości pogrzebowe Pafta, po których miało nastąpić uroczyste mianowanie Grofta na miejsce pomszczonego już teraz ojca. Ze słów członków delegacji jasno wynikało, że zaproszenie Ziemian, którzy wzięli udział w ich polowaniu, uważane

było za ścisłe wypełnienie tradycji.

Ciągnęli losy, by wybrać dwu, którzy mieli zostać na statku, reszta zaś wyperfumowała się, by nie dać powodu do jakiegokolwiek urazy, co mogłoby zniszczyć tak dobre stosunki. Po południu eskorta Salarików mająca pełnić honory czekała na nich na skraju lasu. Mura i Tang odprowadzili ich. Szli ubitą drogą w kierunku odwrotnym do targowiska, poprzedzani przez bębniącego herolda. Las, którym się posuwali, skończył się i wyszli na kilkunastomilową przestrzeń zupełnie pozbawioną roślinności, w której mógłby znaleźć schronienie przeciwnik. Na samym środku postawiono tam wysoką na dwanaście stóp palisadę z jasnoczerwonego drewna, które wcześniej przyciągnęło uwagę Weeksa. Każdy pal był pniem drzewa, zakończonym ostro na szczycie. Skrajem pola ciągnął się szeroki rów, który można było przekroczyć przez most umieszczony przy furcie; podłogę mostu zdejmowano w zależności od potrzeb.

Przechodząc przezeń, Dan popatrzył w dół na pozbawioną wody fosę. Woda nie stanowiła dla Salarików środka obrony. Polegali oni na czymś, dla czego Dan poczuł respekt po doświadczeniach ostatniej nocy.

Bez wątpienia była to ta sama purpura. Jakieś osiem stóp pod nim rozciągała się warstwa piany, jaką wypalano z powierzchni fal na polowaniu. Obrońcy palisady musieli tylko wrzucić do fosy pochodnię, a powstała ściana ognia skutecznie powstrzymałaby każdego przeciwnika.

Salarikowie wiedzieli, jak najlepiej wykorzystać naturalne bogactwa swego świata.

WYZWANIE NA POJEDYNEK

Wewnątrz czerwonej palisady czekał już zebrany tłum. W życiu Salarików dominował pewien rodzaj intymności, tak że nawet nieżonaci wojownicy nie mieszkali we wspólnych barakach, lecz każdy miał swoją izdebkę; dlatego ich miasto zbudowane z drewna i glinianych cegieł przypominało ruchliwy ul. Choć klan Pafta uważany był za duży, to składało się nań zaledwie dwustu wojowników, ich liczne żony i dzieci oraz schwytani niewolnicy. Zwykle nie wszyscy mieszkali w mieście, lecz na uroczystości pogrzebowe przybył cały klan, co znaczyło, że wielu musiało podzielić się swym kątem, a inni znaleźli schronienie w prowizorycznych namiotach skleconych między budynkami. Ziemianie wdzięczni byli za przewodnika, który poprowadził ich przez ten zatłoczony labirynt do jego centrum, czyli Wielkiej Sali.

Podobnie jak centrum handlowe, tak i ta sala miała kształt koła odkrytego od góry i podzielonego na stanowiska jakby szprychami. Każde z nich było podporą dla metalowego kosza wypełnionego łatwopalnym materiałem. Nie było tu żadnych siedzeń ani stołów do handlu. Wzdłuż okrągłych ścian ciągnął się szeroki stół z niewielką tylko przerwą. Wysoki tron wodza stał naprzeciwko wejścia. Umieszczony on był na podwyższeniu, do którego prowadziły dwa stopnie. Choć uroczystości formalnie jeszcze się nie zaczęły, widać było, że większość miejsc jest już zajęta.

Poprowadzono ich pod ścianą do miejsc znajdujących się niedaleko

wysokiego tronu. Van Ryck usiadł, chrząkając z zadowoleniem.

Najwyraźniej zaliczono Ziemię do sfer wyższych. Mogli być pewni korzystnych stosunków handlowych w najbliższym czasie.

Delegacje sąsiednich klanów przybywały w zwartych grupach dziesięcio-dwunastoosobowych. Sadzano ich, tak jak i Ziemię, razem.

Dan zauważył, że klany nie mieszały się ze sobą. Jeszcze tej samej nocy mieli się przekonać, że takie środki ostrożności są zupełnie uzasadnione.

- Mam nadzieję, że nasze zastrzyki adaptacyjne zadziałają - mruknął Ali, spoglądając niezbyt przychylnym okiem na tace wnoszone właśnie przez wewnętrzny otwór w stole.

Kupcy już dawno przekonali się, że bardzo rozsądną rzeczą jest nie próbować nieznanymi silnymi trunkami, lecz ceremonia wymagała często łamania się chlebem (czy też jego ekwiwalentami w zależności od planety). Dlatego sięgnięto po zdobycze nauki i kupiec udający się na jakikolwiek galaktyczny bankiet poddawany był uodpornianiu za pomocą wszelkich medycznych środków na wypadek negatywnych skutków spożywania żywności nie przeznaczonej dla ziemskich żołądków.

Z tego też powodu kupcy ogólnie zyskali sobie reputację osobników o ptasich apetytach. W końcu lepiej było poskubać i żyć, niż objeść się i umrzeć.

Groft nie zajął jeszcze miejsca na pustym tronie wodza. Teraz stał w środku, kierując niewolnikami, którzy wnosili potrawy. Wciąż pozostawał tylko najstarszym synem w domu pozbawionym najwyższej władzy. I tak miało być aż do tego magicznego momentu, gdy cały klan

ogłosi go swym władcą.

Gdy wciąż jeszcze podawano kolejne, nie kończące się zestawy talerzy, zapalono koszykowe latarnie umieszczone na szczytach kolumn, a ich światło rozjaśniło wieczorny mrok. Obok każdej z nich stał niewolnik i dorzucał garść pachnącej kory, która spalając się buchala lawendowym dymem. Była to jeszcze jedna woń, jaka mieszała się z szeroką gamą gryzących się pozostałych zapachów. Co jakiś czas Ziemianie sięgali po swe trzeźwiące buteleczki, by uchronić się przed wpływem narkotycznych oparów.

Dan zorientował się w dalszej części uczty, że dym z koszy na szczęście leci prosto do góry. Gdyby tak siedzieli w zadaszonym pomieszczeniu, nie znieśliby nadmiaru woni. I tak nie był zupełnie pewien, czy są zupełnie świadomi wszystkiego, co się wokół nich dzieje.

Pomyślał, patrząc na taniec odbywający się na środku sali. Serie skoków i ukłuc przedstawiały ich walkę z gorpami. Upewnił się, że nie powinien już polegać na swym wzroku w momencie, gdy szponiasty nóż zwycięskiego tancerza-myśliwego najwyraźniej przeszył na wylot pierś innego tancerza, ustrojonego w groteskową maskę potwora.

W punkcie kulminacyjnym tego okropnego przedstawienia ukazało się trzech myśliwych, którzy byli z nimi na rafie. Nieśli oni gorpa porażonego przez Dana. Zwierz wciąż znajdował się w sieci. Nie był już zwinięty w kulę. Ruszał się dość energicznie, lecz jego szczypcowate pazury, mogące umożliwić mu wydobycie się z sieci, uwięzione były w kulkach jakiejś twardej substancji.

Uwolniony z sieci i zawieszony za skrępowane łapy, gorp kołysał się na palu umieszczonym przed wysokim tronem. Mordercze szczęki kłapały bezsilnie, a z pyska wydobywało się zdradliwe syczenie żmii. Mimo całkowitego poskromienia wciąż sprawiał wrażenie przerażającej siły i niebezpieczeństwa.

Na widok swego odwiecznego wroga Salarikowie zerwali się na nogi i rozwścieczeni, przechylając się przez stół, rzucali w stronę potwora jakieś trudne do wymówienia obelgi. Dan zorientował się, że nieczęsto zdarzało im się mieć do czynienia z bezbronnym gorpem i dlatego starali się maksymalnie wykorzystać sytuację. Pomyślał nagle, iż wolałby, żeby gorp spadł wtedy do morza. Po tym, co widział na rafie, nie czuł do niego sympatii, lecz nie podobała mu się również treść gestów i głosów wokół niego.

Kres temu położył Kapłan Burzy. Skierował się wprost do miejsca, gdzie wisiał gorp; wśród kolorowych strojów zebranych jego brunatny płaszcz stanowił ciemną plamę. Gdy stanął przy wijącym się stworzeniu, zgiełk powoli ustał, wojownicy zajęli swe miejsca i cisza stopniowo wypełniała całe pomieszczenie.

Groft podszedł, by zająć swe miejsce u boku Kapłana. W dłoniach trzymał puchar z dwoma uchwytyami. Nie było to jedno z tych zdobionych naczyń stojących na stole. Najwyraźniej był to starodawny wyrób, zrobiony z czegoś matowocznego; wydawał się być starszy nawet od tej sali czy miasta.

Jeden z wojowników, którzy wnieśli gorpa, szybkim i precyzyjnym

ruchem zarzucił pętlę na głowę bestii, odciągając ją nieomal pod kątem prostym. Kapłan wyciągnął teraz nóż. Dan po raz pierwszy zobaczył na Sargolu broń z prostym ostrzem. Następnie Kapłan wykonał jedno pchnięcie w miękkie podgardle gorpa i odbierając od Grofta puchar, podstawił go, by nabrać cieknącej z rany posoki.

Gorp szarpnął się wściekle, ochlapując stół i znajdujących się wokół Salarików, lecz uwaga tłumu zwrócona była na coś innego. Z flaszki przyniesionej przez służbę Kapłan nalał do starej czary innej substancji. Przechylał puchar w przód i w tył, jakby chcąc dokładnie wymieszać zawartość, po czym podał go Groftowi.

Z wzniesionym pucharem w ręku Groft wskoczył na stół i znalazł się naprzeciw wysokiego tronu. Zapadła cisza. Nawet gorp zaprzestał walki i zwiślał bezwładnie.

Groft wznosił puchar nad głową i wydał głośny okrzyk w archaicznym języku swego klanu. Odpowiedział mu monotony śpiew wojowników, którzy mieli stanąć w bitwie pod jego sztandarem. Śpiewom wtórował brzęk noży wbijanych w stół.

Trzykrotnie recytował jakieś formuły, a tłum odpowiadał mu.

Wreszcie, gdy znowu zaległa cisza, wznosił puchar do ust i wychylił go jednym haustem, po czym odstawił go do góry dnem na dowód, że nie została ani kropla. Ciszę wielkiej sali rozdarł okrzyk. Salarikowie zerwali się na nogi, wymachując nożami nad głowami na cześć nowego władcy.

Teraz dopiero Groft zasiadł na wysokim tronie. Teraz dopiero klan miał swego wodza. Groft zajął miejsce ojca.

- Koniec przedstawienia. - Dan usłyszał mruknięcie Stotza i niezbyt

pomyślną odpowiedź Van Rycka:

- Jeszcze nie. To potrwa pewnie całą noc. Zapowiada się jeszcze jedna kolejka.

- I kolejne kłopoty - wtrącił patetycznie kapitan Jellico.

- A niech to! - Był to okrzyk wydany przez Ripa i Dan odwrócił się, by zobaczyć, cóż takiego rozdrażniło spokojnego zazwyczaj zastępcę astronawigatora. To, co zobaczył, stanowiło ważny element życia na Sargolu.

Młody wojownik, który gdzieś za rok miał otrzymać nóż, stał naprzeciwko starszego Salarika. Głowa i obrośnięte futrem ramiona starszego ociekały napojem, a pusty puchar toczył się po stole, po czym spadł na podłogę. Siedzący obok nich zamilkli w oczekiwaniu na dalszy bieg wypadków.

- Wylał drinka na tamtego faceta - Rip wyjaśniał szeptem. - To oznacza pojedynek.

- Tutaj, teraz? - Dan słyszał już wcześniej o skłonnościach Salarików do osobistych pojedynków.

- Za taką zniewagę powinni walczyć na śmierć i życie - zauważył Ali, jak zwykle oceniając wydarzenie z pozycji widza, którą najczęściej przyjmował. Jako dziecko przeżył nieopisane masakry Wulkanicznej Wojny i odtąd nic nie było w stanie naruszyć jego zewnętrznego spokoju.

- Głupi szczeniak! - Steen Wilcox oceniał sytuację jako bezstronny sędzia, ale i ktoś, kto ma za sobą piętnastoletnie doświadczenie z wielu

różnych światów.

- Będzie skończony, zanim się zorientuje, co się stało!

Młodszy Salarik szczechnął jakieś pytanie do starszego, który natychmiast mu opowiedział. Wtedy zebrani wokół ruszyli do akcji ze sprawnością mówiącą o tym, że tylko na to czekali: tyle razy widzieli takie zdarzenia, że każdy dobrze już wiedział, co czynić.

Ziemiańskie dowiedzieli się ze strzępów rozmów, że należało stoczyć co najmniej jeden pojedynek w czasie uroczystości, by można ją zaliczyć do udanych. Pozostali, nie zaangażowani bezpośrednio, natychmiast zainicjowali zakłady.

- Popatrz na tego faceta w fioletowym płaszczu. - Rip wskazał Danowi jednego z Salarików.

- Czy widzisz, co położył? Dostojnik w fioletowym płaszczu nie należał do świty Grofta, lecz był członkiem delegacji innego klanu. Tym, co wyłożył na stół - wskazując tym samym, że w walce tej stawia na zwycięstwo starszego wojownika - był kawałek białego materiału, a na nim pomarszczony, lecz znany im liść. Sąsiad, z którym się założył, popatrzył z bliska na pulę i powąchał ją, po czym wyłożył dwa wysadzone kamieniami naramienniki, osobiste pudełko do wachania i dołożył jeszcze pierścień zdjęty z kciuka.

Widząc, jak bardzo w rzeczywistości ceniono tutaj ziemskie ziola, Dan ponownie pomyślał z żalem o ich ignorancji. Spojrzał wzdłuż stołu i zobaczył, że Van Ryck również zauważył ten zakład i pokazywał go kapitanowi.

Szybko jednak przestano zwracać uwagę na takie drobiazgi, gdyż pojedynkujący się wskoczyli do środka koła utworzonego przez stoły, które były teraz puste. Zrzucili płaszcze i pozostali jedynie w przepaskach na biodrach. W prawej ręce każdy trzymał sieć, a w lewej szponiasty nóż. Ziemianie wysunęli się z siedzeń do przodu równie zaciekawieni akcją jak tubylcy, gdyż nie widzieli dotąd walczących ze sobą Salarików. Nie potrafili docenić co subtelniej szych elementów walki, zupełnie nie rozumieli wielokrotnie powtarzanych rzutów siecią, które z czasem uległy pustemu sformalizowaniu, tak samo jak niemal zapomniana w ich świecie walka na miecze. Młody Salarik wykazywał większą zwinność i szybkość, lecz weteran, z którym walczył, posiadał doświadczenie. Ziemianom pojedynek ten przypominał oglądany wcześniej płynny taniec rytualny. Nagle jeden z zawodników wykonał skok w prawo, błyskawiczny wypad w przód i powrót - sieć wyleciała w górę i opadła oplatając młóćące nogi i ramiona. Gdy linka zacisnęła się mocno, schwyty młodzienc stracił równowagę. Turlał się wściekle, lecz oplatające go rzemienie nie puszczały. Rozległ się okrzyk aprobaty dla zwycięzcy. Ten zaś stał nad leżącą na wznak ofiarą. Gardło i pierś młodzieńca gotowe były na cios noża zadany ręką zwycięzcy. Zanosilo się jednak na to, że starszy Salarik nie chce zakończyć walki rozlewem krwi. Zamiast tego sięgnął długim ramieniem po wypelniony puchar i z premedytacją wylał trunek na twarz pokonanego.

Śmiertelna cisza zapanowała na moment nad biesiadnym stołem, a

potem rozległ się wrzask, do którego rozluźnieni już teraz Ziemianie dołączyli się wybuchem śmiechu. Prychającego młodzieńca uwolniono z sieci, a ten, gramoląc się na kolanach, oddał przeciwnikowi nóż, który tamten wsunął głęboko obok swojego za szarfę owiniętą wokół talii. Dan podслуchał, że za jakiś czas rada klanu miała rozpatrzyć sprawę młodszego, który obecnie był sługą-niewolnikiem swego zwycięzcy, a że obu łączyły więzy krwi; rozwiązanie takie uważane było za wielce odpowiednie. Gdyby jednak starszy wojownik zabił swego przeciwnika, nikt nie miałby mu tego za złe.

Następnymi, na których miała skupić się uwaga zebranych, byli członkowie załogi Królowej. Groft zszedł ze swego tronu i podszedł do stołu, stając naprzeciw tych, którzy towarzyszyli mu na polowaniu. Tym razem nie można było wymigać się od spróbowania mocnego trunku oferowanego im przez wodza z jego własnego kielicha.

Ognisty haust nieomal zatkał Dana, lecz przełknął płyn mężnie z nadzieją, że wytrzyma. Płyn splotwał, paląc niemiłosiernie w gardle i żołądku, gdzie mieszał się nieprzyjemnie ze zjedzonymi wcześniej potrawami. Mizerna twarz Weeksa zbladła, a Dan dostrzegł ze złośliwą satysfakcją, że Ali dyskretnie chwycił się stołu, na co wskazywały jego mocno wystające wygładzone knykcie. Oznaczało to, że jednak istniały rzeczy, które były w stanie zmóc niepokonanego Kamila.

Na szczęście nikt nie wymagał od nich, by opróżniali duszkiem swe puchary, tak jak to uczynił Groft. Ceremonialny łyk uważany był za wystarczający. Dan usiadł z ulgą, z troską jednak myślał o bliskiej

przyszłości.

Groft skierował się z powrotem na swe miejsce, gdy nagle nastąpiło nieoczekiwane wydarzenie. Jakiś posłaniec przepychał się między służącymi i zwrócił się do wodza, który popatrzył na Ziemię i skinął przyzwalająco.

Początkowo Dan nie zwracał na to uwagi, gdyż walczył z rosnącymi mdłościami, dopiero słysząc zduszone słowa Ripa podniósł głowę i ujrzał grupę ludzi Inter-Solaru stojących przed tronem. Ci z Królowej znieruchomieli - w postawie przybyłych było coś, co wróżyło kłopoty.

- Czego sobie życzycie, panowie nieba - odezwał się Groft w żargonie Branżowców. Siedział na tronie z przymkniętymi oczami i kołysał się, jakby za chwilę miał obejrzeć jakieś przedstawienie.

- Chcielibyśmy przekazać ci życzenia pomyślności płynące z naszych serc - z ust Kalleego popłynęły te kwieciste słowa zabarwione akcentem jego języka.

- I abyś nas nie zapomniał, chcemy złożyć te dary.

Na znak swego oficera pokładowego ludzie Inter-Solaru położyli małą skrzynię. Groft, z brodą opartą na zaciśniętej pięści, nie zmienił leniwej pozycji.

- Zostały przyjęte - odezwał się ceremonialnie. - Nikomu też nie zbywa na pomyślności. Wiedzą o tym Zawodzące Duchy Czarnych Wiatrów. - Nie zapraszał ich jednak do stołu.

Kallee nie wydawał się tym stropiony. Jego kolejny ruch kompletnie zaskoczył rywali pomimo ich podejrzeń.

- O, Grofcie, zgodnie z Prawem Braterstwa - wciąż trzymał się języka dyplomacji - domagam się zadośćuczynienia.

Ręka Alego drgnęła. Pomimo wzmagającego się cierpienia Dan zauważył, że szczęki Van Rycka zacisnęły się, a bojowa maska kapitana Jellico ponownie pojawiła się na jego twarzy. Cokolwiek miało się wydarzyć, oznaczało poważne kłopoty.

Wzrok Grofta przemknął po załodze Królowej. Chociaż dopiero co wypił puchar przyjaźni z czterema z nich, złośliwy wyraz twarzy, charakterystyczny dla jego rasy, oznaczał, że nie ma zamiaru przerywać tego, co miało nastąpić.

- Zgodnie z prawem noża i sieci - przemówił - wolno wam żądać osobistej satysfakcji. Gdzie jest wasz przeciwnik?

Kallee zwrócił się w stronę Wolnych Pośredników.

- Niniejszym domagam się, by spośród tych obcych wybrano mistrza, który stoczy walkę na śmierć i życie z moim mistrzem.

Salarikowie najwyraźniej ożywili się. Szykowało się świetne przedstawienie, walka o jakiej nawet nie śnili - obcy przeciwko obcemu.

Rosnący szmer ich głosów był niczym pomruki polującej bestii.

Groft uśmiechnął się, a wyraz zadowolenia nie przypominał ziemskiego ani ludzkiego. Dan uświadomił sobie, że przecież Groft z żadnym z tych rodzajów nie ma nic wspólnego.

- Czterech spośród tych wojowników jest we wspólnocie z klanem - powiedział - lecz pozostali mogą wystawić mistrza.

Dan popatrzył po swych towarzyszach - Ali, Rip, Weeks i on sam

byli wykluczeni. Pozostawali Jellico, Van Ryck, Karl Kosti - gigantyczny fachowiec od silników, na którego sile musieli polegać, mechanik Stotz, medyk Tau i Steen Wilcox. Gdyby chodziło tylko o siłę, to wybralby Kostiego, lecz ten olbrzym nie miał zbyt lotnego umysłu.

Jellico wstał - wyglądał na awanturnika gwiazdnych szlaków. Blizna na jego policzku wydawała się pulsować w migocącym świetle. - Kim jest wasz mistrz? - spytał Kalleego.

Oficer pokładowy Eysie szczerzył zęby w uśmiechu. Był przekonany, że zapędził ich w matnię, z której nie mogli się wyplątać.

- Przyjmujesz wyzwanie? - odparł.

Jellico powtórzył tylko swe pytanie, a Kallee skinął na jednego ze swych ludzi.

Eysie, który wystąpił, nie umywał się do Kostiego. Był szczupłym, nieomal chudym mężczyzną, którego zadowolony, głupawy uśmiech mówił, że i on doloży co nieco znanym Wolnym Pośrednikom. Jellico przyglądał mu się uważnie dłuższą chwilę. Przez cały czas rozbrzmiewał gwar głosów Salarików, niczym groźne buczenie poruszonego gniazda os. Nie było wyjścia - odmowa znaczyła utratę wszystkiego, co dotąd zyskali w stosunkach z klanami. Nie mieli wątpliwości, że Kallee w jakiś sposób zyskuje przewagę.

Jellico nie okazywał zakłopotania.

- Przyjmujemy wyzwanie - powiedział spokojnie. - Będąc gośćmi w domu Grofta, będziemy walczyć tak, jak Salarikowie, którzy są uznanymi wojownikami. - Zrobił pauzę, gdy rozległy się wokół okrzyki uznania. -

Dlatego zgodnie ze zwyczajem wojowników wybierzemy nóż i sieć.

Czyżby dostrzegł cień przerażenia na twarzy Kalleego?

- Kiedy? - Groft pochylił się, zadając to pytanie, a jego twarz

wyraźnie odzwierciedlała zadowolenie z tak pomyślnego zakończenia

uroczystości. Będą o tym opowiadać przez wiele przyszłych pór

burzowych.

Jellico popatrzył na niego.

- Powiedzmy godzinę po wschodzie słońca, Wodzu. Za twoim

pozwoleniem chcemy naradzić się co do wyboru mistrza.

- Moje miejsce narad jest do waszej dyspozycji. - Groft skinął na

jednego ze swej świty, by ich poprowadził.

ROZDZIAŁ 7

PRZESZKODA

Poranny wiatr szumiał w trawiastym lesie i szarpał połami płaszczy Salarików. Dostojnicy siedzieli na wysokich stołkach, a pozostali Salarikowie kucali na zdeptanym ściernisku oczyszczonego terenu na zewnątrz palisady. Ciemnobrązowe tuniki Ziemiań kontrastowały, na tle ich wielobarwnych strojów tworząc ciemne plamy na obu końcach prowizorycznej areny.

Kończąc swą naradę, załoga Królowej zmuszona była przyjąć rozwiązanie, które Jellico forsował od samego początku. Jedynie on może reprezentować Wolnych Pośredników w tym pojedynku. Tak więc stał tam teraz w świetle poranka ubrany jedynie w szorty i buty, zmniejszając tym samym możliwość zaczepienia i usidlenia przez sieć przeciwnika.

Wolni Pośrednicy przekonani byli, że przy najmniejszej nawet przewadze ludzie Inter-Solaru będą chcieli wykorzystać ją do maksimum, a śmierć kapitana Jellico zrobiłaby na Salarikach ogromne wrażenie.

Jellico był wyższy od Eysie, który stał naprzeciw niego, lecz równie szczupły. Wydatne mięśnie drgały mu pod skórą, błądą tam, gdzie kosmiczne promienie nie dosięgły jej podczas długoletnich gwiazdnych podróży. Jego ruchy pełne były gracji właściwej temu, który w swoim czasie był mistrzem klingi energetycznej. W lewej dłoni trzymał szponiasty nóż, który podał mu sam Groft, w prawej zaś ścisnął pętlę swej sieci.

Po drugiej stronie areny stał Eysie, który mocno szurał butami,

starając się, by żwir wbił się w podeszwy. Podobnie jak i w chwili wyzwania w Wielkiej Sali, tak i teraz okazywał on całkowitą pewność siebie.

Nikt z załogi Królowej nie palnął głupstwa, próbując udzielić Jellico rady. Nie byłby kapitanem, gdyby nie znał swego fachu. A obowiązki Wolnego Pośrednika obejmowały szeroki zakres wiedzy i praktyki. Trzeba było równie dobrze obchodzić się z blasterem, jak i katapultą. Choć nigdy dotąd nie brał udziału w pojedynku na noże i sieci, to posiadał rozległą wiedzę o innych rodzajach broni, innych taktykach, które teraz mogły mu się przydać.

Atmosfera nie miała nic z przypadkowego charakteru walki Salarików w czasie uroczystości. Tutaj postępowali zgodnie z ceremonią. Kapłani wzywali swą własną ponurą Opatrzność, a zawodnicy składali przysięgę nad bronią. Dan stwierdził, że w chwili rozpoczęcia pojedynku zakłady osiągnęły astronomiczne sumy. Olbrzymie ilości przedmiotów osobistych miały zmienić właścicieli w zależności od rezultatu walki.

Gdy wódz dał znak do rozpoczęcia, obaj Ziemianie ruszyli z przeciwnych końców areny. Poruszali się lekkim, czającym się krokiem ludzi Kosmosu. W miarę możliwości Jellico starał się ściągnąć sieć, by przypominała linę. Taki rodzaj broni, zupełnie różny od używanych przez Ziemian, stanowił raczej przeszkodę niż pomoc w walce.

Kiedy Eysie zbliżył się do kapitana, dłoń Ripa zacisnęła się kurczowo na ramieniu Dana.

- On wie!

Rip nie musiał mówić tego Danowi. Oglądając wcześniej

pojedynkowe wyczyny Salarików, zdążył zorientować się, jak ważny jest ten ślizg, sposób, w jaki właśnie bojownik Inter-Solaru operował siecią.

Widać było, że Eysie nie bazował na wskazówkach ostatnich minut - znał to już wcześniej i, sądząc po jego postawie, wiedział dość, by stanowić ogromne zagrożenie. Wrzawa wzmogła się, gdy doświadczeni zawodnicy zorientowali się, w czym rzecz, a zakłady przeciwko Jellico sięgnęły zenitu, podczas gdy jego załoga zamarła.

Jedynie Van Ryck pozostał niewzruszony. Co jakiś czas podsuwał pod nos orzeźwiającą butelkę, robił to tak samo uroczystym gestem, jak siedzący wokół owłosieni dostojnicy, sprawiając wrażenie niezmaconego spokoju.

Eysie zamarkował cios na początek, lecz była to dość mierna kopia tego, co młody Salarik pokazał jakiś czas temu. W chwili gdy sieć tamtego opadła, Jellico już tam nie było. Jego błyskawiczny zwód z przyklęnięciem na jedno kolano pozwolił jej przelecieć nad jego pochylonymi barkami o co najmniej sześć cali. Krzyk aprobaty nie pochodził tylko od jego kolegów, lecz również od tych tubylców, którzy mieli dość odwagi, by postawić na Jellico.

Obraz areny i zawodników widziany oczami Dana był mocno zamazany. Mdłości, jakie czuł po wypiciu łyka z pucharu przyjaźni, zmieniły się teraz w ognistą kulę, która paliła niemilosiernie jego wnętrzności. Wiedział jednak, że musi wytrzymać, dopóki się to nie skończy. Ktoś wpadł na niego i gdy podniósł wzrok, ujrzał twarz Alego;

pod opalenizną widać było znane mu szarozielone oznaki choroby.

Zastępca mechanika uczeplił się na chwilę jego ramienia, lecz zaraz z widocznym wysiłkiem wyprostował się. A więc nie tylko on. Spojrzawszy na Ripa i Weeksa stwierdził, że i oni też chorują.

Teraz jednak najważniejszy był ten kawałek udeptanej ziemi i walczący na nim przeciwnicy. Eysie jeszcze raz spróbował rzucić siecią, i tym razem, mimo że Jellico wywinął się, jej uderzenie zostawiło czerwony ślad na jego przedramieniu. Jak dotąd, kapitan zadowalał się grą obronną, obserwując wroga i zastanawiając się.

Koniec przyszedł niespodziewanie. Jellico stracił równowagę, potknął się i przewrócił. Zanim jego ludzie ruszyli się, mistrz Eysie skoczył do przodu, zarzucając sieć. Nie zdołał jednak sięgnąć kapitana.

Padając, Jellico podkurczył nogi tak, że nie znalazł się na plecach, lecz tylko przykucnął. Jego sieć świsnęła tuż przy ziemi i owinęła się wokół goleni tamtego, unieruchamiając jego stopy. Bojownik Inter-Solaru runął ciężko na Ziemię i leżał nieruchomo.

- Bicz, ta sztuczka z biczem z Lalox - dał się słyszeć ponad tłumem triumfujący głos Wilcoxa. Używając sieci jakby była rzemieniem, Jellico położył tamtego posunięciem, którego Eysie nie przewidział.

Jellico dyszał ciężko, a pot splotywał strużkami po jego ramionach, tworząc czerwone bruzdy w czerwonym pyłu, którym był pokryty. Wstał i podszedł do mistrza Inter-Solaru, który nie dawał znaków życia od chwili upadku. Kapitan przyklęknął na kolanie, by mu się przyjrzeć.

- Zabij! Zabij! - krzyczyli Salarikowie, w których obudziły się

okrutne instynkty. Jellico zwrócił się do Grofta:

- Zgodnie z naszymi zwyczajami nie zabijamy pokonanych.

Pozwólmy jego ludziom zabrać go stąd.

Wziął nóż, który tamten wciąż jeszcze ścisnął w dłoni, i wsadził mu za pas. Potem spojrzął na Kalleego i jego grupę.

- Zabierzcie swojego człowieka i wynoście się. - Widać było, że powstrzymywany dotąd gniew zaczyna z niego uchodzić. - To wasze ostatnie przedstawienie tutaj.

Kallee zacisnął swe grube wargi, wydając dźwięki, które przypominały warknięcia Salarików. Lecz ani on, ani żaden z jego ludzi nie odezwali się. Zabrali nieprzytomnego zawodnika i zniknęli.

Bardzo mroczne były wspomnienia Dana z powrotu na Królową stanowiącą ich „sanktuarium”. Musiał skorzystać z intymnych uroków leśnej drogi, zanim uległ naporowi rozszalałych wnętrzności. Później ciągnął się uwieszony ramienia Van Rycka. Równie paskudne odgłosy upewniły go, że nie jest osamotniony w swych mękach.

Po jakimś czasie (zdawało mu się, że upłynęły miesiące) obudził się i stwierdził, że leży w swej koi słaby i pusty, jakby usunięto mu znaczną część wnętrzności. Gdy się podniósł, jego kabina zaczęła nieprzyjemnie przechylać się w prawo, jakby to on stanowił oś, na której się huśtała.

Odczuwał też oznaki bezwładnego opadania, choć Królowa wciąż pewnie trzymała się planety. To wszystko było jednak niczym w porównaniu z cierpieniami, które pamiętał.

Szybko odzyskał siły, spożywając półpłynne potrawy przepisane

przez Tau i podawane przez Murę jemu i jego współtowarzyszom niedoli.

Wiedział, nawet bez wyjaśnień Tau, że byli o włos od śmierci. Najmniej z całej czwórki ucierpiał Weeks, on najwięcej - choć każdy dostał za swoje.

Na trzy dni wypadli z orbity.

- Eysie odpalili zeszłej nocy - poinformował go Rip, gdy wylegiwali się na słonecznej rampie, korzystając z przysługującego im okresu rekonwalescencji.

Wiadomość ta nie poprawiła Danowi humoru.

- Nie sądziłem, że się poddadzą. Rip wzruszył ramionami.

- Może odlecieli, żeby dokonać naprawy. Tylko dzięki Yanowi i

Staremu jesteśmy kryci na całej linii. Nie mają nic, by zerwać nasz

kontrakt. Nasza pozycja jest tak mocna, że nie mogą zagrozić naszym

stosunkom z Salarikami. Groft poprosił kapitana, by nauczył go tej

sztuczki z siecią. Nie wiedziałem, że Stary zna walkę biczem z Lalo - to

jedna z najbardziej nieprzyjemnych możliwości zostania pociętym na

kawałki w tym wszechświecie.

- Jak idzie handel? Rip spochmurniał.

- Zapasy skończyły się.

Weeks miał pomysł, ale z tego nie będzie kamieni Koros. Chodzi o

to czerwone drewno, którym tak się interesuje. Przekonał Vana, żeby

trochę tego zabrać do ładowni, skoro i tak mamy już dosyć Koros, by

pokryć koszty wyprawy. Na szczęście tubylcy godzą się wymienić za nie

zwykle towary, a Weeks uważa, że to pójdzie na Ziemi. Jest na tyle

twarde, by wykrzywić stalowe ostrze noża, a mimo to lekkie i łatwe do

obróbki, gdy je wysuszyć. Dziwne to drewno, a i kolor ma ciekawy. Ta palisada wokół miasta Grofta ma już ze sto lat i ani śladu butwienia.

- Gdzie jest Van?

- Przysłali po niego Kapłani Burzy. Jakies tam pogaduszki na odpowiednim szczeblu. W zasadzie jesteśmy gotowi do odpalenia. Wiemy już, jaki towar trzeba przywieźć następnym razem.

Tak, to wiedzieli na pewno, Dan przyznał w myśli. Tego ranka jednak nie dane mu było poleniuchować. Za godzinę z lasu wyłoniła się karawana składająca się z obładowanych, niezadowolonych orgeli. Ze spuszczoneymi małymi głowami narzekały na swój los, który kazał im taszczyć wiązki czerwonego drewna na ich szerokich ropuszych grzbietach. Na czele tej procesji stał Weeks, więc Dan zajął się wykonaniem planu załadunku zostawionym przez Vana, dbając, by wspaniałe okazy drewnianej purpury zostały złożone w ładowni zgodnie z zasadami załadunku. Stwierdził, iż Rip miał rację, drewno mimo swej niesamowitej twardości było lekkie. Chociaż wciąż był w słabej formie, był w stanie podnieść i zanieść na statek bez większej trudności dużą kłodę. Zgadzał się też z Weeksem co do tego, że drewno będzie można sprzedać w ich świecie. Jego kolor był niespotykany, a wytrzymałość mogła okazać się zaletą, która nie przyniesie może fortuny takiej, jak kamienie Koros, ale przecież liczył się także każdy najmniejszy zysk. Ładunek ten mógł pokryć ich opłaty handlowe na Ziemi.

Kiedy wnoszono pierwsze kłody, Sinbad był właśnie w ładowni.

Pręgowane kocisko obwąchiwało je pracowicie z właściwą sobie

wścibskością. Nagle zatrzymało się i cofnęło z najeżoną sierścią. Cofało się tak aż do wewnętrznych drzwi, po czym czmychało z ładowni.

Zaskoczony Dan przyjrzał się drewnu. Nie było ani śladu rys czy pęknięć, lecz nachyliwszy się, stwierdził, że drewno wydziela intensywny aromat.

A więc istniał choć jeden zapach na wonnej planecie, którego Sinbad nie lubił. Dan uśmiechnął się. A może powinien kazać Weeksowi zrobić z tego furtkę na rampie, która by utrzymała Sinbada na pokładzie. Zapach był dziwny, ale nie nieprzyjemny - przynajmniej dla niego, po prostu ostry i cierpki. Powąchał znowu i zdawało mu się, że teraz nie był już tak zauważalny. Możliwe, że pozbawione słonecznego światła drewno traciło zapach.

Wyładowali solidnie niższą ładownię zgodnie z zasadami i zamknęli luk, zanim Van Ryck wrócił ze spotkania z kapłanami. Szef Ładowni wrócił w towarzystwie dwóch służących, którzy nieśli skrzynię. Ci, którzy znali go dobrze, mogli zorientować się po jego zachowaniu, że nie był zbyt zadowolony ze swej rannej pracy. Biorąc pod uwagę niechęć Kapłanów Burzy do wchodzenia na pokład statku, kapitan Jellico i Steen Wilcox zeszli na ląd, by tam ich przywitać. Dan obserwował ich z luku, zdając sobie sprawę, że niemądrze byłoby pokazywać się w takim stanie.

Ziemiańskie najwyraźniej protestowali przeciwko czemuś, na co mocno nalegali Salarikowie. W końcu tubylcy postawili na swoim i wezwano Kostiego, by zabrał na pokład skrzynię przyniesioną przez służących. Upewniwszy się, że ładunek znalazł się na pokładzie, Salarikowie oddalili się, lecz Van Ryck wciąż miał niezadowoloną minę, a

Jellico bębnił palcami po wzorach swego pasa, będąc już na rampie.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Jellico.

- To nie moja robota - odciął krótko Van Ryck. - Ryzykuję tylko

wtedy, gdy muszę, lecz w tym coś jest... - przerwał marszcząc gęste brwi. -

No cóż, niczego więcej chyba nie wymyślimy - zakończył. - Będziemy

musieli zrobić, co się da.

Wchodząc jednak do sekcji kontroli, Jellico wciąż nie wyglądał na

zadowolonego. W niecałą godzinę załoga wiedziała już, co stanowi

przyczynę zmartwienia kapitana.

Zasmakowawszy rozkoszy płynących z obcych ziół, Salarikowie

zdecydowali nie tracić kontaktu ze źródłem ich dostaw. Za sześć miesięcy

ziemskiego czasu od obecnej daty na Sargolu miała nastąpić coroczna

uroczystość Pięćdziesięciu Burz. W związku z tym świętem Kapłani doszli

do wspólnego wniosku, że ich wpływy i władza mogłyby znacznie

wzrosnąć, gdyby mogli wiernym oferować pewne przywileje w postaci

ziemskich roślin. Tak więc przynieśli i wmusili niechętnemu Ryckowi

kolekcję Koros należącą do ich zakonu z instrukcjami, by za pieniądze

uzyskane z ich sprzedaży kupili dla nich cenne nasiona i rośliny. Próżne

były tłumaczenia szefa ładowni i kapitana, że handel w obrębie Galaktyki

nie jest niczym pewnym i jakiś wypadek może przeszkodzić powrocie

Królowej na Sargol. Kapłani pozostali jednak nieugięci i takie argumenty

uznali jedynie za przebiegłą próbę podbicia ceny. Sami zaś przyznali, że

dowiedzieli się od ludzi Kompanii, iż Wolni Pośrednicy mają swój

regulamin. Wiadome im było, że umowa musi zostać dotrzymana, skoro

zapłacono z góry. Dlatego też zamawiali wyłącznie dla siebie pełen ładunek Królowej podczas następnej podróży i wydawało im się, że ze swej strony robią wszystko, by go im dostarczono.

Tym to sposobem w skarbcu Królowej znalazła się olbrzymia fortuna w postaci Koros, które nie należały do pośredników. Załogę zaś wiązało najpoważniejsze ze znanych w Branży zobowiązań, zgodnie z którymi musieli wylądować na Sargolu zanim upłynie wyznaczona data. Nie podobało się to kupcom z Królowej. Dręczyło ich nawet dość niejasne przeczucie, związane z przesądem, że taka umowa przyniesie im pecha. Nie mieli jednak wyboru, jeśli chcieli zachować swe wpływy na Sargolu.

- Zmywamy się chyba, co? - Ali zwrócił się do Vana siedzącego po drugiej stronie stołu. - Widziałem, jak się obaj pociliście, zanim on nie przyszedł, żeby sobie pogawędzić z takimi jak my raketowymi małpami.

Rip przytaknął.

- Steen sprawdził dwukrotnie wszystkie wyliczenia, niektóre nawet czterokrotnie. Przesunął dłonią ciężko po swej krótko przystrzyżonej czuprynie. Będąc niezupełnie jeszcze sprawny, został zagoniony wraz z innymi do zażywania wzmacniającej mikstury, którą przygotował Mura, a którą Tau wpychał w nich regularnie, ostatniej nocy pracował jednak do późna na wykreślaczu pod czujnym okiem dowódcy.

- Jeśli według ostatnich danych nic się nie wydarzy, musimy wystartować nie później niż za trzy tygodnie, no, mogłem się pomylić o dzień lub dwa.

- Jeśli nic się nie wydarzy - słowa te zabrzmiały alarmująco. Tu, na

rubieżach gwiazdnych szlaków, było tyle wypadków, tyle możliwości opóźnień, które mogły zburzyć rozkład lotów. Jedynie olbrzymie liniowce lub statki Kompanii kursujące po głównych szlakach starały się latać regularnie. Wolny Pośrednik nie mógł w zasadzie pozwolić sobie na mało elastyczny kontakt.

- Co mówi Stotz? - Spytał Dan Alego.

- Twierdzi, że da radę. Nie mamy problemów z wyznaczeniem kursu, wyznacz kierunek, a ruszymy z kopyta.

Rip westchnął:

- Tak, wyznacz kierunek. Przyglądał się swym paznokciom.

- Do widzenia - dodał ponuro. - Nim wylądujemy następnym razem, pościeram sobie palce do kości. Startujemy o szóstej. Powodzenia! -

Wypił resztę mikstury z kubka, skrzywił się i wstał, udając się z powrotem na stanowisko kontrolne.

Do chwili, gdy znajdą się na własnej planecie, Dan nie miał żadnych obowiązków. Teraz zaszył się w swej kajucie, nastawiając się na niczym nie zmacony odpoczynek, zanim nie wystartują. Sinbad leżał zwinięty na jego koi. Z jakichś powodów nie myszkował po statku, jak zwykł to dotąd robić przed startem. Najpierw siedział na biurku Vana, lecz teraz przeniósł się tutaj, jakby brakowało mu ludzkiego towarzystwa. Dan podniósł go, a Sinbad zamruczał, wyginając szyję tak, że głową ocierał się o jego brodę, okazując niepodobne do niego uczucie. Gładząc futro wokół pyska, Dan odniósł go do kajuty Szefa Ładowni.

Zapukał z wahaniem, lecz nie wchodził, dopóki nie usłyszał

stłumionego głosu Van Rycka. Ten leżał wyciągnięty na swej koi, dwa spośród pasów startowych już zapiął, jakby zamierzał przespać start.

- Sinbad, sir. Mam go tu zapakować?

Van Ryck wydał jakiś pomruk przyzwolenia i Dan zapiął kota pasami w małym hamaku przeznaczonym specjalnie dla niego. Choć raz Sinbad nie protestował, zwinął się w kłębek i szybko zasnął. Dan zastanawiał się przez chwilę nad jego nienaturalnym zachowaniem i nad tym, czy nie zwrócić na to uwagi Szefa Ładowni. Może i Sinbad wychylił gdzieś na Sargolu swój puchar przyjaźni i Tau powinien go zbadać.

- Sztancowanie w porządku? - Pytanie Van Rycka też nie było normalne. Ładownia nie byłaby zapieczętowana, gdyby nie sprawdzono jej dwukrotnie.

- Tak, sir - odparł Dan bezbarwnie, wiedząc, że wciąż pozostaje w niełasce. - Było tylko drewno, zapakowaliśmy zgodnie z przepisami.

Van Ryck chrząknął powtórnie.

- Sprawdzacie wierzchnią warstwę?

- Tak, sir. Jakieś rozkazy, sir?

- Nie, startujemy o szóstej.

- Tak jest, sir.

Dan wyszedł, zamykając dokładnie drzwi. Zastanawiał się ponuro, czy jeszcze kiedyś uda mu się odzyskać łaski Van Rycka. Z jego punktu widzenia Sargol okazał się niepowodzeniem. Najpierw popełnił ten głupi błąd, później się rozchorował, a teraz... O co teraz chodziło? Czy to tylko ogólne zdenerwowanie podróżą i zobowiązaniami, które zmusiły ich do

pośpiechu, czy też coś innego? Nie mógł pozbyć się niejasnego przeczucia, że Królowa wpadnie wkrótce w jakieś tarapaty i uczucie to wcale mu się nie podobało!

ROZDZIAŁ 8

BÓLE GŁOWY

Odlecieli z Sargolu według planu i według planu też weszli na Hiper.

Odtąd nie mieli nic innego do roboty jak przeczekać dłużący się zwykle okres lotu między układami, mając nadzieję, że Steen Wilcox wyznaczył trasę, która skróci lot do minimum. Tym razem jednak mało było spokoju, odkąd znaleźli się na Hiper. Nieważne kiedy odwiedzał mesę, która była miejscem ich spotkań, Dan zawsze znajdował tam już innych; siedzieli z kubkami pełnymi jednej z mikstur Mury i dyskutowali o terminie lądowania.

Kiedy Dan uwolnił się od skutków choroby Sargolu, zabrał się za studia. Gdy jako rekrut dostał się na pokład Królowej prosto z treningowego Centrum, szybko zorientował się, że te dziesięć lat nauki, które miał za sobą, stanowiło zaledwie wstęp do tego, co powinien wiedzieć, by móc zrównać się z takim fachowcem, jak Van Ryck - jeśli w ogóle posiadał zdolności, które umożliwiłyby mu osiągnięcie takiego poziomu. Poprzednio w bardziej sprzyjających okolicznościach pozwalał sobie na traktowanie swego przełożonego jako instruktora, radząc się go w trudnych problemach załadunku czy handlu wymiennego. Obecnie nie miał ochoty przeszkadzać Szefowi Ładowni i sam starał się sobie radzić z mikrotaśmami starych zapisów, pracowicie rozpracowując wszelkie

zagadki i nietypowe sytuacje. Nie miał pojęcia, jaka czeka go przyszłość, czy powrót na Ziemię będzie oznaczał pozostanie tam na zawsze. Nie miał ochoty pytać o to. Znajdowali się na Hiper od czterech dni według czasu statku, gdy Dan, zmęczony pracą nad starymi nagraniami, wszedł do mesy i spostrzegł, że Mura nie krząta się w kuchni, a żadna mikstura nie dymi na spirali grzejnej. Rip siedział przy stole z wyciągniętymi nogami, jego zwykle wesola twarz była poważna.

- Co się stało? - Dan sięgnął po kubek, lecz widząc, że jest pusty, odstawił go.

- Frank zachorował.

- Co? - Dan odwrócił się. Choroba taka, jaka przydarzyła im się na Sargolu, była czymś logicznym, lecz choroba na pokładzie to coś zupełnie innego.

- Tau umieścił go w separacie. Ma okropny ból głowy i zasłabł, gdy próbował wstać. Tau go bada. Dan usiadł.

- Może zjadł coś?

Rip zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie był na uroczystościach, pamiętasz? Nie jadł niczego z zewnątrz, przysięgł Tau. W ogóle nie pracował, kiedy wychodziliśmy.

Dan sięgnął pamięcią wstecz i mógł tylko przytaknąć. Fakt, że steward nie był na uroczystościach i nie jadł potraw Salarików, wyeliminował najprostszą i najbardziej pocieszającą przyczynę jego obecnej dolegliwości.

- Co tam z Frankiem? - spytał stojący w drzwiach Ali. - Mówił

wczoraj, że boli go głowa. A teraz Tau zamknął go. - Ale przecież jego nie

było na uczcie. - Ali urwał, gdy zaczął o tym myśleć. - A jak czuje się Tang?

- W porządku, dlaczego? - Technik komputerowy pojawił się

właśnie za Kamilem, odpowiadając za siebie. - Skąd takie

zainteresowanie stanem mojego zdrowia?

- Franka coś rozłożyło, jest w izolatce - odparł Rip. - Czy robił coś, co

wykraczało poza zwykle obowiązki, gdy wychodziliśmy?

Przez długą chwilę Tang wpatrywał się w Shannona, lecz w końcu

zaprzeczył.

- Nie. A więc Tau go sprawdza.

Zamilkł. Żaden nie miał ochoty mówić tego, co teraz myślał.

Dan wziął mikrotasme, którą ze sobą przyniósł i poszedł w dół

korytarza, by ją zwrócić. Drzwi do kajuty Szefa Ładowni były uchylone i

Dan z ulgą stwierdził, że Van Ryck wyszedł. Wsunął taśmę do przegródki i

wyciągnął inną. Sinbad był w kabinie, lecz zamiast leżeć w swym hamaku

wyciągnął się leniwie na koi Szefa Ładowni. Spoglądał na Dana,

otwierając pysk do bezgłośnego powitania. Nie wiedzieć czemu, kot

zachowywał się leniwie od chwili ich startu z Sargolu, jakby przygody na

ładzie wyczerpały jego siły żywotne.

- Czemu nie pracujesz? - Spytał Dan, pochylając się, by podrapać

futrzany podbródek wystawiony już do takich pieszczot.

- Odkładasz inspekcję ładowni na później?

Sinbad mrugnął tylko i jak to mają w zwyczaju koty popatrzył

ogromnie znudzonym wzrokiem. W chwili, gdy Dan odwracał się, by

wyjść, wszedł Szef Ładowni. Nie zdziwiła go obecność Dana. Wręcz przeciwnie, wyciągnął rękę i powiódł palcem po naklejce taśmy, którą właśnie Dan wybrał. Spojrzawszy na symbol identyfikacyjny, wyjął ją z ręki swego zastępcy, z powrotem umieścił w przegródce i przez chwilę przyglądał się kolekcji zapisów poprzednich rejsów. Cmokając z zadowoleniem, wyciągnął inną i rzucił ją Danowi przez biurko.

- Spróbuj rozwikłać tę płataninę - rozkazał.

Ramiona Dana opadły, jakby zdjęto mu z nich ogromny ciężar. Nie było jeszcze dawnego luzu, lecz z pewnością „opuścił już mroki niezadowolenia” Van Rycka.

Dan wrócił do kabiny, ściskając taśmę, jakby to był najwyższej klasy kamień Koros. Wsunął taśmę do czytnika, nałożył słuchawki i położył się na wznak, by ją przesłuchać.

Leżał zagłębiany w zawilosciach transakcji tak skomplikowanej, że zgubił się po dwu pierwszych ruchach, gdy nagle otworzył oczy i zobaczył stojącego w drzwiach Aliego. Zastępca mechanika kiwnął wymownie i Dan zdjął słuchawki.

- O co chodzi? - Pytanie nie zabrzmiało zbyt uprzejmie.

- Potrzebuję pomocy - odparł zwięźle Ali. - Rozłożyło Kostiego.

- Co? - Dane usiadł i zerwał się na równe nogi.

- Nie mogę sam go przenieść. - Ali stwierdził rzecz oczywistą.

Olbrzymi fachowiec od silników był prawie dwukrotnie większy od niego.

- Musimy go zanieść do jego kabiny. Nie będę pytał Stotza.

Dan dobrze wiedział, dlaczego. Asystent czy dwu uczniów mogło

zachorować, lecz na statku najważniejsze było zdrowie oficerów. Jeśli na pokładzie rozprzestrzeniła się jakaś infekcja, to byłoby lepiej, żeby złapał ją Ali niż Johan Stotz z całą swą encyklopedyczną wiedzą o silnikach Królowej.

Znaleźli Kostiego na wpół siedzącego, na wpół leżącego w korytarzu prowadzącym do jego kabiny. Szedł do siebie, gdy dostał ataku. Nim tamci dwaj doszli do niego, zaczął już wracać do przytomności; siedział jęcząc i trzymając się za głowę. Wspólnie pomogli mu wstać i zaprowadzili na койę, gdzie osłabł znowu tak, że musieli go na nią wpychać. Dan spojrzał na Aliego:

- Tau?
- Nie zdążyłem go zawołać. - Ali szarpał paski, które przytrzymywały buty Kostiego.
- Sam pójdę!

Zadowolony, że ma coś do roboty, Dan popędził w górę po drabinie do następnej sekcji i poszedł długim, bocznym korytarzem do kabiny medyka. Zapukał do drzwi.

Upłynęła chwila, zanim pojawił się Craig Tau, głębokie bruzdy zmęczenia okalały jego usta i dzieliły czoło.

- Kosti, sir. - Dan spiesznie wyrzucił z siebie złe wieści. - Miał atak. Zanieśliśmy go do kabiny.

Tau nie okazał zdziwienia. Jego ręka sięgnęła po zestaw apteczny.

- Dotykałeś go? - Gdy Dan skinął głową, rozkazał: - Zostań u siebie, dopóki nie będę miał trochę czasu, by cię zbadać, rozumiesz?

Dan nie zdążył odpowiedzieć, gdyż medyk szedł już korytarzem.

Poszedł do siebie; choć zdawał sobie sprawę z powodu swego uwięzienia, to wewnętrznie buntował się przeciw temu. Żeby nie siedzieć bezczynnie, włączył czytnik, lecz niewiele słyszał z faktów i liczb, które docierały do jego uszu. Nie był w stanie skoncentrować się - to coś nowego czaiło się za ścianą.

Nie sposób było policzyć niebezpieczeństwa gwiazdnych szlaków; czająca się wśród gwiazd śmierć była częstym kompanem wszystkich astronautów. A wśród Wolnych Pośredników była dodatkowym i niewidocznym członkiem załogi każdego ich statku. Jednak śmierć śmierci nie jest równa. Dan pamiętał te ponure legendy, które Van Ryck zbierał zapamiętane, nagrywając je w swej prywatnej bibliotece kosmicznego folkloru.

Opowieści takie, jak ta o upiornej Nowej Nadziei, wiozącej uciekinierów z pierwszej Marsjańskiej Rebelii. Statek, który wystartował, lecz nigdy nie dotarł do miejsca przeznaczenia i błądził w nieskończoność - wolno opadający wrak z zamkniętą burtą, lecz zapalonymi „martwymi światłami” ostrzegawczymi na dziobie. W ciągu pięciu wieków namierzył go tylko jeden statek będący w takiej samej sytuacji. Wiele było podobnych opowieści. Inne mówiły o „statkach plag” błądzących swobodnie z martwymi załogami lub odkrytych i wystrzelonych na jakieś słońce przez patrolowy krążownik, by nie roznosiły dalej infekcji.

Gdy poczuł dotyk na ramieniu, podskoczył tak gwałtownie, że wyrwał przewód czytnika. Wstał i trochę zawstydzony powitał Tau. Na

polecenie medyka rozebrał się. Było to jedno z najdokładniejszych badań, jakie kiedykolwiek przeszedł, nie licząc portu kwarantanny. Polegało ono między innymi na nieomal mikroskopijnej inspekcji skóry na szyi i ramionach, lecz skończywszy je, Tau odetchnął z ulgą.

- No, nie masz tego, a przynajmniej nie wykazujesz żadnych objawów - sprostował natychmiast swą pierwszą diagnozę.

- Czego szukałeś?

Tau nie odpowiedział od razu.

- Tutaj -jego palce dotknęły małego zagłębienia u podstawy gardła

Dana, po czym obrócił go i wskazał na dwa miejsca z tyłu szyi i pod łopatkami - Kosti i Mura mają tu czerwoną wysypkę. Tak jakby dostali jakiś narkotyczny zastrzyk.

Tau siedział na rozkładanym krześle, podczas gdy Dan ubierał się. -

Kosti brał udział w naprawach, mógł coś złapać.

- Ale Mura...

- No właśnie! - Tau uderzył pięścią w brzeg łóżka. - Frank prawie że nie schodził ze statku, a mimo to wystąpiły u niego pierwsze objawy. Z

drugiej strony tobie nic nie jest, a opuszczałeś pokład. Ali też jest czysty, choć był z tobą na polowaniu. Musimy po prostu czekać, aż się

przekonamy. Wstał z trudem.

- Jeśli zaczniesz boleć cię głowa - zwrócił się do Dana - wracaj do siebie i nie ruszaj się, rozumiesz?

Dan dowiedział się, że wszyscy pozostali członkowie załogi przeszli podobne badania. Żaden nie wykazywał charakterystycznych objawów

będących przyczyną kłopotów. Lecieli w stronę Ziemi, ale - i właśnie to „ale” spędzało im sen z powiek - gdy już tam dolecą, czy będą mogli wylądować? Czy mogą liczyć choć na wysłuchanie? „Statek plag”? - Tau musi znać odpowiedź, zanim doleczą do ich własnego układu słonecznego, albo znajdą się w tarapatach, w porównaniu z którymi ta zerwana umowa wydaje się błahostką.

Kosti i Mura przebywali w izolatkach. Do opieki nad nimi zgłosili się ochotnicy i Tau, nie mogąc przebywać w dwóch miejscach jednocześnie, wybrał Weeksa, by opiekował się swym towarzyszem z sekcji inżynierskiej.

Trzeba było podwoić obowiązki. Tau nie mógł już z Murą zajmować się wodnym ogrodem, więc przejął to Van Ryck. Na Danie spoczęła odpowiedzialność za kuchnię. Gdy brakło zręcznej ręki Mury, który doprowadzał monotonne koncentraty do stanu przypominającego świeżą żywność, sam po paru dniach zaczął ostrożne eksperymenty i stworzył potrawę, która przyniosła mu krótką pochwałę z ust kapitana Jellico.

Wszyscy odetchnęli nieco, gdy po trzech dniach nie stwierdzono u pozostałych członków załogi jakichkolwiek oznak tajemniczej choroby.

Zwyczajem już stało się poranne paradowanie rozebranych do pasa towarzyszy Tau, który czujnym niesłabnącym okiem szukał niebezpiecznych punktów.

Jednocześnie Mura i Kosti nie cierpieli już tak bardzo. Po pierwszych bólach głowy i zasłabnięciach pacjenci zapadli w stan półprzytomności, jakby zostali czymś uspieni. Jedli, jeśli ich nakarmiono,

lecz wyglądało na to, że nie wiedzą, co się z nimi dzieje, nie odpowiadali też na pytania.

W przerwach między wizytami u nich Tau pracował gorliwie w swym malutkim laboratorium. Analizował próbki krwi i odczytywał zapisy różnych dziwnych chorób, próbując znaleźć przyczynę infekcji. Lecz jak dotąd nie znalazł niczego. Wyszedł ze swej pracowni i siadł wyczerpany przy stole w mesie, a Dan postawił przed nim kubek wzmocnionej mikstury.

- Nie rozumiem! - Medyk mówił bardziej do blatu stołu niż do kucharza amatora. - Jest to jakaś trucizna. Kosti był przy naprawach, Mura nie. A jednak Murę złapało pierwszego. Nie braliśmy też na pokład żadnego jedzenia z Sargolu. On też nie jadł niczego w czasie naszego pobytu. Chyba, że spróbował czegoś, a my o tym nie wiemy. Gdyby mi się udało podleczyć go na tyle, by odpowiedział na parę pytań.

Wzdychając oparł ciężko głowę na złożonych ramionach i za chwilę już spał.

Dan odstawił kubek na podgrzewacz i siadł po drugiej stronie stołu. Nie miał serca, by budzić Tau - niech się stary trochę zdrzemnie, po ostatnich czterech dniach z pewnością potrzeba mu tego.

Van Ryck przeszedł korytarzem w stronę ogrodu, a Sinbad kręcił się koło nóg. Po chwili kot wrócił i natychmiast wskoczył Danowi na kolana. Nie zwinął się w kłębek, lecz lasił się, ocierając o jego ramię, aż w końcu wyciągniętą łapą trącił brodę Dana, miauknął bezgłośnie, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- O co chodzi, chłopcze? - Dan podrapał kota za uszami. - Chyba nie

**boli ciebie głowa, co? - W tym momencie nagła myśl przyszła mu do
głowy. Sinbad wędrował po Sargolu do woli, a i na całym pokładzie czuł
się, jak u siebie w domu, może to on rozniósł zarazę?**

**Byłby to jakiś punkt zaczepienia, gdyby okazało się to prawdą. Tylko
wtedy, logicznie rzecz biorąc, drugą ofiarą powinien być Van lub Dan, a
nie Kosti, gdyż u nich Sinbad spędzał najwięcej czasu. O ile Dan się
orientował, to kot nigdy nie czuł specjalnej sympatii dla fachowca od
silników i z pewnością nie spał w jego kabinie. Nie, to nie miało sensu.**

**Postanowił wspomnieć o tym Tau, żadnej ewentualności nie można
przeoczyć, bez względu na to, jak bardzo jest nieprawdopodobna.**

**To właśnie kolejność zachorowań najbardziej ich dziwiła. Tau nie
był w stanie znaleźć niczego wspólnego dla Kostiego i Mury ponad to, że
należeli do tej samej załogi. Ich kabiny znajdowały się w różnych
sekcjach, wykonywali zupełnie inne prace, nie mieli podobnych
upodobań, jeśli chodzi o potrawy i napoje, nie należeli nawet do tej samej
rasy. Frank Mura był jednym z potomków tajemniczego (przynajmniej
obecnie) ludu, który zamieszkiwał na wyspach ziemskiego morza; wyspy
te przestały istnieć prawie sto lat temu w czasie szeregu rozdzierających
świat trzęsień ziemi. Japończycy - tak brzmiała starożytna nazwa tego
ludu. Z drugiej strony Karl Kosti pochodził z mocno zaludnionego
masywu lądowego, oddalonego od tamtych wysp o pół planety, który nosił
geograficzną nazwę „Europy”. Nie, obie ofiary posiadały jeden tylko, dość
słabo wiążący ich punkt wspólny - obaj zaciągnęli się na Królową Słońca i**

obaj pochodzili z Ziemi.

Tau poruszył się i wyprostował. Mrugając, spojrzął na Dana, po czym odgarnął sztywne, czarne włosy i ponownie stał się czujny. Dan położył mu na kolanach mrużącego kota i w paru zdaniach przedstawił swoje podejrzenia. Dłonie Tau mocniej chwyciły kota.

- Jest to jakaś ewentualność. - Wyglądał teraz na mniej zmęczonego i gdy Dan podał mu ponownie kubek, wypił go łapczywie. Potem wyszedł szybko z Sinbadem pod pachą, udając się do swego laboratorium.

Dan pucował kuchnię, gdyż zależało mu, by wyglądała równie porządnie, jak u Mury. Nie bardzo wierzył w teorię z Sinbadem, lecz trzeba było sprawdzić wszystko.

Nie zmartwił specjalnie Dana fakt, że medyk nie pokazywał się przez resztę dnia. Lecz zaniepokoił się, gdy przyszedł Ali z pytaniem i wyrzutem?

- Widziałeś gdzieś Craiga?

- Jest w laboratorium - odpowiedział Dan.

- Nie odpowiadał na pukanie - zaprotestował Ali. - A Weeks twierdzi, że nie odwiedzał go dzisiaj.

Dan zaczął się zastanawiać. Czyżby jego domysł okazał się prawdą?

Czy Tau odkrył coś, co trzymało go w laboratorium? Nie zdarzało mu się zaniebdywać pacjentów.

- Jesteś pewny, że nie ma go w laboratorium?

- Mówiłem ci, że nie odpowiada na pukanie. Nie otwierałem drzwi.

Nie kończąc, Ali popędził z powrotem korytarzem, którym

przyszedł, a Dan za nim; obaj starali się nie myśleć o przyczynie milczenia

Tau. Ich obawy zwiększyły się, gdy stanęli pod drzwiami - z wnętrza dobiegał przeciągły jęk spowodowany okropnym bólem. Dan pchnął przesuwane drzwi.

Tau zsunął się ze swego stolka na podłogę. Dłońmi obejmował głowę, która kołysała się z boku na bok, jakby próbował ukoić swoją męczarnię. Dan ściągnął z medyka podkoszulek. Nie trzeba było się specjalnie przyglądać, w zagłębieniu gardła Craiga Tau widać było ostrzegawczą czerwoną plamkę.

Sinbad! - Dan rozglądał się po kabinie. - Czy Sinbad wymknął się obok ciebie? - spytał zdziwionego Alego.

- Nie, nie widziałem go cały dzień.

Kota nie było jednak w małej kabinie Tau, nigdzie się nie schował.

Żeby się upewnić, Dan zabezpieczył drzwi, nim przenieśli Tau na jego койę. Medyk zasłabł ponownie, zapadł w letarg, będący drugim etapem choroby. Przynajmniej nie cierpiał bólu, który wydawał się najgorszym symptomem.

- To musi być Sinbad! - Stwierdził Dan, składając bezpośredni raport kapitanowi Jellico. - A mimo to...

- Tak, mieszka w kabinie Vana - zastanawiał się kapitan. - Ale i ty miałeś z nim styczność, spał na twojej koi. Ale ani tobie, ani Yanowi nic nie jest. I tego nie rozumiem. W każdym razie dla pewności lepiej będzie go odnaleźć i odizolować, zanim...

Nie musiał niczego podkreślać słuchającemu go z surowym

wyrazem twarzy towarzyszowi. Gdy zachorował Tau, jedyna nadzieja zwalczania choroby przepadła, a ich samych czekała niewesoła przyszłość.

Sinbada nie trzeba było szukać. Idąc do siebie, Dan natknął się na kota przycupniętego pod niedomkniętymi drzwiami Vana, siedział z oczami utkwionymi w szczelinę. Dan zabrał go do małego pomieszczenia w ładowni, które przeznaczone było dla bezpiecznego przechowywania specjalnych towarów. Ku jego zdziwieniu kot zaczął stawiać wściekły opór, gdy otworzył klapę: wierzgał i drapał wysuniętymi pazurami.

Wydawało się, że zwierzę oszalało i Dan sporo się napocił, nim udało mu się je zamknąć. Gdy tylko to uczynił, usłyszał, jak Sinbad rzucił się na drzwi, jakby chciał je wyważyć. Ociekający krwią z kilkunastu zadrapań, Dan poszedł poszukać apteczki. Coś jednak tknęło go, by zatrzymać się przed drzwiami Vana. Gdy nikt nie odpowiedział na jego pukanie, pchnął drzwi.

Van Ryck leżał na swej koi, charakterystycznie przymknięte oczy bardzo upodabniały go do pozostałych chorych członków załogi. Dan wiedział, że gdyby poszukał, to znalazłby na ciele Szefa Ładowni znaki tej dziwnej plagi.

ROZDZIAŁ 9

PLAGA

Jellico i Steen Wilcox ślęczeli nad paroma notatkami, które Tau zdążył zrobić, dopóki nie dostał ataku. Nic jednak nie wskazywało na to, by Sinbad był nosicielem jakiejś choroby. Mimo to kapitan wydał polecenie zamknięcia kota. Nie było to łatwe, gdyż Sinbad czaił się przy drzwiach magazynu, gotowy do błyskawicznego wymknięcia się, gdy przynoszono mu jedzenie. Raz nawet udało mu się uciec spory kawał korytarzem, zanim Dan zapędził go w róg i ponownie zamknął.

Dan, Ali i Weeks przejęli opiekę nad czwórką chorych, a rutynowe obowiązki pozostawili wyższym oficerom. Rip odpowiedzialny był za wodny ogród.

Zdrowie Mury, który zachorował pierwszy, nie poprawiało się.

Wciąż był półprzytomny, połykał żywność, jeśli włożono mu ją do ust, na nic nie reagował. Podobnie zachowywali się Kosti, Tau i Van Ryck.

Przez cały czas każdego ranka zdrowi przechodzili inspekcje na wypadek pojawienia się kolejnych oznak. Gdy w ciągu następnych dwu dni żaden z nich nie zachorował, zatliła się w nich słabiutka iskra nadziei.

Nadziei, która zgasła w chwili, gdy Ali przyszedł z wiadomością, że nie można dobudzić Stotza i że musiał on zachorować w czasie snu.

Doszedł jeszcze jeden pogrążony w apatii pacjent, a oni wciąż nie wiedzieli, w jaki sposób został zarażony. Tym razem mogli wyeliminować Sinbada, gdyż ten pozostawał w zamknięciu w czasie, gdy Stotz się zaraził.

Pomimo że Weeks, Ali i Dan wciąż kontaktowali się z chorymi, a

Dan zajmował się kotem, wszyscy pozostawali zdrowi. Dan wielokrotnie zastanawiał się nad tym, że fakt ten musi mieć znaczenie. Gdyby tylko mógł to zbadać ktoś z medyczną wiedzą Tau. Według wszelkich danych to oni powinni być najbardziej podatni, lecz rzeczywistość nie potwierdzała tego. Wilcox nie omieszkał zanotować tego faktu wśród zapisywanych danych.

W oczekiwaniu na kolejny przypadek zaczęli się wzajemnie obserwować. I nie zdziwili się, gdy Tang Ya wtoczył się do mesy. Jego sina twarz wyrażała wielkie cierpienie. Rip i Dan zaprowadzili go do kabiny, zanim zemdlał. Wszystkim, czego dowiedzieli się od niego, nim stracił przytomność, było to, że pęka mu głowa i nie może tego znieść. Spoglądali na siebie ponuro nad jego wielkim ciałem.

- Sześciu rozłożonych - zauważył Ali - i sześciu w kolejce. I jak się czujecie?

- Jedyne jestem zmęczony. Nie rozumiem tylko tego, że gdy już zapadną w odrętwienie, to w nim pozostają. Nie pogarsza im się, nie mają podwyższonej temperatury - tak jakby przebywali w jakiejś zmodyfikowanej formie zamrożenia.

- Co z Tangiem? - Rip spytał z korytarza.

- Bez zmian - odparł Ali. - A ty, stary, masz bóle?

Rip potrząsnął głową. - Zdrowy jak ryba. Nie rozumiem, dlaczego

łapie to Tanga, który nawet nie tknął roboty. A ty się trzymasz?

Dan skrzywił się.

- Gdybyśmy mogli na to odpowiedzieć, może udałoby nam się

wyjaśnić wszystko.

Ali zmrużył oczy. Wpatrywał się w nieprzytomnego technika komputerowego tak, jakby nie zauważał leżącego na wznak ciała.

- Zastanawiam się, czy ulegliśmy zasoleniu - powiedział wolno.

- Ulegliśmy czemu? - spytał Dan.

- Posłuchaj, my wszyscy z Weeksem piliśmy ten napój Salarików, zgadza się? I wszyscy trzej...

- Chorowaliśmy później jak wenusjańskie żarłoki - odpowiedział

Rip. To miało sens.

- Chcesz powiedzieć... - zaczął Danee.

- To jest to! - krzyknął Rip.

- Mogłoby to być prawdą - powiedział Ali. - Pamiętajcie, jak osadnicy z Camblyne postępowali w pierwszym roku ze swym ziemskim bydłem?

Karmili je solą fansel zmieszaną z trawą. W rezultacie bydło nie chorowało na gorączkę trawiastą, gdy wypędzali je na pastwiska w porze suchej. Może i my dostaliśmy swoje dawki „soli” w napoju. Zwierzęta piekielnie wymiotują, gdy dostaje im się do gardła sól fansel, lecz przechodzi im to i później są już odporne na gorączkę. Teraz nikt na Camblyne nie kupuje nie zasolonego bydła.

- To brzmi logicznie - przyznał Rip. - Ale jak to udowodnić?

Twarz Aliego spochmurniała ponownie.

- Chyba tylko drogą eliminacji - powiedział posępnie. - Jeśli my przetrzymamy, a reszta zachoruje, wtedy przekonamy się.

- Ale powinniśmy przecież coś zrobić? - zaprotestował Shannon.

- Tylko co? - Ali ściągnął swe wąskie brwi. - Nie mamy przecież na pokładzie galonu tego trunku Salarików, żeby zaserwować wszystkim. Nie wiemy, co w nim było. Nie mamy też pewności, że cała ta teoria jest prawdziwa.

Każdy z nich przeszedł szkolenie w zakresie pierwszej pomocy i podstawowej profilaktyki, lecz bardziej skomplikowane eksperymenty laboratoryjne wykraczały poza ich wiedzę i umiejętności. Gdyby Tau był jeszcze zdrowy, to może potrafiłby to zbadać i uporządkować chaos, który opanowywał pokład Królowej Słońca. Mimo że podzielili się swym domysłem z kapitanem, to jednak Jellico nie mógł nic w tej sprawie zrobić. Jeżeli ci czterej, którzy wspólnie wychylili gorzki puchar przyjaźni, mieli okazać się odporni na wiszące nad statkiem nieszczęście, to nie było możliwości, by dowiedzieć się, dlaczego i jak to się stało.

Czas na statku niewielkie miał znaczenie. Nie zdziwili się, gdy Steen Wilcox zsunął się ze swego siedzenia przed komputerem i tak jak pozostali został odniesiony do izolatki. Nie licząc młodszej czwórki już tylko Jellico opierał się zarazie, przejmując opiekę nad nieprzytomnymi. Ich stan nie ulegał zmianie. W miarę upływu dni i godzin nie pogarszał się, ale i nie poprawiał. Lecz każdy dzień i każda godzina przybliżały ich do jeszcze większego niebezpieczeństwa. Prędzej czy później będą musieli przejść z Hiper do własnego układu i samo opuszczenie krzywej było czymś, co nawet stary weteran musiał odczuć. Okrągła z natury twarz Ripa zapadała się z upływem czasu. Jellico wciąż się trzymał, lecz gdyby i on zachorował, cała odpowiedzialność za manewr przejścia spadłaby

bezpośrednio na Shannona. Najmniejszy nawet błąd mógł okazać się przyczyną ich beznadziejnej wędrówki, być może na zawsze.

Dan i Ali przejęli od Ripa prawie wszystkie obowiązki. Jedynym jego zadaniem była praca przy komputerze na miejscu Wilcoxa. Bez przerwy śledził nad danymi kursu, który astronawigator poprzednio wyznaczył. Kapitan Jellico sprawdzał je ponownie, jego oczy zapadały się coraz bardziej.

Gdy nadszedł decydujący moment, Ali zajął miejsce w pomieszczeniu silnikowym. Towarzyszył mu Weeks, by mieć oko na kontrolki, których tymczasowy mechanik nie mógł objąć wzrokiem.

Upewniwszy się, że chorzy są unieruchomieni w pasach bezpieczeństwa, Dan zajął miejsce Tang Ya w kabinie kontrolnej, by odczytywać dane przejściowe.

Mocno ochryply głos Ripa wywoływał dane. Pomimo że Dan posiadał ogólne, teoretyczne podstawy, czuł się kompletnie zagubiony, zanim Shannon nie skończył ustalania pierwszych współrzędnych. Jellico odpowiadał, a jego ręce wprawnie przesuwały się po pulpicie sterowniczym.

- Przygotować się do przejścia. - Ochryply głos dotarł do maszynowni, w której zamiast Stotza siedział teraz Ali.

- Silniki gotowe. - Głos powrócił stłumiony długą drogą z wnętrza statku.

- Zero, pięć, dziesięć. - Ponownie rozległ się głos Jellico.

Dan stwierdził, że nie jest w stanie dłużej patrzeć. Zamknął oczy,

starając się wytrzymać zawroty głowy spowodowane przejściem.

Wreszcie zaczęło się i poczuł, że wiruje z uczuciem mdłości w drgającej przestrzeni. Później stwierdził, że siedzi w zdobionym fotelu technika komputerowego i patrzy na Ripa.

Strumienie potu spływały po ciemnej twarzy Shannona. Wilgotna plama wielkości obu dłoni Dana pokryła jego tunikę na plecach.

Przez chwilę nie podnosił głowy, by spojrzeć na ekran kontrolny, który pokazywał, czy im się udało. Lecz kiedy to uczynił, zobaczył znane konstelacje. A więc wyszli i nie mogli zejść zbyt mocno z kursu, który wyznaczył Wilcox. Oczywiście pozostał im do pokonania własny układ, lecz przejście mieli już za sobą. Rip westchnął głęboko i skrył głowę w dłoniach.

Przestraszony Dan odpiął swój pas bezpieczeństwa i pośpieszył do niego. Gdy schwycił Shannona za ramię, jego głowa opadła bezwładnie.

Czy i Rip zachorował? W tej chwili zamruczał coś i otworzył oczy.

- Czy boli cię głowa? - Dan potrząsnął nim.

- Głowa? Nie - odparł sennie Rip. - Spać, tak chce mi się spać.

Nie wyglądał na cierpiącego. Trzęsącymi się rękoma Dan wyciągnął go z fotela i prawie niosąc poprowadził do kabiny. Modlił się, by było to tylko zmęczenie, a nie choroba. Statek poprowadził teraz automatyczny pilot, póki Jellico nie ustawi kursu.

Dan położył Ripa na koi i ściągnął mu tunikę. Drobna twarz śpiącego wyglądała mizernie na tle miękkiego łóżka. Shannon wtulił się w posłanie, jak dziecko odwracając się i zwijając w kłębek. Na jego skórze

nie było widać jednak żadnych śladów, to rzeczywiście był tylko sen, a nie plaga, która i jego mogła dotknąć.

Instynkt podpowiedział Danowi, by wrócił do kabiny kontrolnej.

Nie miał doświadczenia jako pilot, lecz może mógł się na coś przydać teraz, gdy Rip odpadł być może na długie godziny.

Jellico siedział zgarbiony przed mniejszym komputerem i wkładał taśmę pilota. Na jego wychudzonej twarzy spod cienkiej skóry wystawały ostro kości nosa, szczęki i policzków.

- Shannon chory? - Z jego mocnego, stanowczego głosu pozostał zaledwie szept. Kapitan nie odwracał głowy.

- Po prostu wyczerpany, sir - zapewnił go pośpiesznie Dan. - Nie ma symptomów choroby.

- Jak dojdzie do siebie, powiedz mu, że współrzędne są wyliczone - mruknął Jellico. - Dopilnuj go, żeby sprawdził kurs za dziesięć godzin.

- Ale, sir - Dan chciał zaprotestować, lecz dał spokój, widząc, jak kapitan próbuje wstać, podpierając się na drżących dłoniach. Thorson skoczył do przodu, by podtrzymać tamtego, jedną ręką szarpnął za kołnierz tuniki, rozrywając zapięcie.

Wszystko było jasne - na spoconym gardle wyraźnie widać było czerwoną plamkę. Jellico trzymał się na nogach, powstrzymując fale bólu jedynie siłą woli. Dan chwycił go mocno i odciągnął od komputera, mając nadzieję, że kapitan wytrzyma, póki nie dojdą do jego kabiny.

Gdy dotarli tam, przywitały ich wrzaski Hoobata. Dan uderzył z wściekłością w klatkę. Siedząc w kołyszącej się teraz klatce, stworzenie

zamilkło i gapiło się swymi okrągłymi, złośliwymi oczami, jak Dan kładzie kapitana na łóżko.

Zostało nas już tylko czterech, pomyślał ponuro Dan i wyszedł z kabiny. Jeśli Rip dojdzie do siebie na czas, to mogą wylądować. - Dan wstrzymał oddech na myśl o tym, że Shannon mógłby być chory i on sam musiałby sprowadzić Królową do lądowania. Do lądowania, gdzie?

Miejszem kwarantanny dla Ziemi było Luna City na Księżycu. Wystarczy jednak, by zgłosili lądowanie i opisali to, co się zdarzyło, a mogą się przygotować na śmierć jako „statek plag”.

Zmęczony zszedł do mesy, w której siedzieli już Ali i Weeks. Nie spojrzeli na niego, gdy wszedł.

- Stary chory - powiedział.

- A Rip? - odpowiedział Ali pytaniem.

- Śpi. Padł.

- Co? - Wykrzyknął Weeks, odwracając się.

- Wyczerpany - poprawił się Dan. - Kapitan włączył taśmę pilota, zanim się rozłożył.

- A więc zostało nas czterech - skomentował Ali. - Gdzie lądujemy, w Luna City?

- Jeśli nam pozwolą. - Dan zasugerował najgorsze.

- Ale przecież muszą nam pozwolić! - krzyknął Weeks. - Nie możemy przecież kręcić się w koło.

- To już się zdarzało. - Ali uciszył Weeksa brutalną uwagą.

- Czy stary wysterował na Lunę? - Spytał po dłuższej chwili Ali.

- Nie sprawdzałem - wyznał Dan. - Zachorował i musiałem

zataszczyć go na koję.

- Dobrze byłoby się dowiedzieć. - Zastępca mechanika wstał, jego

ruchy nie były już tak sprężyste, jak zwykle. Pozostała dwójka podążyła za nim do pomieszczeń kontrolnych.

Szczupłe palce Aliego przesuwaly się po klawiszach i po chwili na

małym ekranie ukazały się liczby. Dan wziął główne księgi kursów,

odczytał odpowiednie dane i zamrugał.

- Nie Luna? - spytał Ali.

- Nie. I nie rozumiem. To musi być gdzieś w pasie asteroidów.

Usta Alego wykrzywił grymas, który w niewielkim tylko stopniu

przypominał uśmiech. - Dobra robota. Stary miał głowę na karku nawet

wtedy, gdy go już złapało!

- Tylko dlaczego lecimy do asteroidów? - Weeks spytał rzeczowo. -

W Luna City mają medyków, mogliby nam pomóc.

- Mogą zająć się tylko znanymi chorobami - zauważył Ali. - A poza

tym, co z Regulaminem?

Weeks zręcznie wsunął się w fotel technika komputerowego, jakby

znużenie opuściło jego chude, lecz mocne nogi. - Nie zrobiliby tego -

zaprotestował, lecz jego oczy mówiły, że zdaje sobie sprawę, iż równie

dobrze mogliby to zrobić.

- Nie? Człowieku, spójrzmy na fakty. - Głos Alego brzmiał nieomal

okrutnie. - Przybywamy z planety znajdującej się na pograniczu, jesteśmy

„statkiem plag”.

Nie musiał tego podkreślać. Wszyscy bardzo dobrze zdawali sobie

sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli.

- Jak dotąd, nikt nie umarł. - Weeks próbował znaleźć jakieś wyjście z sieci, która zaczynała ich oplatać.

- Ale i nikt nie wyzdrowiał. - Ali zerwał natychmiast tę nić nadziei.

- Nie wiemy, co to jest, jak można się tym zarazić, nie wiemy nic.

Wystarczy, byśmy złożyli o tym raport, a już dobrze wiesz, co nas czeka, a może nie?

Nie byli pewni szczegółów, ale mogli się domyśleć.

- Tak więc, twierdzę - ciągnął Ali - że stary miał rację, kiedy

wyzначzył kurs zastępczy. Jeśli uda nam się przeczekać, aż nie dowiemy

się, o co w tym wszystkim chodzi, to może będziemy mieli szansę

przekonać „góre”, gdy już wylądujemy.

W końcu postanowili nie zmieniać kursu wyznaczonego przez

kapitana. Wprawdzie znajdą się na obrzeżach słonecznej cywilizacji, lecz

da im to minimalną szansę rozwiązania problemu, zanim będą musieli

złożyć raport władzom. Tymczasem wykonywali swe obowiązki,

pozwalając spać Ripowi i obserwowali się ze skrywaną czujnością, gotowi

do przyjęcia wiadomości o następnym przypadku choroby. Jednak

pomimo prawie skrajnego wyczerpania pozostawali zdrowi. Czas

wykazywał, że ich domysły były słuszne - zostali w jakiś sposób

uodpornieni na wirusa, który zaatakował statek.

Rip spał prawie dobrą, po czym przyszedł do mesy straszliwie

wyglodzony, chcąc nadrobić zaległości w jedzeniu i wiadomościach. Nie

chciał podzielić przeważającą pesymistyczną wizję przyszłości. Wyrażał przekonanie, że ich odporność została udowodniona, co dawało im argument w dyskusji z przedstawicielami medycyny na Lunie. Dlatego też skłonny był zmienić kurs na stację kwarantanny. Potrzeba było argumentów pozostałej trójki, by skłonić go do odłożenia decyzji, co uczynił niechętnie.

Już następnego dnia przekonali się, jak dużo zawdzięczają przezorności kapitana Jellico. Ali siedział właśnie przy stanowisku komputerowym, próbując wychwycić jakieś wiadomości z Układu Słonecznego. Czerwone światła alarmu migające na całym statku sprowadziły pozostałych do pomieszczeń kontrolnych. Wychwytywane fragmenty kodu wzmożyły się, gdy Ali włączył maksymalne nagłośnienie odbiornika, po czym zostały przetłumaczone, gdy nacisnął drugi przycisk.

- Powtarzam, powtarzam, powtarzam. Wolny Frachtowiec Królowa Słońca, Numer Rejestracyjny na Ziemi 65-724910-JK, podejrzenie o plagę, wystartował z zarażonej planety. Ostrzegam, ostrzegam, zgłosić taki statek w Stacji Luna. Królowa Słońca z zarażonej planety, ostrzec i dać znać.

Ta sama wiadomość została powtórzona trzykrotnie, zanim zamarła w eterze.

Cała czwórka patrzyła tępo na siebie.

Ciszę przerwał Dan.

- Ale skąd oni się dowiedzieli? - Nie zgłaszaliśmy jeszcze. - Eysie - Ali rzucił gotową odpowiedź. - Statek Inter-Solaru ma pewnie takie same

kłopoty i zwrócił się do Kompanii. Mogli wspomnieć o nas w swym raporcie i przyjęli, że i my też zostaliśmy zarażeni, a przynajmniej przekonali swe władze, że tak się stało.

- Pomyślmy. - Rip zmrużył oczy, opierając się o ścianę. - Przyjrzyjmy się faktom. Członkowie Statku Zwiadowczego, który badał Sargol, prowadzili tam prace przez około trzy-cztery miesiące. Mimo to wydali orzeczenie o braku zagrożenia dla zdrowia i wystawili planetę na aukcję. Później Cam wykupił te prawa, odbył co najmniej dwie podróże, zanim go załatwili na Otchłani. Ani on, ani Zwiad nie mieli kłopotów z żadną infekcją.

- Ale musisz przyznać, że nas dosięgła-zaprotestował Weeks.

- Tak, i ci z Eysie byli w stanie to przewidzieć, donieśli o nas, zanim jeszcze wyskoczyliśmy z Hiper. Tak, jakby spodziewali się, że przywieziemy tę plagę. Co wy na to? - spytał Shannon.

- Myślisz, że coś podłożyli? - Ali zachmurzył się nad pulpitem kontrolnym. - Ale jak? Żaden Eysie nie był na pokładzie, nie było też Salarików, z wyjątkiem tego szczeniaka, który pokazał nam, co myślą o kociej mięcie.

Rip wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć, jak to zrobili - zaczął, lecz przerwał mu Dan:

- Gdyby nie wiedzieli o naszej odporności, to Królowa mogłaby nigdy nie wyjść z Hiper, nie zostałby nikt, kto mógłby wyznaczyć kurs.

- Zgadza się. Fakt, że ktoś to przyniósł, oznacza, iż wszystko z góry przygotowali. Jeśli nikt nie będzie się specjalnie czepiał, wtedy Sargol

zostanie wykreślony z rejestrów handlowych jako zarażony. In-ter-Solarowcy przeczekają z rok lub dwa i wystąpią do Rady z propozycją zbadania sprawy. Wyniki przeglądu zostaną powielone, nie będzie żadnej infekcji.

Wyślą Sondę Patrolową. Wszystko się będzie zgadzało: uznają, że to nie planeta, lecz ten paskudny stary Wolny Frachtowiec, który już nie będzie przeszkadzał. Inter-Solar legalnie otrzyma prawo handlu kamieniami Koros i nie będą musieli się nami przejmować! Pasuje jak sierść Salarików, i to dokładnie do naszych gardel, moi drodzy!

- To co robimy? - dopytywał się Weeks.

- Trzymamy się kursu starego, przyczaimy się w asteroidach, zanim porządnie nie przemyślimy sprawy i nie znajdziemy wyjścia. No, ale jeśli Inter-Solarowcy podrzucili nam ten cenny prezent, to jego ślady muszą być wciąż na pokładzie. Gdyby udało nam się to znaleźć, wtedy mielibyśmy jakiś punkt wyjścia.

- Mura rozłożył się pierwszy, potem Karl. Żadnego punktu wspólnego. - Po raz setny rozważał Dan.

- Niby nie. Ale... - Ali wstał znad komputera - proponuję gruntownie przeszukać najpierw kabinę Franka, a później Karla. Trzeba wywalić wszystko do gołych ścian. Zgadzacie się?

- Dobra, już się bierzemy do roboty! - dodał Rip stojący u drzwi. - Do gołych ścian!

ROZDZIAŁ 10

LĄDOWANIE NA STACJI-R

Sprawdzenie kabiny Mury okazało się zadaniem stosunkowo łatwym, gdyż on sam przebywał w pomieszczeniu dla chorych. Mimo że Rip i Dan przejrzeni ją dosłownie cal po calu, nie znaleźli nic szczególnego, nic, co mogłoby pochodzić z Sargolu, z wyjątkiem małej gałązki czerwonego drewna, która leżała na roboczym stole stewarda. Na nim to kształtował coś do jednego ze swych miniaturowych, baśniowych krajobrazów umieszczanych na zawsze w plastikowej bańce. Dan obracał gałązkę w palcach. Była teraz jedynym ogniwem łączącym ich z wonną planetą i dlatego nie mógł oprzeć się uczuciu, że ma ona jakieś znaczenie. Kosti nie wykazywał wcześniej jakiegokolwiek zainteresowania tym drewnem. On sam zaś, jak i Weeks, mieli z nim kontakt jeszcze zanim zakosztowali przyjaźni Grofta, lecz nie stwierdzili żadnych złych skutków, a więc to nie mogło być drewno. Dane odłożył gałązkę na stolik i zatrzasnął wieko skrzyneczki z drobnymi narzędziami. Dopiero za jakiś czas dowiedział się, jak bardzo blisko był w tym momencie rozwiązania problemu.

Po dwóch godzinach przekładania każdego drobiazgu należącego do stewarda i czolgania się na czworakach po podłodze, a potem oglądania gołych ścian, nie znaleźli zupełnie nic. Rip siadł na krawędzi rozbebeszonej koi.

- Jest jeszcze wodny ogród, Frank spędzał tam sporo czasu, no i magazyn - wyliczał na palcach wszystkie miejsca. - Jeszcze kuchnia i mesa.

Wszystko należało do terytorium, po którym poruszał się Mura. Nie

było problemu z przeszukaniem magazynu, kuchni i mesy, lecz wtargnięcie do wodnego ogrodu oznaczało naruszenie ich zapasów powietrza. Dlatego właśnie spoglądali teraz na siebie niepewnie.

- To doskonale miejsce, by coś zostawić. - Pierwszy odezwał się Dane. Rip przygryzał wargę. Ogród - nie można było wyrywać niczego, co zostało tam posadzone, zanim nie wylądują w porcie i nie zdemontują całej sekcji.

- Diabelski pomysł. - Rip ściągnął swe ruchliwe usta. - Jak mogliby to zrobić?

Dan również nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Podczas całego ich pobytu na Sargolu nikt, oprócz członków załogi, nie wchodził na pokład, wyjąwszy młodego Salarika. Czy ten szczeniak mógł coś przywlec? Przecież on i Mura byli przy nim przez cały czas, gdy był w ogrodzie. O ile Dan sobie przypomniał, to młodzik niczego nie dotykał i był tam bardzo krótko. Fakt ten również miał miejsce przed uroczystościami.

Rip wstał.

- Nie możemy rozmontować ogrodu w przestrzeni - spokojnie oznajmił rzecz oczywistą.

- Musimy więc lądować na Ziemi - odparł Dane.

- Słyszałeś ostrzeżenie. Jeśli spróbujemy...

- A co ze stacją ratunkową?

Rip stał milcząc, swe olbrzymie dłonie założył za sprzączkę pasa. W pewnym momencie wyszedł bez słowa, po czym pomknął na górę do

kabiny Jellico i zapisków, które tam trzymał. Niewielka to była szansa, ale lepsza taka niż żadna.

Dan precyzyjnie się za nim i zastał Ripa przerzucającego taśmę astronawigacji. Wśród asteroidów znajdowały się Stacje-R, do których w razie nagłej potrzeby mogli zgłaszać się poszukiwacze lub pomniejsi kupcy z prośbą o pożyczki lub naprawy. Duże Kompanie posiadały własne, lecz Patrol rezerwował kilkanaście dla Wolnych Pośredników.

- Ale nie tylko Patrol. Rip uśmiechnął się.

- Nie dostałem jeszcze kosmicznego bzika - odparł.

Wkładał taśmę do czytnika stojącego na biurku kapitana. W klatce nad jego głową przycupnął błękitny Hoobat. Obserwował go uważnie i po raz pierwszy, od czasu jak Dan sięgał pamięcią, nie okazywał wrogości wrzeszcząc okropnie lub wściekle plując.

- Patrol Stacja-R A54 - zapiszczał czytnik. Rip wcisnął guzik, przełączając na następne wejście. - Połącz Stacja-R. - Znowu przycisk i trzaśnięcie przełącznika. - Patrol Stacja-R A55, przycisk, trzaśnięcie. - Inter-Solar - tym razem dłoń Ripa nie wcisnęła klawisza i piszczący głos czytnika mówił dalej: - Współrzędne...

Rip sięgnął po pisak i zanotował ciąg liczb.

- Trzeba to porównać z naszym obecnym kursem...

- Tak, ale to przecież stacja Inter-Solaru - zaczął Dane, lecz zaraz roześmiał się, zdając sobie sprawę ze słuszności takiego posunięcia. Nie ośmieliliby się lądować na jakiegokolwiek stacji Patrolu. Co innego stacja Kompanii z dwu- lub trzyosobową załogą, spodziewającą się jedynie

swoich ludzi; w końcu w obecnej sytuacji Inter-Solaru winni im byli tę pomoc.

- Mogą być kłopoty - powiedział, choć nie żywił specjalnych obaw.

Jeśli Eysie są odpowiedzialni za los Królowej, to on nie ma nic przeciwko temu, by przy rozwiązywaniu kłopotów umieścić swą pięść na jednej z szyderczych twarzy Eysie.

- Przekonamy się, gdy tam dotrzemy. - Palce Ripa przesunęły się teraz na tablicę kontrolną. Wystukał ostrożnie kod na wykreślaczu i porównał z kursem wyznaczonym przez Jellico, zanim ten jeszcze zachorował.

- Może być - powiedział, gdy wynik został wyświetlony. - Może to zrobić, nie tracąc zbyt dużo paliwa?

- Co zrobić? - Usłyszeli głos Alego, który pojawił się skończywszy, przeszukiwanie pomieszczenia Kostiego. - Nie - zameldował o rezultatach swej pracy i powrócił do poprzedniego pytania. - Co zrobić?

Dan wyluszczył pokrótce ich podejrzenia; wyjaśnił, że źródło kłopotów znajduje się w wodnym ogrodzie i że powinni oczyścić tę sekcję, używając do tego zapasów Stacji-R Inter-Solar.

- Brzmi to rozsądnie, ale wiecie, co oni robią z piratami? - spytał zastępca mechanika.

Prawo kosmiczne było dziedziną Dana, toteż nie potrzebował podpowiedzi.

- Każdy statek, który znajdzie się w nagłej potrzebie - cytował automatycznie - może żądać pomocy od najbliższej Stacji-R, płacąc po

ukończeniu podróży.

- To znaczy, od każdej Patrolowej Stacji-R. Te należące do Kompanii stanowią własność prywatną.

- Jednak - Dan podkreślał z triumfem - prawo tego nie mówi, nie ma nic, co wskazywałoby na różnicę prawną między Stacją-R Patrolową a tą należącą do Kompanii.

- On ma rację - zgodził się Rip. - Przepis ten powstał w czasie, gdy tylko Patrol posiadał takie stacje. Kompanie dla zaoszczędzenia na podatku wprowadziły je później, pamiętacie. Z prawnego punktu widzenia nic nam nie grozi.

- Chyba, że ci tam, na posterunku, zaczną się pieklić - odpowiedział

Ali. - Och, Rip, nie patrz tak na mnie. Nie chodzi mi o specjalną ostrożność. Chcę po prostu, byś był przygotowany na to, że jakiś

krażownik siądzie nam na ogonie i popędzi nas jako bandytów. Jeśli chcesz wykończyć Eysie, to jestem za tym. Namierzyleś ich?

Rip wskazał cyfry na ekranie komputera.

- Są tutaj. Możemy tam być za mniej więcej pięć godzin. Ile czasu potrzeba na rozmontowanie i ponowne zmontowanie wodnego ogrodu?

- Skąd mogę wiedzieć? - odpowiedział poirytowany Ali. - Mogę zapewnić tlen dla waszych pomieszczeń na około dwie godziny. Zależy od tego, jak szybko się uwiniemy. A to okaże się, gdy zaczniemy.

Ruszył w stronę korytarza, dodając przez ramię:

- Będziesz musiał odpowiedzieć na wezwanie, myślałeś o tym?

- Dlaczego? - spytał Rip. - Może się zdarzyć, że zjawiamy się tutaj

właśnie w celu naprawy stanowiska komputerowego. Nie będą

spodziewali się kłopotów, my zaś tak, co daje nam przewagę.

Ali nie dał się jednak przekonać i pozostawał, jak zwykle, przy dość mrocznej wizji przyszłości.

- Dobra, a więc lądujemy uzbrojeni w blaster i zajmujemy pozycję.

Oni zaś sprowadzają Patrol. No cóż, krótkie, ale interesujące życie.

Dostarczymy też pewnie materiału do wszystkich kanałów video. Nie ma to jak trochę urozmaicenia w nudnych podróżach.

- Nie wyjdziemy chyba tak - zaprotestował Dan - no, uzbrojeni?

Ali wpatrywał się w niego i Ripa. Ku zaskoczeniu Dana nie od razu odrzucił taką myśl.

- Z pewnością weźmiemy usypiacze. - Zastępca astronawigatora

odezwał się po chwili: - Będziemy musieli przygotować się na moment, gdy zorientują się, kim jesteśmy. A nie da się poskładać ogrodu w parę minut, przynajmniej nie wtedy, gdy trzeba zapewnić tlen dla innych.

Łatwiej byłoby odłączyć go i pracować w kombinezonach, moglibyśmy rozmontować go, zanim wylądujemy, a potem szybko złożyć. A tak

będziemy pracować po kawalku. To, czy będziemy mieli kłopoty, zależy od tych ze Stacji.

- Lepiej przygotujmy kombinezony już teraz - dorzucił Ali. - Jeśli

wylądujemy i wyjdziemy już w nie ubrani, potwierdzi to naszą bajeczkę o tym, że jesteśmy biednymi astronautami, którzy szukają pomocy.

Z pistoletami czy bez, pomyślał Dan, plan był dość desperacki.

Wszystko będzie zależało od tego, jakich mają tam ludzi i jak szybko będą

się poruszali, gdy Królowa dotknie ziemi.

**- Trzeba rozwalić ich stanowisko komputerowe - ciągnął Ali. - Jeśli
zdołamy to zrobić, nie będziemy musieli się martwić, że zwrócą się do
Patrolu.**

**Rip przeciągnął się. Po raz pierwszy od wielu godzin widać było, że
jest znowu tym samym łagodnym Ripem.**

**- Dobrze, że ktoś na tym pokładzie ogląda seriale video. Ali, zdaje
się, że możesz nam przedstawić najnowsze sztuczki kosmicznych piratów.**

**Nie ma rzeczy aż tak nieprawdopodobnych, by nie można ich było
wykorzystać w jakimś momencie burzliwej kariery.**

**Rozejrzał się po pulpicie, zanim nacisnął guzik oddalony nieco od
pozostałych.**

- Zrób to trochę bardziej przekonująco - powiedział.

**Dan zrozumiał, co tamten miał na myśli. Rip włączył znajdujący się
na dziobie Królowej sygnał niebezpieczeństwa. Kiedy wylądują na polu
Stacji, Królowa będzie miała włączony sygnał pomocy. Obok martwych
światła, używanych tylko wtedy, gdy załoga nie ma już nadziei na dotarcie
do portu, sygnał ten był ostatnim, na jaki każdy astronauta mógł się
zdecydować.**

**Pomagając sobie wzajemnie, przynieśli kombinezony i przygotowali
je przy pokrywie luku. Następnie Dan i Weeks wrócili do pielęgnacji
nieprzytomnych, Rip i Ali zaś przygotowywali statek do lądowania.**

**Znajdujący się w śpiączce członkowie załogi nie wykazywali
żadnych zmian. Nawet Queex z kabiny Jellico zdawał się rozumieć los**

swego pana, gdyż zamiast przywitać Dana normalnym wybuchem gniewu, siedział spokojnie na podłodze swej klatki, zaczepiwszy górne pazury o jej druty. Wylupiaste, pełne złośliwej inteligencji oczy zwrócone były gdzieś w głąb kabiny. Nie splunął nawet, gdy Dan przechodził pod jego klatką, by nakarmić swego pacjenta cienką zupą.

Sinbad zaś zaszył się w kabinie Dana i zdecydowanie odmawiał opuszczenia miejsca, które wybrał. Gdy raz Dan spróbował przenieść go z powrotem do hamaka w kabinie Van Rycka, zaczął gryźć i drapać. Dan nie próbował już więcej wyrzucić swego lokatora; miło było widzieć to puszyste, szare stworzenie zwinięte na koi, z której rzadko teraz mógł korzystać.

Nie porzucając opieki nad chorymi, Dan zdecydował się zabrać za ogród. Wiedział, jak obchodzić się z tym pulsującym sercem dostarczającym statkowi powietrza. Co innego jednak znaczyło zajęcie się jego oprzyrządowaniem. W czasach szkolnych przynajmniej dwukrotnie brał udział w takim programie, który stanowił część ogólnego treningu w Służbie, jednak posiadali wówczas nieograniczone zapasy i nie nagliło ich nic poza samymi instruktorami.

Obecne zadanie było o wiele bardziej skomplikowane.

Szedł wolno ścieżką między rzędami zieleni. Posadzono tam rośliny z całej Galaktyki - miały one odnawiać zapas tlenu, jak również dostarczać owoce i warzywa. Czuć było mocną, słodką woń ich roślinnego życia. Czy któryś z ich czwórki potrafilby powiedzieć, co rosło tam od początku ich podróży, a co mogło zostać podrzucone? Czy w ogóle mogli

mieć pewność, że cokolwiek zostało przyniesione?

Dan stał, przyglądając się grządkom zieleni. Jakże były różnorodne - od znanych mu odcieni ziemskich pól do zieleni, która swą barwę zawdzięczała słońcom innych światów. Jego wzrok szukał tego jednego, którego odmienność można było wypatrzyć. Tylko Mura, który znał ogród równie dobrze jak swoją kabinę, potrafilby je rozróżnić. Wyrzucając wszystko, mogli jedynie liczyć na szczęście.

Nagle dostrzegł jakiś minimalny ruch - muśnięcie łodygi czy drgnięcie liścia. Przyjście Dana kazało jakiejś czulej roślinie zwrócić uwagę na jego obecność. Podobna do paproci roślina o długich liściach zwijała je właśnie w kulki. Nie powinien tu zostawać i zakłócać spokoju ogrodu. Jednak teraz nie miało to już większego znaczenia, za parę godzin cały ten przepych zostanie wyrzucony, by umrzeć, a im zostanie tlen z puszek i zbiorniki z glonami. Niedobrze - ten ogród to mnóstwo czasu i pracy Mury, a Tau hodował tam w celach leczniczych rośliny, które obserwował od dłuższego czasu.

Kiedy zamykał drzwi, spoglądając na zwiniętą w kulę paproć, która zareagowała na jego przyjście, usłyszał delikatny szelest. Jego wyobraźnia, która (trzymana w granicach rozsądku) stanowiła jedną z zalet kupca, odpowiedziała mu, że rośliny odgadły swą przyszłość.

Dziwiąc się własnemu sentymentalizmowi, Dan ruszył korytarzem do pomieszczeń kontrolnych, gdzie siedział Rip.

Zastępca astronawigatora miał swe własne problemy. Posadzenie Królowej na ograniczonym polu Stacji-R było testem, który i

doświadczonego pilota zmusiłby do wysiłku. Lądowanie musiało odbyć się bez promienia prowadzącego, gdyż kontaktując się ze Stacją musieliby ujawnić sprawność swego komputera i odpowiedzieć na pytania. Rip siedział na miejscu kapitana, szerokie dłonie oparł wyczekująco na krawędzi pulpitu kontrolnego. Ali siedział niżej w maszynowni na miejscu Stotza, gotowy w razie potrzeby do odpalenia lub odłączenia rakiet. Dan wiedział, że obaj przewyższali go znacznie stażem w Branży. Podziwiał ich za tak szybką gotowość przejęcia odpowiedzialności i zastanawiał się, czy kiedykolwiek osiągnie taką pewność siebie - myślą wrócił do swego fatalnego błędu na Sargolu.

W tym momencie rozległo się ostre dzwonienie ostrzegawczego gongu, a na pulpicie kontrolnym zaświeciło się czerwone światło. Pilot automatyczny przestał działać - od tej chwili ster przejął Rip. Dan zapiął pasy przy milczącym stanowisku komputera, lecz po chwili poderwał się zaskoczony, gdy komputer przemówił do niego, tłumacząc z kosmicznego kodu:

- Zgłoś się - zgłoś się - Stacja-R Inter-Solar wzywa statek - zgłoś się!

Komenda zabrzmiała tak przekonująco, że Dan odruchowo skierował dłoń na klawisze odpowiedzi, zanim zreflektował się i cofnął rękę, kładąc ją na kolanach.

- Zgłoś się. - Bezbarwny głos tłumacza dudnił nad ich głowami.

Dłonie Ripa spoczywały na pulpicie kontrolnym, przesuwaly się po guzikach z precyzją muzyka tworzącego jakieś symfoniczne arcydzieło.

Królowa zbliżała się do miejsca lądowania, jej mocny pancierz drżał pelen

życia.

Dan obserwował płytę ekranu. Asteroid Stacji-R był dość duży, lecz z ich strony był to niewyraźny, postrzępiony kosmyk unoszący się w rozległej pustce.

- Zgłoś się. - Głos zabrzmiał teraz wyżej.

Rip zacisnął usta i wykonał jakieś szybkie obliczenia. Dan wiedział, że choć Jellico był mistrzem, to Rip mógł z powodzeniem zająć jego miejsce.

W kabinie nastąpiła cisza - wezwania ustały. Ci na dole zorientowali się pewnie, że statek z zapalonymi na dziobie sygnałami niebezpieczeństwa nie odpowie. Dan nie mógł dłużej obserwować ekranu przez płytę, gdyż pracowite dłonie Ripa całkowicie zasłoniły mu widoczność.

Wiedział, że Shannon stara się maksymalnie wykorzystać swe umiejętności i wiedzę, by znaleźli się w pozycji, która pozwalałaby wystawić tylne rakiety w kierunku wypalonej skały pola Stacji-R. Może lądowanie nie było aż takie gładkie, jak przy udziale Jellico, lecz udało się. Dłonie Ripa znieruchomiały, na jego plecach ponownie pojawiła się ciemna plama. Nie ruszał się.

- Bezpieczni. - Doszedł ich z dołu głos Alego. Dan odpiął pasy bezpieczeństwa i wstał oczekując rozkazów od Shannona. To jego plan mieli realizować.

Stwierdził, że należy mu się pochwała. Poklepał ramię tamtego.

- Chłopie. Wsteczne lądowanie! Cztery punkty i skończone.

Rip spojrział w górę. Gdy się uśmiechnął, znowu wyglądał jak

dawniej.

- Powiniennem zrobić z tego nagranie dla Rady, gdy zgłoszę się po

awans. Dan odpowiedział mu uśmiechem.

- Szkoda, że nie mieliśmy na zewnątrz nikogo z kamerą.

- Posłużyłoby to raczej za dowód naszego piractwa. - Ali musiał

usłyszeć ich rozmowę przez pokładowy telefon, gdyż teraz ostudził ich

nico swą odpowiedzią, przypominając, jaki był powód takiego właśnie

lądowania.

- Ruszamy się?

- Najpierw sprawdzimy - powiedział Rip do mikrofonu.

Dan spojrział na płytę ekranu. Zobaczył bańkę pomieszczeń Stacji-R

na tle poszarpanego skalnego zęba, trzy czwarte całego pomieszczenia

znajdowały się w wydrążonych sekcjach pod powierzchnią tego

miniaturowego świata, który je podtrzymywał. Strumień światła, który

strzelił z kopuły, spoczął na Królowej. Agenci Stacji nie spali.

Zabrali się do swych rutynowych obowiązków, sprawdzając

każdego z półprzytomnych członków załogi. Ali przygotował zbiorniki ze

sztucznym tlenem. Trzeba będzie działać szybko, gdy już zaczną

oczyszczać, a potem ponownie wypełniać ogród.

- Mam nadzieję, że wymyśliliście dość dobrą bajeczkę - odezwał się,

gdy pozostała trójka zebrała się obok niego przy luku, by włożyć

kombinezony, które miały umożliwić im przebycie pozbawionej ciepła i

powietrza powierzchni asteroidu.

- Nasz wodny ogród uległ zatruciu.

- Jedno spojrzenie na rośliny, które wyrzucimy, zdradzi nas.

Dan poczuł się urażony. Czy Ali bierze go za durnia?

- Uwierzyłbyś, gdybyś tam zajrzał - odciął krótko.

- Co zrobiłeś? - spytał Ali wyraźnie zainteresowany.

- Rozlałem na sporą część podgrzaną puszkę lakoilu. Sporo już zwiędło. Rip prychnął.

- Stary, dobry lakoil. Pijesz go, myjesz się w nim, a teraz nawet niszczysz nim ogród. Gdy już dotrzemy do Ziemi, możemy producentowi dostarczyć nowy dowód użyteczności produktu oprócz tych, które już wymieniają w reklamie, i jeszcze zarobimy.

- Dobra, Weeks - odezwał się do najmniejszego z nich - nasłuchuj komputera, jest nastrojony na nasze helmy. Wciśniemy się w te rurowate ubranka i zobaczymy, ile lez potrafimy wycisnąć z Eysie naszą strasznie smutną historyjką.

Włożyli na siebie nieporęczne i niezgrabne kombinezony, po czym wcisnęli się do luku, a Weeks zatrzasnął za nimi drzwi i uruchomił klapę zewnętrzną. Po chwili spoglądali już na podłogę wciąż wykazujące oznaki ciepła powstałe podczas lądowania, oświetleni promieniem z kopuły.

- Nikt jakoś nie pędzi z apteczką. - Dan usłyszał w słuchawkach głos

Ripa. - Nie śpieszą się, co?

Nie śpieszą się, a może Eysie rozpoznali Królową i szykowali przyjęcie, którego oni się nie spodziewali.

Schodząc z Ripem po drabinie, Dan pomyślał, że tak naprawdę, to

**chciałby być gdzie indziej. Obaj znaleźli się w świetle nieruchomego
promienia z kopuły Stacji.**

ROZDZIAŁ 11

ROZPACZLIWE KROKI

Jeśli chodzi o czas i odległość, ich przejście w niezgrabnych kombinezonach przez nierówny odcinek asteroidu trwało krótko, lecz dla bijącego serca Dana było to bardzo długo. Przy luku powietrza kopuły nie widać było nikogo - nikt z załogi nie wychodził im naprzeciw.

- Myślicie, że jesteśmy niewidzialni? - Bezbarwny głos Alego rozległ się w słuchawkach ich hełmów.

- Może i zapagniemy jeszcze. - Dan nie mógł się powstrzymać.

Rip doszedł już prawie do luku powietrznego. Jego ramię, wyglądające w skafandrze na ogromne, dotykało już prawie zasuwę kontrolnej, gdy nagle moduły komputerowe wszystkich trzech hełmów wychwyciły ten sam rozkaz:

- Zgłoś się! - Ten krótki rozkaz miał w sobie dość obcesowości, by uświadomić im, że najlepszym rozwiązaniem jest udzielenie odpowiedzi.

- Shannon - A-A z Polestar - poinformował Rip. - Domagamy się praw R.

- Czy je otrzymamy - zastanawiał się Dan. Usłyszeli jakiś trzask.

Metalowe drzwi zaczęły się otwierać, posłuszne dłoni Ripa. Przynajmniej otworzyli luk. Dan przyśpieszył kroku, by zbliżyć się do dowódcy.

Wszyscy trzej wcisnęli się przez luk, usłyszeli zaraz, jak drzwi zamykają się i zostają zaryglowane. Stojąc tam przez chwilę, czekali, by zdjąć kombinezony i wejść do środka. Nie było tak źle, wyglądało, że to mała Stacja. Nie mogła pomieścić więcej niż czterech członków załogi.

Byli w stanie przewidzieć swe kolejne kroki, gdyż znali dość dobrze wnętrze takich pomieszczeń. Ali miał udać się do pomieszczeń komputerowych, by je opanować w razie jakichś kłopotów. Dan i Rip powinni zająć się tymi, którzy mogliby stanąć na ich drodze w sekcji głównej. Mieli jednak nadzieję, że szczęście im dopisze i wystarczy historyjka, którą zamierzali opowiedzieć, i obejdzie się bez konieczności zastosowania fizycznej przemocy wobec Eysie.

Kiedy miernik na ścianie zasygnalizował stan bezpieczeństwa, odpięli klamry kombinezonów. Jako Wolni Pośrednicy mieli tę przewagę, że mogli nosić strój nie mówiący nic o przynależności do Kompanii, statku, ani nie zdradzający ich statusu. Tak więc równie dobrze mógł za nimi stać wspaniały Polestar, nie zaś znana Królowa Słońca. Kiedy przechodzili przez wewnętrzny luk, każdy poprawił nieco swój pas, zbliżając kolbę usypiacza do dłoni. Mimo że była to w zasadzie broń nieszkodliwa, to jednak w małych pomieszczeniach odnosiła skutek. A że sami byli przygotowani na kłopoty, mogli więc liczyć na lekką przewagę w ataku.

Gdy weszli, czekał na nich jeden z członków Kompanii, ubrany w niedbale założoną tunikę rozpiętą pod grubym gardłem. Nie włożył hełmu, włosy miał siwe, twarz ogorzałą, o grubych rysach, mocne szczęki porastała szczecina wskazująca, że od paru dni nie zadawał sobie kłopotu użyciem kremu golącego. Był to młodszy oficer jakiegoś statku; przyszedł tu, by przeczekać w tej symbolicznej służbie parę lat do emerytury - najwidoczniej szybko zapomniał o standardzie wymogów osobistych,

który musiał utrzymać na pokładzie. Nie był to jednak jeden z tych tłustych i rozlazłych osobników, gdyż spojrzenie wyrażało bystrą ocenę sytuacji.

- Jakie macie kłopoty? - spytał nie witając się z nimi. - Nie odpowiadaliście na wezwania.

- Wsiadły komputery. - Odpowiedź Ripa była równie zwięzła. - Potrzebujemy awaryjnego ogrodu.

- Pierwszy raz słyszę, żeby komputery połączone były z trawą. -

Dłonie tamtego spoczywały na biodrach w pobliżu czegoś, co sprawiło, że Dan wstrzymał oddech. Ten facet miał miotacz. Mogło to być regulaminowe wyposażenie członka załogi Stacji-R na samotnym asteroidzie, lecz trudno było w to uwierzyć. Pewnie szybko potrafił go wyciągnąć.

- Komputery to inna sprawa. - Rip odpowiedział natychmiast. - Nasz technik zajmuje się nimi. Ale ogród jest do niczego. Musimy wyrzucić wszystko i ponownie zmontować. Na Ziemi damy wam poręczenie za materiał.

Eysie wciąż stał w drzwiach, blokując wejście do stacji. - To stacja prywatna, własność Inter-Solaru. Powinniście najpierw udać się do posterunku Patrolu, oni zaopatrują Wolnych Pośredników.

- Udaliśmy się do najbliższej Stacji-R, gdyż stwierdziliśmy, że jesteśmy skażeni. - Rip odpowiadał z udawaną cierpliwością. - Takie mamy prawo, wiesz o tym. Musicie dostarczyć nam materiał i przyjąć poręczenie.

- Skąd mam wiedzieć, że wasze poręczenie warte jest filmu, na którym jest nagrane? - spytał tamten rozsądnie.

- Dobra - wzruszył ramionami Rip. - Jeżeli już musimy wybrać tę trudniejszą wersję, to wywalimy ładunek na pokrycie rachunku.

- Nie tutaj. - Tamten zaprzeczył ruchem głowy. - Najpierw sprawdzę wasze poręczenie.

Już ich ma - pomyślał Dan. Szczęście się skończyło. Nie śmieli zaprotestować przeciwko temu, co miał zamiar zrobić. Każdy rozsądnie myślący agent zrobiłby w tej sytuacji to samo. A jeśli mieli być tymi, za których się podawali, to musieli pozwolić mu na przesłanie ich poręczenia do kwatery Inter-Solaru w celu sprawdzenia i potwierdzenia, zanim otrzymają wyposażenie ogrodu.

Na twarzy Ripa pojawił się wyraz lekkiej rezygnacji.

- Jesteś technikiem komputerowym? Gdzie macie stanowisko?

Potwierdzę od razu, jeśli chcecie.

Nie wiadomo, czy to ich gotowość współpracy zmniejszyła podejrzliwość tamtego, w każdym razie obrzucił ich mniej już podejrzliwym spojrzeniem, po czym odwrócił się:

- Tędy.

Szli za nim wąskim korytarzem, najpierw Rip, potem reszta.

- Samotny posterunek - odezwał się Rip. - Można tu chyba dostać kosmicznego kręćka. Tamten prychnął.

- Nie powiem, byśmy uwielbiali gwiazdy. Poza tym płacą tu trzymiesięczną stawkę. Zabierają nas na Ziemię, zanim zaczniemy gadać

z duchami.

- Ilu członków liczy zwykle załoga? - spytał ostrożnie Rip.

Sądząc po tym, jak tamten unikał bezpośredniej odpowiedzi, spodziewał się chyba tego pytania.

- Dość, by obsłużyć stację, lecz nie dość, by pomóc wam przy robocie

- stwierdził otwarcie. - Wszelkie naprawy należą wyłącznie do was. Macie dość rąk na statku, by temu podolać.

Rip roześmiał się.

- Daleko mi do tego, by prosić Eysie o pomoc w robocie - odparł. -

Znamy dobrze ludzi Kompanii.

Lecz tamten nie zareagował. Zamiast tego pchnął drzwi i ujrzeli

pomieszczenie komputerowe, w którym znajdował się inny osobnik

ubrany w tunikę Inter-Solaru, rozwalony przed stanowiskiem

wymagającym dwudziestoczterogodzinnego dyżuru podzielonego na trzy zmiany.

- Ci Wolni Pośrednicy chcą przesłać prośbę o poręczenie -

poinformował technika ich przewodnik. Tamten, zainteresowany,

przyjrzał im się uważnie, po czym pchnął w kierunku Ripa mały pisak.

- Do dyspozycji, czyściutki eter - stwierdził.

Ali stał tyłem do ściany, a Dan wciąż pozostawał w wejściu. Obaj

skupili uwagę na lewej dłoni Ripa. Czekali, czy nie da umówionego znaku.

Wsadzili luźno dłonie za pasy o cal lub dwa od usypiaczy.

Rip podniósł prawą ręką pisak, podczas gdy technik komputerowy

odwrócił się trochę, by się dostroić, i podniósł mikrofon, chcąc wezwać

kwaterę główną Inter-Solaru.

Wskazujący palec Ripa trzasnął o jego kciuk i utworzył koło.

Pistolet Alego nie wysunął się nawet z pasa, przechylił się tylko w górę i niewidzialny, obezwładniający strumień dosięgnął siedzącego technika.

W tej samej chwili Dan strzelił w tego, który ich tam przyprowadził. Miał on tyle czasu, by wydać pomruk zdziwienia i położyć dłoń na swym blasterze, lecz w następnej chwili osunął się na kolana i opadł na podłogę.

Technik padł ciężko na pulpit, jakby nagle zapadł w sen na posterunku.

Rip przeszedł przez pokój i wyłączył przełącznik, który miał umożliwić nadawanie. Ali zaś z pomocą Dana spokojnie i zdecydowanie skrępował Eysie ich własnymi pasami.

- Powinno tu być co najmniej trzech ludzi. - Rip czekał przy drzwiach. - Musimy mieć ich wszystkich, zanim zaczniemy pracę.

Okazało się jednak, że wewnątrz kopuły, rozciągające się również na poziomach leżących poniżej zewnętrznej skorupy asteroidu, nie było łatwe do przeszukania. Wróg ostrzeżony przed atakiem mógł uprzedzić ich, ukrywając się i obserwując, lub też zastawić pułapki. W końcu, nie chcąc tracić czasu, zdecydowali, że zamkną drzwi prowadzące na niższe poziomy. Postanowili również sforsować wejście do magazynu, który odkryli w czasie poszukiwań.

Awaryjne zapasy ogrodu składały się głównie z glonów, które można było magazynować w pojemnikach i szybko użyć - w przeciwieństwie do roślin na pokładzie Królowej, które nawet przy wymuszonych metodach potrzebowały na wzrost o wiele więcej czasu.

Dan zgłosił się, że zostanie w Stacji-R i przygotowuje w komorze powietrznej potrzebne pojemniki, podczas gdy dwaj pozostali, bardziej doświadczeni, wrócą na statek, by zebrać rośliny i przygotować ogród do wymiany.

Kiedy Dan został sam, zaczął odnosić wrażenie, że kopuła straszy.

Zdejmował zaplombowane pojemniki z półek i ustawiał je na ręcznym wózku, którym podjeżdżał do podnóża schodów. Następnie wspinał się po nich, nosząc po dwa cylindry.

Świszczący strumień powietrza powodował ciągle mrużące odgłosy w długich korytarzach, lecz Dan nasłuchiwał raczej czegoś innego, spodziewał się odgłosu kroków innych niż jego, szelestu ubrania ocierającego się o ścianę czy wręcz szeptu. Wciąż zatrzymywał się nagle, by posłuchać, przekonany, że usłyszy któryś z tych odgłosów. Zgromadził już z tuzin pojemników, gdy usłyszał w module komputerowym swego polowego helmu znajomy sygnał. Nie potrzebował dużo czasu, by przetransportować cylindry do luku, wydostać się i otworzyć zewnętrzne drzwi. Czekał, wciąż nasłuchiwał odgłosu, który nie pojawiał się, a który mówiłby, że ktoś, podobnie jak on, swobodnie porusza się po Stacji. Ponieważ nie miał pojęcia, ile pojemników było potrzebnych, przetransportował na górę wszystkie, jakie były na półkach magazynu. Pozostało mu jeszcze kilka do przeniesienia, gdy usłyszał Ripa zawiadamiającego, że wchodzi.

Zastępca astronawigatora wszedł lekko do korytarza, pozbywszy się uprzednio skafandra ciśnieniowego. Popatrzył na ustawione w szeregu pojemniki i pokiwał głową.

- Nie potrzebujemy wszystkich. - Nie, zostaw je - dodał, gdy Dan schylił się po dwa następne. - Mamy teraz coś ważniejszego do zrobienia. - Skręcił w boczny korytarz, który prowadził do pomieszczenia komputerowego.

Obaj Inter-Solarowcy odzyskali już przytomność.

Technik komputerowy przyjął niewolę z filozoficznym spokojem.

Leżał nieruchomo na plecach, wpatrując się w sufit. Jego towarzysz jednak ruchem dżdżownicy dotarł już do połowy pokoju i Rip musiał się zatrzymać, aby nie nadepnąć na niego.

Shannon pochylił się i chwytając go za tunikę, przyciągnął z powrotem, podczas gdy ten raczył ich jednym z najbogatszych przemówień, jakie Dan kiedykolwiek słyszał - a nie mówił żargonem handlowym.

- Jasne, jesteśmy tym wszystkim, ale czas ucieka, Eysie, a ja chciałbym uzyskać parę odpowiedzi, które mogą mieć dla was znaczenie.

Po pierwsze - kiedy spodziewacie się zmiany?

Pytanie to ponownie rozwścieczyło pieniacza. Starał się powiedzieć, że żaden pie... Wolny Pośrednik nie wydobędzie od niego żadnej informacji.

Na jego nieszczęście jego towarzysz - technik komputerowy - zaczął domyślać się intencji pytań Ripa.

- Wyłącz się! - poradził tamtemu. - Oni starają się okazać trochę serca. Czy dobrze rozumiem - odezwał się technik poprzez belkot swego kolegi - że martwisz się, iż zostawicie nas w kłopotach?

Rip przytaknął mu.

- Pomimo tego, co o nas myślicie - odpowiedział- nie jesteśmy

poszukiwanymi przez Patrol zbiegami.

- Nie, jesteście po prostu „statkiem plag” - rzucił spokojnie technik

komputerowy. Słowa te zamurowały jego towarzysza. - Królowa Słońca!

- Otrzymaliście więc ostrzeżenie?

- A kto go nie otrzymał? Naprawdę macie na pokładzie zarazę?

Wiadomość ta nie wydawała się zbytnio przerażać technika

komputerowego. Drugi z Inter-Solaru zaczął rzucać się, odsuwając swe

związane ciało od Pośredników; na jego twarzy pojawiły się mieszane

uczucia - głównie jednak strach.

- Mamy coś, prawdopodobnie podrzucone. - Rip sprostował. -

Można by przekazać waszym szefom, że wiemy o tym. No, ale wracając do

końca waszej zmiany. Kiedy to ma nastąpić?

- Nie wcześniej, niż odpalimy na zawsze, jeśli zostawicie nas tak, jak

teraz. Z drugiej strony - dodał tamten chłodno - nie wyobrażam sobie,

byście mogli postąpić inaczej. Wciąż przecież je mamy. - Mówiąc to,

wskazał brodą na blok komputerowy.

- Z paroma zmianami - poprawił go Rip. Korpus bloku schowany był

w szczelnej obudowie, do której otwarcia potrzebowaliby wymiatacza.

Miał on jednak parę wystających części, przy których Rip dał upust swej

żądzy zemsty. Obserwujący to technik obdarzył go co najmniej dwoma

epitetami, jakich nie użył jego kolega. Skończywszy, Rip znowu odzyskał

swój niewzruszony spokój.

- Dobra - odezwał się, wyciągając paralizator. - Jeszcze trochę odpoczynku, a kiedy się obudzicie, wszystko będzie tylko złym snem. - Uważnie wymierzył w każdego promień pozwalający im zapaść w sen, po czym pomógł Danowi rozwiązać ich. Przed opuszczeniem pokoju położył na rejestratorze poręczanie za materiały, które wzięli. Królowa nie była złodziejskim statkiem - formalnie wciąż zachowywała pewne uprawnienia.

Ubrani w kombinezony przeszli przez surową skalę na statek. Tak, koło rakiety, zobaczyli płataninę zamrożonych już w sterzące igielki roślin - bogaty plon wieloletnich starań.

- Znaleźliście coś? - spytał Dan, gdy obchodzili rośliny w drodze do drabiny.

- Nic, o czym moglibyśmy powiedzieć coś sensownego - doszedł go przez komputer helmu głos Ripa. - Szkoda, że Frank albo Craig nie mogli tego sprawdzić. Zanim wszystko wyrzuciliśmy, zrobiliśmy tylko hologramy. Może skapują coś z tego, gdy...

Jego głos zamarł, pozostawiając to „gdy” dźwięczące w ich umysłach. Tak ważne było to „gdy”. Kiedy steward albo medyk dojdą do siebie na tyle, by móc obejrzeć ten film? A może to „gdy” było w rzeczywistości złowieszczym „gdyby”.

Weszli na pokład Królowej, zamknęli luk, przygotowując się do odpalenia i zajęli swe miejsca; Dan zastanawiał się nad rozwiązaniem, jakie przyjął Rip - czy rzeczywiście mają krążyć w układzie z nadzieją, że nie zwrócą niczyjej uwagi, aż do momentu, gdy w jakiś sposób nie

rozwiążą swego problemu? Nie miał czasu zadać tego pytania przed startem. Uczynił to jednak, jak tylko znaleźli się w przestrzeni.

Twarz Ripa była bardzo poważna. - Szczerze mówiąc - zaczął i długo milczał, zanim skończył - nie wiem. Gdybyśmy tylko potrafili postawić na nogi Craiga czy kapitana.

- Jest jedna rzecz - wtrącił się do rozmowy Ali - Sinbad znowu wrócił do ogrodu. A jeszcze rano nie można go było zagnać do środka. Może to żaden dowód...

I nie był to dowód, lecz mogło to uzasadniać ich poczynania sprzed paru godzin. Kot, który dotąd okazywał wyraźną niechęć w stosunku do członków zarażonej załogi, jak i ogrodu, teraz chętnie go odwiedzał, jakby to coś złego, co wyczuwał, zostało usunięte w czasie wymiany ogrodu.

Wprawdzie nie rozwiązali swej tajemnicy, lecz natrafili na inną wskazówkę.

Opieka nad chorymi zajmowała bardzo dużo czasu i dlatego Rip nalegał, by komputer przejął nasłuch wiadomości, które mogły mieć znaczenie dla Królowej. Uciszenie załogi Stacji-R wyszło na jaw dopiero po sześciu godzinach lotu, gdy Inter-Solarowcy zdołali przekazać wiadomość o napadzie do najbliższego posterunku Patrolu.

Ali roześmiał się.

- Mówilem wam, że będziemy piratami - powiedział, słuchając sprawozdania z ich napadu na stację Inter-Solaru. - Chociaż jakoś nie przypominam sobie tej całej strzelaniny, nad którą się teraz tak rozwodzą. Można by pomyśleć, że doszło tam do nie wiadomo jakiej

bitwy.

Weeks mruknął:

- Eysie starają się upiększyć sprawę. Chcą z nas zrobić przestępców.

Rip nie podzielał ogólnego rozbawienia mocno przesadzonym

raportem płynącym z eteru. - Widzę, że nie wspomnieli ani słowem o

poręczeniu, które zostawiliśmy.

Ali uśmiechnął się cynicznie.

- A spodziewałeś się, że to zrobią? Myślą, że chwycili nas za ogon,

czemu więc mieliby dawać nam jakieś fory? Tym startem

zaprzepaściliśmy wszystkie nasze szansę. I nie zapominajcie o tym,

przyjaciele.

Weeks wyglądał na zmieszanego.

- Myślałem, że mówiłeś, iż możemy to zrobić legalnie - zwrócił się do

Ripa. - Jeżeli jesteśmy poszukiwani przez Patrol jako przestępcy...

- Nie mogą nam zrobić nic więcej niż to, co się zwykle robi w

przypadku statku zarażonego plagą - stwierdził Ali. - Rozwalą nas, jeśli

wskoczmy na zły wektor. Co więc robimy?

- Musimy dowiedzieć się, czym w rzeczywistości jest ta plaga -

odezwał się Dan przekonany, że wie, co mówi.

- Ale jak? - dopytywał się Ali. - Jedną ze sztuczek Craiga?

Dan przyznał szczerze:

- Jeszcze nie wiem, ale to nasza jedyna szansa. Rip przetarł oczy

znużony.

- Nie powiem, żebym się nie zgadzał, lecz od czego tu zacząć?

Przeszukaliśmy już kabiny Franka i Kostiego, wyczyściliśmy ogród...

- A te hologramy ogrodu, sprawdzaliście już je? - spytał Dan.

Ali wstał bez słowa i wyszedł. Po chwili wrócił z rolką mikrofilmów.

Wsadził ją do dużego projektora, który nastawił na ścianę i włączył.

Patrzyli teraz na ogród, obraz był tak wyraźny, że wydawało się, iż

mogą wejść do niego. Zieleń była do tego stopnia naturalna, że Dan miał

wrażenie, iż wystarczy wyciągnąć rękę i zerwać liść. Przyglądał się

rzędom roślin cal po calu, szukając czegoś, co by odbiegało od normy, co

nie miało prawa zaistnieć.

Ujęcie z daleka powodowało, że rośliny zlewały się w szereg sekcji

poszczególnych gatunków. Studiowali obraz w milczeniu, starając się

wykorzystać całe swe polowe doświadczenie i wykryć coś, co według

każdego z nich musiało tam być. Wszystkim im jednak brakowało bliskiej

znajomości ogrodu.

- Zaczekaj. - Usłyszeli donośny głos Weeksa. - Lewy róg, tam! - Jego

wyciągnięta ręka przesunęła się, zasłaniając część, którą pokazywał. Ali

skoczył do projektora i zaczął regulować. Teraz na ścianie widać było

łśniące rośliny powiększone cztero- lub pięciokrotnie. Wszyscy dostrzegli

wreszcie to, co zauważył Weeks - poszarpane liście, ogolone łodygi.

- Objedzone! - odpowiedział Dan.

Tylko jeden gatunek roślin uległ takiemu okaleczeniu. Inne

znajdujące się w tej samej sekcji nie wykazywały żadnych zmian. Jednak

wszystkie należące do tego właśnie gatunku miały co najmniej jedną gałąź

ogoloną, a dwie okazały się zupełnymi szkieletami.

- Zaraza!

- Ale Sinbad - Dan chciał zaprotestować, lecz przypomniał sobie

dziwne zachowanie kota w minionych tygodniach. Sinbad popełnił błąd;

jako ten, który uwalniał Królową od różnych dziwnych organizmów

dostających się na jej pokład z ładunkiem, nie zaatakował tego pasożyta

roślin. Albo, nawet jeśli to uczynił, nie pokazał nikomu ciał upolowanych

przez siebie organizmów, jak to miał w zwyczaju.

- Wydaje się, że wreszcie coś mamy - stwierdził Ali, któremu

zawtórowało czyjeś głębokie westchnienie ulgi.

ROZDZIAŁ 12

DZIWNE ZACHOWANIE HOOBATA

- Dobra, tak więc wydaje nam się, że wiemy coś więcej - dodał Ali po chwili. - Co w związku z tym zrobimy? Nie możemy krążyć w nieskończoność, potrzebne będzie paliwo i zaopatrzenie, no i ...

Rip podjął decyzję.

- Nie będziemy krążyć - stwierdził z przekonaniem kogoś, kto nagle dostrzegł przed sobą otwartą drogę.

- Luna - zaczął Weeks powątpiewająco.

- Nie. Nie po tym ostrzeżeniu. Ziemia.

Przez parę sekund pozostali gapili się na niego zdumieni. Śmiałość jego propozycji i niebezpieczeństwo z nią związane były zaskakujące. Od czasu regularnych lotów w kosmosie żaden statek nie wylądował bezpośrednio na swej rodzinnej planecie - wszystkie przechodziły najpierw kwarantannę na Lunie. Pomysł Ripa był nie tylko ryzykowny, ale i tak nieoczekiwany, że przez parę minut wszyscy siedzieli, starając się to zrozumieć.

- Próbujemy lądować w Terraport - Dan pierwszy odzyskał mowę - ale oni nas... Rip uśmiechał się.

- Kłopot z wami - zwrócił się do wszystkich - polega na tym, że Ziemia kojarzy wam się tylko z Terraportem.

- Jest wprawdzie pole Patrolu na Stelli - przyznał niepewnie Weeks.

- Ale wpadlibyśmy tam w sam środek piekła.

- A czy mieliśmy port na Sargolu, Otchlani czy pięćdziesięciu innych miejscach, które mogę wam przypomnieć z dziennika? - spytał ich Rip.

Tym razem swoje wątpliwości wyraził Ali:

- A więc mamy szczęście i lądujemy gdzieś nie zauważeni. I co dalej?

- Zamykamy szczelnie statek, dopóki nie zlokalizujemy zarazy,

potem sprowadzamy medyka i rozpracowujemy całą sprawę.

Pewność siebie Ripa zaczynała być zaraźliwa. Dan prawie uwierzył,

że to wszystko jest możliwe.

- Czy pomyślałeś - wtrącił Ali - co się stanie, jeśli się mylimy i

Królowa rzeczywiście jest nosicielem zarazy?

- Powiedziałem: zamykamy statek szczelnie - odparł Shannon. -

Tam, gdzie wylądujemy, nie będzie gości, których moglibyśmy zarazić.

- A gdzie jest to „tam”? - spytał Ali, który pustynie Marsa znał lepiej

niż tę bardziej zieloną planetę, która wydała jego przodków.

- W samym środku Wielkiego Pogorzeliska!

Dan, urodzony i wychowany na Ziemi, pierwszy zdał sobie sprawę z

tego, co chce robić Rip i co to oznacza. Szczelne zamknięcie było dobrym

pomysłem - Królowa byłaby dobrze strzeżona przed kimś z zewnątrz.

Inna sprawa, to czy załoga przeżyłaby, czy w ogóle byłaby w stanie

wylądować.

Wielkie Pogorzelisko było okropną blizną, jaka została po ostatniej

z Wojen Atomowych - setki mil kwadratowych skażonych

promieniowaniem, obszar, którego pokolenia nie ośmieliły się

penetrować. Pierwotnie ci, którzy tę wojnę przeżyli, unikali całego

kontynentu zniekształconego w jej wyniku. Minęły prawie dwa stulecia,

zanim ludzie zaczęli zapuszczać się na nie skażone tereny dalekiego

zachodu i południa. Przez cały ten czas lękało się Wielkiego

**Pogorzelska, a unikanie go weszło ludziom w krew. Był to symbol czegoś,
o czym żaden Ziemianin nie chciał pamiętać.**

Ali zadał tylko jeszcze jedno pytanie.

- Czy jesteśmy w stanie to zrobić?

- Nigdy się nie dowiemy, dopóki nie spróbujemy.

- Patrol będzie nas obserwował - odezwał się Weeks. Jego

wenusjański rodowód kazał mu mieć mniej respektu dla

niebezpieczeństw Wielkiego Pogorzelska niż dla stróżów Prawa i

porządku, którzy operowali na gwiazdnych szlakach.

- Będą pilnować głównych szlaków - wyjaśnił Rip. - Nie będą

spodziewali się statku poruszającego się z takim wektorem, z dala od

portów. Nie powinni. O ile wiem, nie było takiej próby, jak długo istnieje

Terraport. To będzie sprytne.

- I on sam będzie musiał ponieść za to główną odpowiedzialność.

- Wierzę, że to może się udać. Nie możemy tak włóczyć się w koło.

Biorąc pod uwagę żądnych zemsty Inter-Solarowców i ostrzeżenie

Patrolu, na nic się nie zda lądowanie na Lunie.

Żaden ze słuchających nie mógł temu zaprzeczyć. Dan zaczął

nabierać otuchy, w końcu tak mało wiedzieli o Wielkim Pogorzelsku -

mogło ono okazać się takim właśnie tymczasowym schronieniem, jakiego

im było trzeba. W rezultacie wszyscy przyjęli ten pomysł, nie mogąc

zaproponować lepszego rozwiązania, z wyjątkiem zbyt niebezpiecznej

próby skontaktowania się z przelożonymi, co spowodowałoby, że „statek

plag” napiętnowano by i unicestwiono, zanim zdolaliby się obronić.

Już wkrótce przekonali się o słuszności swej decyzji. Ali, który obsługiwał komputer, przekazał im sardoniczne ostrzeżenie, jakie odebrał.

- Witajcie, piraci!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Dan podgrzewał rosół, by nakarmić kapitana Jellico.

- Stało się, nasz napad na Stację-R stał się częścią historii i zapisu Patrolu, jesteśmy poszukiwani.

Dan wzdygnął się, jakby mu ktoś przejechał po plecach zimnym palcem. Teraz już wszystko, co mogło się zdarzyć w obrębie Systemu, było zgodne z Prawem. Każdy Statek Patrolowy mógł ich zestrzelić bez jednego pytania. Wprawdzie liczyli się z tym od początku swego kontaktu ze Stacją-R, lecz świadomość tego faktu była czymś zupełnie innym. Dan starał się zachować spokój.

- Miejmy nadzieję, że plan Ripa się powiedzie.

- Oby tak było. Jeśli chodzi o to Wielkie Pogorzelsko, Thorson, to rzeczywiście jest ono tak okropne, jak mówią?

- Nie wiemy, jakie jest. Nigdy nie zostało zbadane, a przynajmniej ci, którzy próbowali to zrobić, nigdy później nie zdali relacji. O ile wiem, panuje tam całkowita pustka.

- Wciąż jest „gorące”?

- Częściowo tak. Ale czy całe - tego nie wiemy.

Dan wspiął się do kabiny Jellico z butelką zupy. Był tak

zaabsorbowany uprzednią rozmową, że w pierwszej chwili nie zauważył, co się dzieje w małym pomieszczeniu. Posadził kapitana w pozycji pólśiedzącej i cierpliwie, łyżka po łyżce, wlewał mu zupę do ust, gdy w pewnej chwili zwróciły jego uwagę cienkie piski dochodzące z biurka Jellico.

Spod uchylonego wieka pojemnika na mikrotaśmy wypelzło coś długiego i cienkiego, wijąc się niemrawo. Dan ułożył kapitana z powrotem na koi, by przyjrzeć się temu, gdy Hoobat, zamiast siedzieć spokojnie, jak to miał ostatnio w zwyczaju, wydał przeraźliwy skrzek, wyrażający furję. Dan uderzył w dół klatki, chcąc go uciszyć tak, jak zwykł to robić jego pan. Tym razem jednak stało się inaczej.

Klatka podskoczyła na sprężynie, która utrzymywała ją pod sufitem, a błękitnie upierzone straszycło uderzyło o druty. Nie wiadomo, czy coś stało się z klatką, czy może osłabiły ją pazury zwierzęcia, w każdym razie druty rozeszły się i Hoobat wylazł przez nie, lądując ciężko na biurku. Jego wrzaski ustały równie nagle, jak się rozległy, a on sam pomknął na swych pajęczko-żabich łapach do pojemnika na mikrotaśmy, najwyraźniej wiedziony jakimś zamiarem i zupełnie ignorując Dana.

Wysuniętymi pazurami wyciągnął z łatwością z pojemnika stworzenie, równie niesamowite, jak on sam. Stwór ten bronił się zawzięcie i Dan nie mógł go dokładnie zobaczyć. Zwierzęta miotały się po całym biurku, aż spadły na podłogę. Tam ofiara uwolniła się od oprawcy i błyskawicznie umknęła na korytarz. Zanim Dan zdołał wykonać jakikolwiek ruch, Hoobat był tam również.

Wychodząc na korytarz, zdołał jeszcze zobaczyć, jak Queex zsuwa się po drabinie, wykorzystując swe szpony, zdecydowany schwytać to, co ściga. Dan pobiegł za nimi. Stworzenie jednak zniknęło na następnym pokładzie. Nie próbował schwytać błękitnego myśliwego, który wypatrywał pilnie przysiadłszy na drabinie. Czekał więc w obawie, by nie rozzłościć Hoobata. Wprawdzie Dan nie zdążył przyjrzeć się temu, co uciekało przed Queexem lecz wiedział, że cokolwiek by to było, nie powinno się znaleźć na pokładzie Królowej. Być może było to coś, czego szukali. Gdyby tylko Hoobat mógł go do tego zaprowadzić.

Hoobat poruszył się, unosząc na czubkach swych sześciu nóg; pozbawiona szyi głowa obracała się wolno na puszystych ramionach. Błękitne pióra na grzbiecie nastroszyły się, tworząc grzebień, podobnie jak sierść Sinbada, gdy kot bał się czegoś lub złościł. Wreszcie, nie śpiesząc się, zaczął schodzić po drabinie, zmierzając do niższej sekcji, w której znajdował się ogród.

Dan pozostał na miejscu do chwili, gdy Hoobat dotarł już prawie do podłogi niższego pokładu, i dopiero wtedy ruszył wolno, stopień po stopniu. Wiedział dobrze, że osobliwa budowa ciała Queexa nie pozwalała mu spojrzeć w górę, dopóki nie położył się na plecach, nie chciał jednak robić niczego, co by zwierzę zaalarmowało lub odwróciło jego uwagę od wyraźnie planowanej akcji.

Queex powtórnie zatrzymał się u stóp kolejnych schodów i przysiadł jak żaba, zastanawiając się; wyglądał jak okrągła błękitna plama. Dan przywarł do drabiny, modląc się, by nikt go nie wystraszył. Kiedy już

zaczął zastanawiać się, czy aby Queex nie zgubił swej ofiary, ten jeszcze raz podniósł się i z taką samą szybkością, jaką wykazał w kabynie kapitana, pomknął korytarzem w kierunku ogrodu.

Dan wiedział, że drzwi do ogrodu są zamknięte i zaryglowane.

Zupełnie nie wyobrażał sobie, jak obce stworzenie, czy też Hoobat mogłyby dostać się do środka.

- Co do... - odezwał się Ali, schodzący głośno po drabinie. Gdy Dan pomachał do niego, zatrzymał się.

- Queex - szepnął zastępca - uciekł i goni coś, co przyłazło tu z kabiny Starego.

- Queex! - zaczął Ali, lecz zamilkł natychmiast, przysuwając się do Dana.

Krótki korytarz kończył się przy wejściu do ogrodu. Zgodnie z przewidywaniem Dana siedział tam teraz Hoobat, drapiąc bezskutecznie w metalowe drzwi, których nie potrafił otworzyć.

- Cokolwiek by to było, musi być w środku - powiedział cicho Dan.

Pozbawiony teraz roślinnego przepychu ogród wypełniały pojemniki z zieloną zawiesziną tak, że niewiele było tam miejsc do ukrycia się. Należało tylko wpuścić Queexa i obserwować.

Gdy podeszli bliżej, Hoobat rozplaszczyl się na podłodze i wydał ochryply okrzyk wojenny, plujac na ich buty i drapiac pazurami wzmacnioną metalem skórę. Dan z ulgą stwierdził, że gotowy był walczyć z nimi i nie wykazywał chęci odwrotu. Szybko przycisnął guzik i otworzył drzwi.

Widząc uchylone drzwi, Queex odwrócił się zdumiewająco szybkim ruchem i zaczął drapać, domagając się wpuszczenia; Dan i Ali przestali go interesować. Zdolał przecisnąć się przez szparę, która - jak wydawało się Danowi - nie mogła pomieścić jego pulchnego ciała. Obaj mężczyźni wśliznęli się do środka i szczelnie zamknęli drzwi.

Powietrze nie było już tak świeże, jak wtedy, gdy były tam rośliny, a zbiorniki, które je zastąpiły, nie stanowiły żadnej atrakcji do oglądania.

Queex napuszył się, tworząc nieruchomą grudę błękitu, znajdującą się w połowie ścieżki.

Dan starał się uciszyć swój oddech, nasłuchując. Zachowanie

Hoobata najwyraźniej wskazywało, że to obce stworzenie tu się schroniło, choć jak mogło się dostać? Lecz, jeśli było w ogrodzie, to dobrze się schowało.

Zaczął się zastanawiać, jak długo przyjdzie im czekać, gdy Queex ponownie ruszył do akcji. Uniósł przednie łapy i z rozmysłem skrzyżował je, pilując jedną o drugą. Pazury poruszały się w przód i w tył, wydając dźwięk zgrzytliwy, który wibrował w powietrzu. Obserwowali je niemal zahipnotyzowani, lecz przyczyny tego nie byli w stanie się domyślić.

Queex dobrze jednak wiedział, co robi. Palce Aliego wpiły się w ramię Dana równie mocno, jakby i one były wyposażone w zbrojny oręż Hoobata.

Jakiś cień przemknął wokół jednego z pojemników, zbliżając się do wciąż grającego „skrzyпка”. Hoobat przywoływał do siebie ofiarę za pomocą swej tajemniczej magii.

Skrzyp, skrzyp, niemuzykalne przedstawienie ciągnęło się z monotonną regularnością. Cień przemknął ponownie i znalazł się o kolejny pojemnik bliżej. Hoobat, pogrążony w letargu swej własnej muzyki, zdawał się poddawać jej czarowi.

Wreszcie zwabiona ofiara ukazała się w całości, przy krawędzi pojemnika zawahała się, wyraźnie skłonna do ucieczki, lecz z drugiej strony powstrzymywana magią czarownika. Dan zamrugnął, niezbyt pewny, czy aby wzrok nie płata mu figla. Oglądał już nieomal przezroczyste, kuliste „straszydła” z Otchłani, podziwiał tajemnicze i okropne obrazki w kolekcji hologramowych sztychów kapitana Jellico, lecz to stworzenie było równie nieprawdopodobne, jak okropny błękitny potwór, który wabił je do siebie.

Stwór poruszył się wyprostowany na dwóch nitkowatych nogach, na których widoczne były cztery guzowate stawy. Wypukły odwłok schowany był w zrogowaciałą, zakończoną ostro skorupę chrząszcza. Dwie pary małych nóg, które trzymał blisko znacznie mniejszej górnej części ciała, zostały wyposażone w cierniste zakończenia. Wąska i długa głowa poruszała się w tył i w przód ponad opancerzonymi kończynami. Jego bladoszare ubarwienie zdziwiło trochę Dana. Widział stworzenie przez parę sekund na biurku kapitana i wtedy wydawało mu się dużo ciemniejsze. Wyprostowane, mierzyło około osiemnastu cali.

Kręcąc szybko głową, zwierzę wciąż wahało się przy krawędzi pojemnika. Jego ubarwienie tak mało różniło się od koloru metalu, że nie sposób było je dostrzec, zanim się nie ruszyło. Danowi zdawało się, iż

Hoobat w ogóle nie zwraca na nie uwagi. Tak jakby jego muzyka zupełnie go pochłonęła. Rytmiczne skrobanie nie ustawało.

Niesamowity stwór jeszcze raz przemknął z szybkością, przy której stał się rozmazaną plamą, i zatrzymał się przed Hoobatem. Jego przednie łapy wystrzeliły do przodu, pragnąc uderzyć wroga. Ten jednak już nie spał. Na ten moment czekał Hoobat. Jeden z jego piłujących szponów otworzył się i zamknął, oddzielając głowę czającej się ofiary od jej ciała.

Zanim któryś z mężczyzn zdołał się ruszyć, Queex zdążył już błyskawicznie poćwiartować wroga.

- Spójrz tam! - wskazał Dan.

Hoobat trzymał w uścisku ciało obcego stwora, a w miejscach, gdzie popielata skóra dotykała niebiesko upierzonego Queexa, zmieniała powoli swe ubarwienie, tak jakby ofiara starła z myśliwego trochę barwnika.

- Kameleon! - Ali przyklęknął na kolanie, by lepiej widzieć okropną ucztę. - Uważaj! - dodał ostro, gdy Dan zbliżył się do niego.

Jedna z górnych kończyn leżała tam, gdzie porzucił ją Queex. Z jej ostrego końca wyciekały krople bezbarwnej cieczy. Trucizna?

Dan rozejrzał się za czymś, czym mógłby podnieść drgającą jeszcze część ciała. Zanim jednak znalazł cokolwiek, zabrał się do niej Queex. W rezultacie pozwolili mu zaanektować całą ofiarę. Skonsumowawszy wszystko, przyjął ponownie swą niewzruszoną postawę. Dan poszedł po klatkę i razem z Alim ostrożnie umieścili w niej Hoobata. Całym dowodem, jakim teraz dysponowali, były plamy na podłodze ogrodu. Ali

zabrał ich próbki do zbadania w laboratorium.

Za godzinę cała czwórka, stanowiąca teraz załogę Królowej, zebrała się w mesie, by się naradzić. Na stole przed nimi stała klatka z Queexem, który spał po swej akcji.

- Musi być ich więcej - odezwał się Weeks. - Tylko jak je wytropić?

Przy pomocy Sinbada?

Dan potrząsnął głową. Kiedy zamknięto Hoobata i dowody walki zebrano z podłogi, przyniósł kota do ogrodu i zmusił do powąchania miejsca walki. W rezultacie Sinbad wściekł się, o czym świadczyły dłonie Dana pokryte głębokimi bruzdami po kocich pazurach. Jasne było, że kot nie zamierzał zadawać się z wrogiem, martwym lub żywym. Uciekł do kabiny i siedział na koi, prychnając wściekle na każdego, kto zajrzał z korytarza.

- Musi to zrobić Queex - powiedział Rip. - Czy jednak będzie chciał polować, zanim nie zgłodnieje?

Mówiąc to, popatrzył sceptycznie na uspięone zwierzę. Nigdy dotąd nie widzieli, by ulubieniec kapitana jadł cokolwiek poza kulkami chleba, które Jellico trzymał w biurku. Wiedzieli też, że przerwy między posiłkami bywały dość długie. Długo też pewnie musieliby czekać, gdyby chcieli zobaczyć Queexa ponownie głodnego.

- Powinniśmy złapać jednego żywcem - stwierdził Ali. - Gdyby tak udało nam się nakłonić Queexa, by wywabił go graniem, a my moglibyśmy go schwytać w sieć.

Weeks przytaknął mu gorliwie. - Przydałaby się taka mała sieć,

jakiej używają Salarikowie. Można by zarzucić ją na to coś.

Queex wciąż drzemał w klatce, podczas gdy Weeks zabrał się do pracy, wiążąc cienką linkę. Biorąc jednak pod uwagę umiejętność zmiany ubarwienia przez obce stworzenie, zdali sobie sprawę, że wiele ich mogło znajdować się na statku. Z pewnością nie było ich tam, gdzie przebywał Sinbad. Dlatego też plany objęły zarówno Hoobata, jak i kota.

Wbrew woli Sinbada założono mu prowizoryczną smycz, która pozwalała go kontrolować bez ryzyka, że podrapie osobę, która nakłaniała go do wędrówki po statku.

Polowanie zaczęło się na górnym pokładzie i posuwało ku dolnym sekcjom. Sinbad nie protestował ani w kabinie sterowniczej, ani w kabinach oficerskich. Zakładając, że trafnie oceniali jego zachowanie, w sekcji środkowej nie było żadnych nieproszonych gości.

Tak więc wszyscy, z Danem prowadzącym kota i Alim niosącym klatkę z Hoobatem, ponownie zeszli do poziomu, który obejmował kuchnię, ogród, kabinę stewarda i izolatkę.

Sinbad spokojnie przemierzał kuchnię i mesę. Spokojnie przeszedł też przez izolatkę i kabinę Mury. Ku ich zaskoczeniu nie trzeba było go ciągnąć w ogródzie, w którym spodziewali się zastać pasażera na gapę.

- Czy to możliwe, żeby był tam tylko jeden? - zastanawiał się Weeks, stojąc z przygotowaną siecią.

- Albo to, albo mylimy się, sądząc, że ogród jest ich główną kryjówką. A jeśli boją się Queeksa, to pewnie schowały się w jakieś bezpieczne miejsce - powiedział Rip.

Dopiero gdy znaleźli się na schodach prowadzących do pokładu

ładowni, Sinbad zaprotestował. Zaparł się łapami i miauczał, nie chcąc iść dalej, dopóki Dan nie zaczął ciągnąć smyczy.

- Patrzcie na Hoobota! - Usłyszeli Weeksa i stwierdzili, że zwierzę ożywiło się. Podniosło się i chwytając pazurami pręty klatki wydało jeden ze swych przeraźliwych okrzyków wściekłości. Przez cały czas trzęsło klatką, próbując się uwolnić, gdy Ali schodził po drabinie. Sinbad zaś miauczał i parskał, nie chcąc iść dalej. Rip skinął w stronę Alego.

Uwolniony z klatki Hoobat popędził przed siebie wprost do drzwi wiodących do olbrzymiej ładowni. Tam zatrzymał się, jakby czekając, aż je otworzą, by wpuścić myśliwego na tereny łowieckie.

ROZDZIAŁ 13

POZA MAPĄ

Drzwi ładowni zostały zamknięte i zaplombowane przez Van Rycka, jeszcze zanim statek opuścił Sargol. Dan zbadał zamknięcie i stwierdził, że nie zostało naruszone. Wszystko wskazywało na to, że luku nie otwierano od chwili opuszczenia przez nich wonnej planety. Mimo to wojowniczy Hoobat przekonany był, że intruz znajduje się wewnątrz. W jednej chwili Dan zrobił coś, na co nie odważyłby się w innych okolicznościach. Zerwał plombę, która powinna tam pozostać, dopóki statek znajduje się w przestrzeni.

Razem z Alim odsunęli ciężkie drzwi i stanęli przed ładownią wypełnioną czerwonym drewnem z Sargolu. Czerwone drewno!

Ujrawszy je, Dan zdał sobie sprawę z własnej głupoty. Nie licząc

złożonych w kamiennej skrzyni klejnotów Koros, jedynie ono pochodziło ze świata Salarików. A jeśli zaraza nie jest dziełem ludzi Inter-Solaru, lecz została przywleczona z Sargolu w nim właśnie?

Stanęli na progu, pozwalając Hoobatowi wydostać się z klatki.

Sinbad przyczaił się za nimi, prychając i pomrukując gniewnie, co oznaczało, że jest przeciwny temu wszystkiemu.

Czuli ten odór - ostry, nie dający się zidentyfikować zapach, który Dan zauważył podczas załadunku. Nie można było powiedzieć, że był nieprzyjemny - po prostu inny. To właśnie on, czy może coś innego, podziałał elektryzująco na Queeksa. Błękitny łowca, posługując się swymi pazurami wspiał się na najbliższy stos drewna i pozostał tam. Przez jakiś czas najwyraźniej przyglądał się otoczeniu.

Wreszcie podniósł łapy i zaczął swe skrzypiące muzykowanie, które już raz wywabiło ofiarę z kryjówki. Dziwne było to, że ostre zgrzytanie zaczęło działać uspokajająco na Sinbada. Dan poczuł, że opór smyczy maleje, a kot przesuwają się, nie, aby uciec, lecz w stronę Hoobata.

Wreszcie przysiadł skulony u wejścia, wpatrując się w niego zafascynowanym wzrokiem.

- Skrzyp, skrzyp! - Ten monotony dźwięk mocno raził uszy mężczyzn, targając ich nerwy.

- Ach - szepnął Ali i wskazał ręką w prawo na poziomie podłogi. Dan zauważył, że coś przemknęło wzdłuż kłody. Nieproszony gość przyjął teraz wspaniały kolor drewna, co uczyniło go niewidzialnym, dopóki się nie ruszył, to zaś wyjaśniało, w jaki sposób dostał się na statek.

Był to jednak dopiero początek. Teraz mignęło coś po raz drugi i trzeci. Po tym obce stworzenia zamarły w bezruchu, opierając się podstępemu wezwaniu Queeksa. Zachowywał on pozory obojętności, zdawał się być bez reszty pochłonięty swą muzyką. Rip szepnął do Weeksa:

- Jest jeden po lewej stronie, na samym końcu kłody. Dosięgniesz go siecią?

Mały konserwator przelożył swe zrogowaciałe dłonie przez zwiniętą siatkę. Przesunął się obok Alego, nie spuszczając wzroku z czerwonego wyrzucenia na czerwonym podłożu, które stanowiło jego warsztat.

- Dwa, trzy, cztery, pięć - Ali liczył cicho, lecz Dan nie był w stanie dostrzec wszystkich zwierząt. Był pewien co do czterech, i to dlatego, że już wcześniej je widział.

Tamte stworzenia gromadziły się przy tym samym stosie, na którym grał Hoobat, a dwa z nich wspięły się już na pierwsze kłody, zbliżając się do miejsca swego przeznaczenia. Weeks przyklęknął na jednym kolanie, gotowy do zarzucenia sieci, gdy Dana nagle olśniło. Przysunął swój usypiacz, wyciągnął go z kabury i nastawiając na „rozpylacz”, posłał promień na trzy osobniki.

Widząc, co się dzieje, Rip położył dłoń na ramieniu Weeksa, powstrzymując go. Jedno ze stworzeń poruszyło się, ześliznęło po okrągłej ścianie kłody na wąską ścieżkę między dwoma stosami i pozostało tam nieruchome - plama lśniącej purpury na szarym tle.

Teraz Weeks zarzucił nań sieć i zaciskając jej wylot, przyciągnął do

siebie schwywane zwierzę. Nawet teraz purpura jego ciała zaczęła szybko blednąć, przechodząc w popielaty róż, a potem - szarość identyczną z metalem, na którym leżało. Tak bardzo zlewało się z tłem, że pewnie zgubiliby je, gdyby nie sieć.

Pozostałe dwa osobniki, które znalazły się na drodze promienia, nie spadły z kłód, więc nie można było ich zgarnąć. Przynajmniej nie teraz, gdy pozostałe mogły w każdej chwili skryć się ponownie. Weeks owinał sieć wokół więźnia i spojrzał na Ripa, oczekując poleceń.

- Głębokie zamrożenie. - Tymczasowy kapitan Królowej rzucił krótko. - Niech mam pewność, że przynajmniej ten jest wyeliminowany.

Istotnie, bardzo niska temperatura głębokiego zamrożenia w połączeniu z promieniem usypiającym mogła umożliwić kontrolowanie zwierzęcia do czasu, gdy będą mieli okazję je zbadać. Kiedy Weeks mijał Sinbada, ten gwałtownie próbował go uniknąć; wznosił się na tylne łapy, robiąc nieomal salto, miauczał i prychał, dopóki Weeks nie wszedł na wyższy pokład. Jasne było, że kot nie znosi zarazy.

Dla Queeksa tamte stworzenia mogłyby nie istnieć - dalej grał swój wabiący koncert. Przywoływane zwierzęta stawały się coraz bardziej lekkomyślne i wskakiwały błyskawicznie na kłodę, na której był Queex.

Dan zastanawiał się, w jaki sposób zamierza on poradzić sobie z czterema naraz. Tyle właśnie ich naliczył, pomijając nieruchome, które znalazły się na drodze promienia.

- Przygotuj się do strzału! - powiedział Rip.

Z drugiej strony byłoby ciekawe zobaczyć, jak Queex zaatakuje całą

czwórkę. Poza tym, choć Rip wydał rozkaz przygotowania, to nie polecił strzelać. Czy i on był ciekaw?

Pierwsze czerwone stworzenie znajdowało się o stopę od Hoobata, podczas gdy pozostałe zamarły, jak gdyby chciały uhonorować je pierwszeństwem walki z upierzonym wrogiem. Pozornie wyglądało, jakby Queex go nie widział, lecz gdy skoczyło z niewyobrażalną dla człowieka szybkością, Hoobat już czekał. Przerwawszy zgrzytanie, objął wpół cienki tułów wroga i momentalnie go przeciął. Tym razem jednak Hoobat nie próbował rozczłonkować i pożerać ofiary. Zamiast tego przycupnął w całkowitym milczeniu nieruchomy jak hologram.

Cięższa dolna połowa stworzenia potoczyła się w dół po kłodach, na podłogę, której szary kolor natychmiast przybrała. Żaden z pozostałych osobników nie wydawał się przejmować losem pierwszego. Dwa uśpione wciąż leżały na kłodzie, zaś tamte stały naprzeciw Hoobata.

Rip postanowił nie tracić więcej czasu.

- Zgarnijcie je! - rzucił.

Promienie wszystkich trzech pistoletów objęły stos łącznie z Hoobatem. Wybaluszone oczy Queeksa zamknęły się, lecz była to jedyna oznaka tego, że uległ on mocy usypiacza.

Mając teraz pewność, że wszystkie widoczne stworzenia są niegroźne, cała trójka zbliżyła się do drewna.

Barwy ochronne tych okropnych stworzeń tak dobrze je maskowały, że musieli podejść na odległość wyciągniętej ręki, by móc rozróżnić ich kształty. Ubrany w rękawiczki Ali zdjął małe potwory z kłód

i wrzucił do klatki Hoobata, w której miały przebywać do momentu głębokiego zamrożenia. Queeksa postanowili zostawić na miejscu, by, gdy się obudzi, mógł schwytać te osobniki, które były zbyt ostrożne, aby dać się zwabić za pierwszym razem. Wyglądało na to, że Hoobat jest ich jedyną obroną przez zarazę, dlatego najbezpieczniejszym rozwiązaniem było pozostawienie go w jej centrum.

Umieściwszy w zamrażalniku schwytane zwierzęta, przypominające teraz kawałki metalu, zebrali się na naradę.

- A więc nie plaga. - Weeks odetchnął z ulgą.

- Nie jest to jeszcze udowodnione - przerwał mu krótko Ali. -

Musimy to wykazać ponad wszelką wątpliwość.

- A jak tego mamy dokonać? - Dan przerwał, ujrawszy to, co Ali

przyniósł z kabiny Tau. Był to lancet i górna połowa stworzenia, które Queex zabił w ładowni.

W chwili śmierci zwierzę zastygło z podwiniętymi do góry kończynami. Teraz była to brudnobiała grudka, jakby stworzenie to straciło zdolność zmiany ubarwienia, zanim upodobniło się do bawełny, na której leżało. Ali lancetem odsunął kończynę od tułowia. Leciała z niej rzadka wydzielina, jaką widzieli u osobnika w ogrodzie.

- Myślę - powiedział wolno z oczyma utkwionymi bardziej w okaleczonym zwierzęciu niż we współtowarzyszach - że udało nam się uniknąć ich ataku, ponieważ one nas unikały. Gdyby kogoś zadrapały, moglibyśmy się też zarazić. Pamiętajcie te znaki na gardłach i plecach? To mogły być punkty, przez które dostała się trucizna - jeśli to jest trucizna...

Dan wiedział już, do czego zmierza. Ali i Rip byli niezastąpieni. Ich wiedza mogła sprowadzić Królową na Ziemię. Natomiast Szef Ładowni był zbędny w sytuacji, gdy nie było możliwości handlu. I to on właśnie miał sprawdzić trafność przypuszczenia.

W chwili, gdy o tym pomyślał, tamten zaczął działać: pochylił się i wyrwał Alemu lancet. Następnie, zanim któryś z nich zdążył się ruszyć, wbił jego zatruty koniec w tył swojej dłoni.

- Nie!

Krzyk Dana i ręka Ripa spóźniły się. Już się stało. Weeks siedział, wyglądając na samotnego i przestraszonego; przyglądał się kropli krwi, która wskazywała na miejsce ułucia ostrego narzędzia. Jednak gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał zupełnie naturalnie.

- Co mamy najpierw, bóle głowy?

Jedynie Ali wydawał się być niewzruszony czynem Weeksa. - Tylko upewnij się, że naprawdę boli cię głowa - ostrzegł tamtego słowami, które Dan osobiście uważał za niedelikatne.

Weeks przytaknął mu.

- Wiem. Nie można pozwolić zadziałać wyobraźni. To musi być prawdziwe. Jak myślicie, kiedy?

- Nie mamy pojęcia. - Rip odpowiedział zmęczonym głosem. -

Tymczasem - dodał wstając - lepiej będzie wziąć kurs na dom.

- Dom - powtórzył za nim Weeks. Dla niego Ziemia nie była prawdziwym domem, urodził się na polarnych bagnach Wenus. Mimo to wszyscy Słoneczni, bez względu na to, która planeta ich wychowała,

uważali Ziemię za swój dom.

- Ty - olbrzymia dłoń Ripa spoczęła łagodnie na ramieniu małego

konserwatora - zostaniesz tutaj z Thorsenem.

- Nie - sprzeciwił się Weeks. - Będę na swoim stanowisku w

maszynowni, dopóki nie stracę przytomności. A może ten robal mnie nie

zmoże.

A ponieważ zrobił to, co zrobił, więc nie mogli odebrać mu prawa

pozostania na swym miejscu w ciągu czekających ich ciężkich godzin tak

długo, jak był w stanie.

Dan ponownie zszedł do ładowni. Tam przywitał go wściekły

wrzask, co upewniło go, że Queex czuwa. Gotów był wprawdzie do głośnej

utarczki, lecz wciąż zajmował pozycję wyczekującą, przycupnąwszy na

drewnianym stosie. Być może, mając Queeksa na terytorium wrogów, nie

musieli obawiać się żadnego z tych, którzy nie zostali zamrożeni.

Rip ustawił kurs na Ziemię, a konkretnie na skażone miejsce w ich

rodzinnym świecie, gdzie mogli ukryć Królową do czasu, gdy będą w

stanie udowodnić, że ich statek nie jest jednym z niosących zarazę.

Pozostawał w kabinie kontrolnej, przechodząc od stanowiska

astronawigatora do fotela pilota. Bezpośrednio na nim spoczywała

odpowiedzialność za prowadzenia statku po takim wektorze, który nie

przecinałby żadnego ze szlaków, gdzie mógłby namierzyć ich Patrol.

Przez cały czas orbitowania Dan siedział na miejscu technika

komputerowego, nasłuchując niebezpiecznych sygnałów, ostrzegających

o tym, że zostali wykryci.

Mechaniczne powtarzanie listy ich zbrodni przestało już być czymś nowym. Z różnych źródeł zorientował się, że władze postawiły już krzyżyk na Królowej. Z drugiej strony mogło być tak, że Patrol wiedział tyle, ile podawała propaganda, i „statek plag” zmierzał prosto w pułapkę. Nie mieli jednak wyboru. Głos Alego, płynący z pokładowego telefonu, przerwał skupienie w kabinie kontrolnej:

- Weeks gotowy!

Rip rzucił ostro w stronę mikrofonu:

- Zupełnie?

- Nie stracił jeszcze przytomności. Dość mocne bóle głowy i spuchnięta ręka.

- Udowodnił swoje. Każ mu się odmeldować. W odpowiedzi usłyszał głos niewidocznego Weeksa:

- Nie wzięło mnie tak bardzo jak tamtych. Wytrzymam.

Ali potrząsnął głową przecząco, lecz przy tak nielicznej załodze nie mógł sprzeczać się z Weeksem, jeśli ten nalegał na pozostanie. Teraz czekały go trudniejsze sprawy.

Nigdy później Dan nie był w stanie powiedzieć, jak długo mozolili się, schodząc do swego rodzinnego świata. Wiedział tylko, że nie pamięta chwili, która przykuła go do miejsca zajmowanego wcześniej przez Tanga; słuchawki cisnęły spocone czoło, a jego zmęczony umysł z trudem koncentrował się na obecnym zadaniu.

W którymś momencie całej tej mordęgi wylądowali. W pamięci miał niejasny obraz Ripa, który opadł na pulpit kontrolny pilota, a później jego

również ogarnęło zupełne wyczerpanie i otoczyły ciemności. Gdy się ocknął, ujrzał przechyloną na bok kabinę. Rip wciąż leżał skulony na pulpicie, oddychając ciężko. Pokonując ból, Dan wyszeptał coś i włączył płytę ekranu.

Przez długą chwilę wydawało mu się, że się jeszcze nie obudził.

Wreszcie, gdy jego oszołomiony umysł zaczął rozpoznawać otoczenie, Dan zorientował się, iż Ripowi się nie udało. Znajdowali się daleko od centrum, choć w obrębie okropnego Wielkiego Pogorzelska - musieli wylądować w jakimś parku miejskim czy lesie narodowym. Znajdująca się na zewnątrz bujna zieleń, jaskrawe kwiaty i ptaki, które wyglądały jak unoszone na wietrze kolorowe strzępki - nie to spodziewał się zobaczyć w tym koszmarnym miejscu, gdzie człowiek dokonał ostatniej próby narzucenia swej woli opornym ziomkom.

No cóż, to był dobry pomysł, ale trudno spodziewać się szczęścia na całej linii. Zastanawiał się, kiedy zjawią się przedstawiciele Prawa, by ich zatrzymać. Czy będą mieli czas, by przedstawić swoją sprawę?

Słaba nadzieja kazała mu wierzyć, że tak będzie. Włączył komputer i w chwilę później przerażony zerwał słuchawki z uszu. Rozpoznawał trzaski zakłóceń atmosferycznych oraz liczne dziwne odgłosy, które wdzierały się w połączenia komunikacyjne, lecz ten jednolity, paraliżujący ryk był czymś zupełnie nowym - nowym i groźnym.

A ponieważ było to coś nowego i coś, czego w żaden sposób nie potrafił wyjaśnić, więc odwrócił się, by jeszcze raz przyjrzeć się temu dokładniej na ekranie. Wokół widać było kłębiący się gąszcz całkiem

zielonego listowia. Zielonego ziemską zielenią - co do tego nie miał wątpliwości. Ale - Dan chwycił kurczowo krawędź bloku komputerowego - ale co to za ciemnoczerwony kwiat sięgnął po jakąś małą latającą istotę?

Starł się gorączkowo przypomnieć sobie historię naturalną. Z pewnością to, co właśnie obserwował, jest czymś nienaturalnym - nieziemskim i podejrzanym!

Przekręcił lunetę w stronę dziobu Królowej, by uzyskać pełen obraz ich bezpośredniego otoczenia. Statek był przechylony pod pewnym kątem - najwyraźniej nie wylądowali idealnie - momentami widzieli kawałki nieba. Kiedy skierował lunetę w stronę ziemi, przekonał się, że bez względu na to, gdzie wylądowali, nie jest to Ziemia, którą znał.

Podświadomie spodziewał się ujrzeć Wielkie Pogorzelsko w postaci obszaru zupełnie jałowego - wybebeszone skały z rzekami zastygłego kwarcu, minerały wyniesione przez skorupę na powierzchnię siłą wybuchów atomowych. Tak właśnie wyglądało to na Otchłani i na innych odkrytych przez nich „wypalonych” światach, gdzie ci, którzy wprowadzili ludzkość do Galaktyki - tajemniczy, dawno wymarli „Zwiastuni” prowadzili swe ponure, wyniszczające wojny.

Wydawało się, że Wielkie Pogorzelsko jest zupełnie inne, przynajmniej tutaj. Na zewnątrz nie widać było pozbawionej życia nagiej skały. W rzeczywistości zdawało się, że jest tego życia tu aż za dużo. To, co Dan był w stanie dostrzec w obrębie ograniczonego pola obserwacji, nie było niczym innym jak kipiącą życiem dżunglą. Wzruszony takim widokiem nieomal zapomniał o ich obecnej sytuacji. Wciąż zaszokowany

wpatrywał się w ekran, gdy Rip zamruczał coś, odwróciwszy głowę

skuloną w zgiętych ramionach, i otworzył zapadnięte oczy:

- Udało się? - zapytał tępo. Nie odrywając wzroku od fascynującego

obrazu, Dan odpowiedział:

- Sprowadziłeś nas, ale nie wiem, gdzie.

- Zakładając, że nasze przyrządy są w miarę sprawne, to

powinniśmy być w pobliżu serca Pogorzelska.

- I to jakiego serca.

- Jak wygląda? - Rip był zbyt zmęczony, by udać się w drugi koniec

kabiny i sprawdzić samemu. - Tak samo jałowe, jak na Otchłani?

- Wcale nie! Rip, czy nie widziałeś kiedyś ziemniaka wielkości

melona? Przynajmniej wygląda to jak ziemniak. - Dan zatrzymał lunetę,

skupiając się na nowym zjawisku.

- Co? - W głosie Shannona zabrzmiała nuta troskliwości. - Co z tobą,

Dan?

- Chodź i sam zobacz. - Dan ochoczo ustąpił miejsca Ripowi,

pozostając jednak w obrębie ekranu. Rzeczywiście, podobne to było do

starego, dobrego ziemniaka z Ziemi, tyle tylko, że miało rozmiary melona

i zwisało z krzewu, który przypominał wysokie na dziesięć stóp drzewo.

Rip, potykając się, przeszedł kabinę i usiadł ciężko na miejscu

technika komputerowego. Kiedy zobaczył obraz, zamiast zmęczenia na

jego twarzy pojawiło się zupełne zaskoczenie.

- Gdzie my jesteśmy?

- Sam powiedz! - Dan potrzebował dość dużo czasu, aby przywyknąć

do sytuacji. Teraz, pokonując zmęczenie, odezwało się w jego żyłach podniecenie badacza obserwującego dziewicze terytorium. - To musi być Wielkie Pogorzelsko.

- No tak, ale - Rip potrząsnął wolno głową, jakby tym ruchem chciał zaprzeczyć temu, co oglądał - cały ten obszar to naga skała. Widziałem zdjęcia.

- Zewnętrznej krawędzi - poprawił go Dan, który miał już swoje rozwiązanie. - To musi być dalej, niż jakikolwiek statek badawczy się zapuścił. Na Wielkiego Ducha Kosmosu, co tu się wydarzyło?

Rip posiadał dość wykształcenia, by wiedzieć, gdzie szukać przynajmniej częściowej odpowiedzi. Pochylił się nad komputerem i nacisnął końcem najdłuższego palca jakąś dźwignię. Nieomal w tej samej chwili kabinę wypełniły brzęczące dźwięki tak głośne, że zlewały się w prawie jednostajne dudnienie.

Dan rozpoznał sygnał niebezpieczeństwa, nie potrzebował wyjaśniających słów Ripa.

- Oto, co się stało. Cały ten obszar jest naładowany.

ROZDZIAŁ 14

MISJA SPECJALNA

Brzęczenie pochodzące z zegara pod pulpitem ostrzegało ich, że są w równym stopniu odcięci od przepychu na zewnątrz, jak od Marsa czy Sargolu, których fragmenty mogliby teraz oglądać. Wyjście poza chroniące ich ściany statku w ten oszalamiający świat zieleni znaczyłoby dla nich śmierć tak samo pewną, jak w przypadku spotkania Patrolu z wycelowanymi w nich miotaczami. Nie było możliwości uniknięcia promieniowania - wniknęłoby w ich skórę, wchłonęliby je oddychając. Mimo to bujna zieleń rosła tu i kołysała się kusząco.

- Mutanty - zastanawiał się Rip. - Na Kosmos, Tau zwariowałby, gdyby mógł to zobaczyć!

Wspomnienie medyka sprowadziło ich na ziemię, przypominając stary problem. Dan oparł się o przechyloną ścianę kabiny.

- Musimy mieć medyka.

Rip przytaknął mu, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Czy dałoby się osłonić jeden z flitterów? - spytał jego zastępcę.

- To jest myśl! Ali powinien... - Rip sięgnął po mikrofon pokładowy.

- Maszynownia!

- A więc żyjecie? - odezwał się nieco zgryźliwy głos Alego. - Rychło w czas się odzywacie. Co się dzieje? Pominąwszy to lekkie przechylenie spowodowane amatorskim i niezbyt zgrabnym lądowaniem.

- Jesteśmy na Wielkim Pogorzelsku. Chodź na górę! Nie, zaczekaj, co z Weeksem?

- Ma piekielny ból głowy, ale trzyma się jeszcze. Wydaje się, że system odpornościowy częściowo działa. Odesłałem go na koję z kilkoma tabletkami przeciwbólowymi. A więc, udało się.

Uwaga Ripa: „Mniej więcej” - pozostała bez odpowiedzi, co znaczyło, że Ali idzie już do nich na górę.

Poprzedził go stukot butów na stopniach drabiny. Dali mu chwilę, by przyjrzał się scenie na zewnątrz i przyjął do wiadomości sygnał z pulpitu, po czym Rip powtórzył pytanie Dana:

- Czy jesteśmy w stanie dostatecznie ochronić jeden z flitterów, by przez to przeszedł? Nie mogę pozwolić sobie na start i ponowne lądowanie.

- Wiem, że nie możesz - rzucił szybko pełniący obowiązki głównego inżyniera. - Może i mógłbyś wystartować, ale możemy wylecieć w powietrze przy próbie lądowania. Paliwo przecież kiedyś się kończy, choć niektórym z was, kosmiczni dżokeje, wydaje się, że nie. Flitter? No cóż, mam trochę zbędnej raketowej wykładziny. Chociaż nieźle trzeba będzie się napocić, żeby ją wyjąć i ponownie zmontować. Szczerze mówiąc, ten, który polecą flitterem, będzie chyba musiał być odpowiednio ubrany, no i lepiej, żeby się głośno pomodlił przy starcie. Zawsze można spróbować.

Zmarszczył brwi, zamyślony, rozpracowując już problem, który leżał w jego kompetencjach.

Rip i Dan zabrali się do pracy, kładąc się na krótko, pośpiesznie zjadając posiłki i opiekując się nieprzytomnymi pacjentami. Stanowili jakby dwie dłonie kierowane mózgiem i bankiem informacji Alego.

Weeks przespał najostrejsze ataki bólu i - choć czuł się słaby - powlókł się na swój posterunek do pomocy.

Flitter - pneumatyczne sanie mogące pomieścić trzech ludzi i prowiant w czasie wypraw zwiadowczych w obcych światach, został przede wszystkim pozbawiony rzeczy, które nie były niezbędne, tak że pozostało nieomal tylko siedzenie pilota i silnik. Następnie zabrali się do zmontowania osłony z mocnego wygłuszającego stopu, jakiego używano do osłaniania raketowych włazów. Dziękowali w duszy Stotzowi, że był tak przewidujący i zabrał tyle zapasowych części i narzędzi. W czasie pracy często zżymali się i utyskiwali, a Ali mocno improwizował, wprowadzając jakieś szaleńcze techniczne poprawki. Kiedy praca została skończona, wciąż nie wykazywał zbytniego zadowolenia.

- Poleci - przyznał. - Nic lepszego nie mogliśmy zrobić, ale dużo będzie zależało od tego, jak długo będzie musiał lecieć nad tym naładowanym obszarem. W którą stronę go skierujemy?

Rip studiował uważnie mapę Ziemi, którą odkrył ku zadowoleniu załogi wśród wielu innych przedmiotów.

- Wielkie Pogorzelsko zajmuje trzy czwarte tego kontynentu. Nie ma sensu lecieć na północ, zniszczenie sięga aż rejonów arktycznych.

Proponowałbym raczej zachód, są tam jakieś graniczne osady na wybrzeżu, a my musimy skontaktować się z terytorium pogranicza.

Zaraz, czy tak będzie dobrze? Ja biorę flitter i sprowadzam medyka?

Dan przerwał mu:

- Błąd w myśleniu! Zostajesz tutaj. Jeśli trzeba będzie wystartować,

jesteś jedynym, który to potrafi. To samo dotyczy Alego. Ze mnie natomiast nie będzie żadnego pożytku w czasie startu ani w kabinie pilota, ani w maszynowni. Poza tym Weeks jest chyba chory. Mnie więc przypada polowanie na medyka.

Mogli się tylko z nim zgodzić. Nie zgrywam bohatera - pomyślał

Dan, kiedy rozejrzał się po raz ostatni po swej kabinie następnego ranka.

To małe pomieszczenie, bardzo surowo i praktycznie urządzone, nigdy dotąd nie zdawało mu się bardziej przytulne i bezpieczne. Nie, nie, żadnych bohaterów, to sprawa zdrowego rozsądku. Chociaż jego wyobraźnia, ta mocno skrywana cecha, której niewielu domyślało się u niego, wzbraniała się przed tym, co go czekało, to ani przez chwilę nie pozwalał, by go powstrzymała.

Kombinezon, który już na asteroidowej Stacji-R był wystarczająco niewygodny ze względu na ograniczoną siłę ciężkości, tutaj w czasie ruchu dawał się we znaki w dwójnasób. Dan wbił się w strój za pomocą Ripa, Ali zaś wcisnął pod siedzenie drugi dla tego, kogo Dan miał przywieźć ze sobą. Zanim Dan nałożył helm, Rip wydał mu ostatni już rozkaz, podając jednocześnie coś zupełnie nieoczekiwanego. Ujrawszy to, Dan zrozumiał, w jak rozpaczliwej, zdaniem Ripa, sytuacji się znajdowali. Jedynie w obliczu alternatywy życia lub śmierci mógł zastępca astronawigatora pozwolić sobie na użycie prywatnego klucza Jellico po to, by otworzyć pilnie strzeżony magazynek z bronią i wydobyć z niego blaster.

- Jeśli będzie trzeba, użyj go! - powiedział zdecydowanie Rip.

Ali skończył umocowywać pod siedzeniem dodatkowy kombinezon:

- Gotowe!

Wyszedł na korytarz, a Dan usadowił się za pulpitem sterowniczym.

Kiedy upewnili się, że już tam jest, wewnętrzny luk zamknął się i Dan pozostał sam w przegrodzie.

Zewnętrzna ściana statku odsuwała się z okrutną powolnością.

Niezgrabnie operując metalowymi szponami rękawic, Dan zapiął oba pasy bezpieczeństwa. Wtedy оголоcony do minimum flitter przesunął się w lewo, by znaleźć się w pełnym blasku porannego światła, zbyt jasnego nawet dla oczu patrzących przez osłonięte wizjery helmu.

Przez chwilę pojazd zachwiał się niebezpiecznie na dźwigowym pokładzie do lądowania, ostrzegawcza kontrolka na pulpicie zaczęła wirować wściekłymi kolorami, próbując zmierzyć promieniowanie.

Pojazd, zgrzytając, dotknął wypalanej powierzchni tuż przy sterownikach Królowej.

Dan włączył mechanizm zwalniający i patrzył, jak liny odskakują w górę, a luk nad nim zamyka się z trzaskiem. Włączył stery. W pierwszym momencie zbyt mocno dodał gazu i wyleciał w powietrze, wydzierając szeroką dziurę w ścianie, która na szczęście okazała się cienką warstwą splecionej roślinności. Dopiero po chwili odzyskał całkowitą kontrolę.

Wyrównawszy poziom, skierował pojazd na zachód. Za plecami miał słońce, pod sobą morze piekielnej zieleni, a gdzieś tam przed nim istniała odległa nadzieja na czysty, pozbawiony promieniowania ląd, który mógł przynieść im tak potrzebną pomoc.

Kolejne mile zielonej dżungli przemykały pod flitterem, a świecące nieustannie światło licznika mówiło mu, że wciąż leci nad obszarem niedostępnym dla człowieka. Nawet z pomocą sprzętu używanego w odległych światach żadne jednostki lądowe nie były w stanie osobiście zbadać tego odludzia. Lecąc nad nim, Dan, choć teraz odizolowany, zdawał sobie sprawę, że nie jest całkowicie bezpieczny. Jeżeli skażony teren rozciąga się na odległość dłuższą niż tysiąc mil, to niebezpieczeństwo przestaje być problematyczne, a staje się faktem. Strzępy mapy znalezionej przez Ripa dawały mu bardzo skąpe informacje. Wiedział, że na zachodzie - choć nie miał pojęcia, na jaką odległość - ciągnie się wybrzeże, będące na tyle daleko od napromieniowanego terenu, by można było tam założyć małe osady. Od wielu pokoleń populacja Ziemi zmniejszała się, zdziesiątkowana najpierw wojnami atomowymi, a potem wyczerpana przez podboje i kolonizacje pierwszego systemu, jak i Galaktyki. Jednak ostatnie stulecie przyniosło poprawę. Ci, którzy byli już za starzy na kosmiczne podróże, wracali na rodzinną planetę, by tam spędzić ostatnie lata życia. Rozrzuceni po całej Galaktyce potomkowie kolonistów odwiedzali swe tak słabo zaludnione rodzinne strony i ulegając głęboko tkwiącym w nich instynktom, zostawali. Dlatego coraz więcej pojawiało się tu ludzkich osad, które rozprzestrzeniały się na dobrze zagospodarowanych obszarach nie zniszczonych dawnymi wojnami.

Był gdzieś środek popołudnia, gdy Dan dostrzegł, że w zielonym dywanie pokazują się dziury - początkowo małe wyrwy, które potem

przeszły w dość duże kamieniste obszary. Przez cały czas obserwował licznik i stwierdził, że nieomal ciągle ostrzegawcze światło przeszło w wyraźne przerywane pulsowanie. Teren, nad którym leciał, najwidoczniej stawał się chłodniejszy - prawdopodobnie najgorszy odcinek miał już za sobą. Zastanawiał się tylko, w jakim stopniu on i jego pojazd zostali napromieniowani: Ali wymyślił sposób na ochronę dodatkowego kombinezonu, który miał założyć medyk. Czy zdał egzamin? Jego najbliższa przyszłość niosła mu alarmująco dużą liczbę niewiadomych. Las roślinnych mutantów przeszedł teraz w połacie rzadko porośnięte karłowatymi, żółtawymi roślinami. Jeśli ludzie badali Pogorzelsko tylko do tych miejsc, to ich wiedza o dalszej części musiała być zupełnie fałszywa. Ten widok okropnego spustoszenia mógł zniechęcić badaczy.

Mruganie licznika nie było już tak regularne, całe sekundy dzieliły kolejne mrugnięcia. Ochładzało się? Wręcz oziębiało, i to szybko! Żałował, że nie ma bloku komputerowego. Nie wziął go ze względu na zakłócenia na Pogorzelsku. Mając go, mógłby teraz zlokalizować jakąś osadę. Jedyne, co mógł zrobić, to znaleźć linię wybrzeża i trzymając się jej, polecieć na południe w kierunku centrum nowoczesnej cywilizacji. Nie miał w zanadru żadnego planu, cała wyprawa miała polegać na improwizacji. Spontaniczne działanie było częścią życia Wolnego Pośrednika. Na pogranicznej Krawędzi Galaktyki, gdzie można było spotkać na szlaku samodzielne statki, szybkie myślenie i umiejętność przystosowania się do sytuacji były równie ważne, jak sprawność

władania blasterem. Wielokrotnie okazywało się, że mowa i sterujący nią mózg są bardziej niebezpieczne niż wymiatacz.

Teraz słońce świeciło prosto w twarz Dana, a on zobaczył przed sobą obszary nie skażonej ziemi, porośnięte prawdziwą roślinnością; „gorąca” dżungla pozostała daleko z tyłu. Na noc zatrzymał się na krawędzi skąpego pastwiska, gdzie licznik już nie świecił, a on mógł zdjąć kombinezon i przespać się pod gwiazdzistym niebem, czując na twarzy świeży powiew wczesnego lata i woń autentycznych roślin zamiast suchego zapachu statku lub dusznych wonności Sargolu.

Położył się na wznak, przywierając plecami do ziemi, której był częścią, i wpatrywał się w odwróconą czarę nieba. Tak trudno było mu połączyć te odległe świecące chłodno punkty, tworzące dobrze mu znane figury, ze słońcami, których promienie pozostawiły swój ślad na jego twarzy. Na przykład słońce Sargolu, to, które tak skąpo oświetlało wymarłą Otchłań, a w którego ciepłe wznosiła żywność Noxos, jego pierwszego galaktycznego portu. Nie mógł ich teraz zlokalizować, nie był nawet pewien, czy są z Ziemi widoczne. Dziwne to słońca, czerwone, pomarańczowe, błękitnozielone, białe; stąd jednak wszystkie wyglądały tak samo - świecące punkty.

Jutro o świcie musi wyruszyć dalej. Odwrócił głowę od nieba i pod policzkiem poczuł trawę, miękką, zieloną ziemską trawę. Jednak, jeśli nie wykona zadania jutro lub pojutrze, może już nigdy nie będzie mógł jej poczuć. Dan natychmiast odrzucił taką myśl siłą woli i starał się skupić na czymś bardziej uspokajającym, co przyniosłoby mu sen, tak potrzebny

przed dalszą podróżą. Wreszcie zasnął snem głębokim, pozbawionym obrazów, tak jakby dotknięcie ziemskiej gleby było tym środkiem, którego potrzebowały jego napięte nerwy.

Obudził się jeszcze przed świtem, zeszywniały i zmarznięty.

Suchość przedświtu dawała słabe światło; gdzieś w oddali odezwał się ptak. A więc były tu ptaki - czy może stworzenia, których odlegli przodkowie byli ptakami w tym „gorącym” lesie. Czy i one śpiewały, by przywitać świt?

Dan obszedł pojazd z małym licznikiem i z ulgą stwierdził, że ich zabiegi ochronne pod kontrolą Alego zapobiegły napromieniowaniu.

Mógł teraz bez obawy, schowawszy kombinezon, zasiąść wygodnie za pulpitem. Cieszył się, że może się wyzwolić z tego metalowego więzienia.

Tym razem wystartował gładko, na języku czuł słonawy smak koncentratu z kapsułki, którą wysał. Jego pewność siebie rosła w miarę unoszenia się. Coś mu mówiło, że to będzie ten dzień. Czuł, że znajdzie to, czego szuka.

I znalazł w niecałe dwie godziny po wschodzie słońca. Grupa około pięćdziesięciu budynków tworzyła wioskę, która wrzynała się w łąd.

Przeleciał nad nią i wylądował na osłoniętym klifową ścianą piaszczystym odcinku, który - jak mu się wydawało - mógł dać mu bezpieczne schronienie; w oddali słychać było przybrzeżne fale.

No, dobra, jest wioska. I co dalej? Medyk... Będzie obcym, który pojawi się na drodze do miasta, obcym w mundurze Branzowca, co może wzbudzić domysły i zdradzić go. Musiał to teraz zaplanować.

Dan rozpiął tunikę. Powinien też zdjąć buty astronauty, lecz pomyślał, iż mogą mu się przydać do ubarwienia historyjki, którą zamierzał opowiedzieć. Schował blaster za tunikę, której spodnią część porozdzierał tu i tam, z płytkiej rany zadanej nożem obronnym popłynęła krew. Nie mógł się zobaczyć, by ocenić końcowy efekt, lecz miał nadzieję, że zrobił to dobrze.

Możliwość sprawdzenia swych zdolności aktorskich nadarzyła mu się szybciej, niż tego oczekiwał. Na szczęście zdążył już wyjść z zatoczki, gdy został zauważony przez chłopca, który nadszedł, pogwizdując, z wędką na ramieniu i koszykiem w dłoni. Dan przybrał wyraz twarzy, który, jak sądził, wyrażał ból, zmęczenie i oszołomienie, po czym rzucił się do przodu, jakby widok nadchodzącego chłopca nappełnił go nadzieją.

- Na pomoc! - Być może podniecenie nadało jego głosowi przekonujący żalony ton. Wędka i koszyk upadły na ziemię, a chłopiec rzuciwszy jedno zdumione spojrzenie, pobiegł do przodu.

- Co się stało?! - Wzrok chłopca spoczął na jego butach i zaraz dodał: „sir”, co zabrzmiało jak wyraz uwielbienia dla bohatera.

- Łódź ratunkowa - odpowiedział Dan, wskazując w stronę morza. - Medyk, muszę się dostać do medyka.

- Tak, sir - odpowiedział chłopiec poprawnym ziemskim dialektem.

- Może pan iść z moją pomocą?

Dan z trudem skinął głową, lecz uważał, by nie opierać się zbyt mocno na swym ochoczym przewodniku.

- Medykiem jest mój ojciec, sir. Mieszkamy tam, w dole, trzeci dom.

Ojciec jeszcze nie wyjechał, ma udać się dzisiaj na inspekcję północnych terenów.

Dan pomyślał z niesmakiem o tym, co ma zrobić. Gdy wcześniej myślał o medyku, którego będzie musiał porwać, by ratować chorą załogę Królowej, nie spodziewał się, że będzie to ojciec rodziny. Jedyne świadomość tego, iż ma dodatkowy kombinezon i sam przebył podróż bez szwanku, podtrzymała jego determinację w doprowadzeniu planu do końca.

Kiedy stanęli na końcu samotnej długiej alei, do której przyklejone były domy wioski, Dan ze zdumieniem stwierdził, jak bardzo to miejsce jest opustoszałe. Powstrzymał się jednak od zadawania pytań, gdyż nie należało to do roli oszołomionego i cierpiącego rozbitka. Młody przewodnik sam udzielił mu informacji.

- Prawie wszyscy popłynęli z flotą. Przepływa lawica czerwono grzbietych.

Dan wiedział, o co chodzi. Ostatnio „czerwono grzbieta” z północy stały się bardzo poszukiwanym przysmakiem na ziemskich stołach. Nic dziwnego, że nikogo nie było w osadzie, gdy pojawiła się lawica tych nieuchwytnych, lecz jakże smakowitych ryb.

- Tutaj, sir. - Dan zorientował się, że tamten prowadzi go do domu po prawej stronie. - Czy jest pan Pośrednikiem?

Starł się nie okazywać zaskoczenia; a więc to, że zdjął tunikę, niezbyt go maskowało. Pomyślał gorzko, że dobrze by było błysnąć odznaką Inter-Solaru, by zupełnie zagmatwać sprawę. Odpowiedział

jednak częściowo prawdziwie, nie rozwijając tematu:

- Tak.

Chłopiec ożywił się podniecony.

- Sam ubiegam się o stanowisko medyka w Branży Handlu - wyznał.

- W zeszłym miesiącu zdałem Egzamin Instruktażowy, ale muszę jeszcze przejść „Wstępne psycho”.

Dan sięgnął pamięcią wstecz. Nie tak wiele miesięcy temu nie żadne

„Wstępne psycho”, lecz ogromna maszyna w Centrum Rozpoznawczym

zadecydowała samowolnie o jego przyszłości, przypisując go do załogi

Królowej Słońca, na którym to statku jego zdolności, wiedza i możliwości

najlepiej miały zostać wykorzystane w Służbie. Wtedy buntował się

przeciw takiej decyzji, a nawet wstydził się tego, że oddelegowano go na

Wolny Frachtowiec, podczas gdy Artur Sands i inni z grupy, z którą

przebywał w Centrum, odeszli z przydziałami do Kompanii. Teraz

wiedział, że nie oddałby najmniejszej i najbardziej zardzewiałej części

Królowej Słońca za najnowszy nawet statek zwiadowczy należący do

Inter-Solaru czy Konsorcjum. Ten właśnie chłopiec, mieszkający w

wiosce na Pograniczu, mógł być nim samym młodszym o pięć lat. Tyle

tylko, że on nigdy nie znał prawdziwego domu lub rodziny; do Centrum

przydzielono go z jednego z dziecięcych przytułków.

- Powodzenia - powiedział szczerze, a rumieniec chłopca pogłębił

się.

- Dziękuję, sir. Tędy, tymi drzwiami idzie się do gabinetu ojca.

Dan pozwolił, by tamten pomógł mu wejść do środka, po czym

usiadł na krześle. Chłopiec zaś wybiegł pośpiesznie w poszukiwaniu medyka. Ręka Dana powędrowała do kolby ukrytego blastera. To było jego zadanie, do którego on sam się zgłosił, i nie było mowy o wycofaniu się. Jego usta wykrzywił grymas, gdy celował z wyciągniętej broni w stronę drzwi. Nagle przyszedł mu do głowy inny pomysł - a może udałoby mu się wywabić medyka bezpiecznie poza wioskę? Posłużyć się historią o ciężko rannym koledze uwięzionym w rozbitej łodzi ratunkowej. Można spróbować. Schował blaster za podartą tunikę, mając nadzieję, że nikt nie zauważy tego wybrzuszenia.

- Mój syn mówi...

Dan podniósł wzrok. Mężczyzna, który wszedł do środka, był u progu średniego wieku, chudy, żylasty, nieomal ascetyczny. Prawie że mógł być starszym bratem Tau. Przeszedł szybkim krokiem przez pokój i stanął nad Danem. Ręką sięgnął w stronę zakrwawionego ubrania Pośrednika, by odsłonić jego pierś. Dan powstrzymał go.

- Mój towarzysz - powiedział - tam, w łodzi, uwięziony.

Wskazał ręką na południe. - Potrzebuje pomocy... Medyk zmarszczył brwi.

- Większość ludzi jest na łowach. Jorge - odezwał się do chłopca, który podszedł do niego - idź i sprowadź Lexa i Hartoga - mówiąc to próbował popchnąć Dana, by oparł się o krzesło, gdy próbował wstać. - Niech spojrzę na tę ranę.

Dan potrząsnął głową.

- Nie teraz, sir. Mój partner jest ciężko ranny. Czy może pan

przyjść?

- Oczywiście. - Medyk sięgnął po leżący za nim na półce zestaw

pierwszej pomocy. - Dasz radę?

- Tak. - Dan promieniał. Dobrze się zapowiadało! Mogło mu się udać

wywabić medyka z wioski. Jak wyjdą na plażę między skały, będzie mógł

wyciągnąć blaster i zmusić go do wejścia do pojazdu. Chyba musiało mu

sprzyjać szczęście.

ROZDZIAŁ 15

MEDYK HOVAN INFORMUJE

Na szczęście ścieżka prowadząca ich ze słabo zaludnionej osady była kręta i bardzo szybko zniknęli z czyjegokolwiek pola widzenia. Dan zatrzymał się, jakby tempo było zbyt szybkie dla rannego. Medyk wyciągnął rękę, by go podtrzymać, lecz natychmiast ją opuścił, widząc broń w dłoni Dana.

- Co to? - Zamknął usta, zaciskając szczęki.

- Pójdiesz przede mną - powiedział Dan spokojnie. - Za tym występem skalnym na prawo jest miejsce, w którym można zejść do morza. Idź tamtędy!

- Chyba nie powinienem pytać, dlaczego.

- Nie teraz. Nie mamy dużo czasu. Ruszaj!

Medyk opanował swe zdziwienie i nie protestując, ruszył posłusznie. Dopiero gdy stanęli przed flitterem, medyk zobaczył kombinezony i otworzył szerzej oczy w zdumieniu:

- Wielkie Pogorzelsko.

- Tak, muszę to zrobić.

- Chyba tak, albo jesteś szalony. - Medyk wpatrywał się w Dana długą chwilę, aż w końcu potrząsnął głową. - O co chodzi? „Statek plag”?

Dan zgryzł wargę. Tamten był zbyt bystry. Nie pytał go jednak, w jaki sposób był w stanie odgadnąć tak trafnie. Zamiast tego wskazał na kombinezon, który Ali umieścił pod siedzeniem.

- Ubierz to, tylko szybko! Medyk potarł szczękę dłonią.

- Sądzę, że jesteś na tyle zdesperowany, by użyć tego przedmiotu, którym wymachujesz tak widowiskowo, jeśli tego nie zrobię - zauważył spokojnie i dość poufale.

- Nie zabiję, ale obrażenia blastera...

- Mogą być dość bolesne. Tak, zdaję sobie z tego sprawę, młody człowieku. A... - Nagle wzruszył ramionami, położył torbę lekarską i zaczął wkładać kombinezon. - A poza tym stać by cię było chyba na to, żeby zdzielić mnie w łeb i załadować na pokład. W porządku.

Ubrany w kombinezon, zajął miejsce wskazane przez Dana, po czym Pośrednik przedsięwziął dodatkowe środki bezpieczeństwa, przywiązując zakute w metal ramiona medyka do jego ciała; dopiero wtedy wcisnął się we własny kombinezon. Teraz mogli komunikować się tylko wzrokiem poprzez wizjery swych hełmów.

Dan włączył stery i pojazd wzniósł się z piaszczysto-kamiennej niszy w chwili, gdy szczytem klifu nadbiegło dwóch mężczyzn i chłopiec - to Jorge i dwóch pomocników, którzy spóźnili się. Pojazd wzbil się spiralnie ku słońcu, a Dan zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim o napadzie tym dowie się najbliższa baza Lokalnej Policji. Czy jednak znajdzie się Patrol na tyle śmiały, by ścigać ich w głąb Wielkiego Pogorzelska? Miał nadzieję, że promieniowanie ich odstraszy.

Podróż nie wymagała jakiegokolwiek nawigacji. „Pamięć” pojazdu powinna zaprowadzić ich do Królowej.

Dan zastanawiał się, co myśli teraz jego milczący towarzysz. Medyk przyjął porwanie z taką uległością, że łatwość ich ucieczki zaczęła

niepokoić Dana. Czy tamten spodziewał się pościgu? A może wyprawy z przybrzeżnych wiosek w głąb Wielkiego Pogorzelska zapuszczały się dalej, niż podawały oficjalne raporty?

Wcisnął maksymalną moc i z ulgą zobaczył, że mają pod sobą obszar jałowej skały otaczający zniszczony region. Siedząca obok niego postać zakuta w metal nie ruszała się dotąd, lecz teraz bania, w której znajdowała się jego głowa, przekręciła się, jakby medyk wpatrywał się w przepływające pod nim podłoże.

Znowu zaczęło się migotanie licznika i Dan zdał sobie sprawę, że noc zostanie ich w locie. Jak dotąd, nie widział żadnego pościgu. Po raz kolejny zapragnął mieć komputer, tyle tylko, że promieniowanie zagłuszyłoby sygnały swym ciągłym wyciem.

Zaczęły się pojawiać wyspy promiennej roślinności i coś w napiętych rysach sylwetki medyka mówiło Danowi, że była to dla niego nowość. Popołudniowe światło gasło, a wyspy zlały się, tworząc początek dżungli. Licznik ponownie świecił nieomal jednostajnym światłem. Gdy nashedł wieczór, wciąż nie można było mówić o całkowitej ciemności, gdyż znajdujące się pod nimi drzewa, liany i krzewy świeciły własnym bladym i złowieszczym blaskiem, niebieskawe obwódki mówiły o ich toksyczności. Od czasu do czasu roślinne zagłębienia tworzyły słup światła, który pulsował, wysyłając ostrzegawcze promienie w kierunku flittera pędzącego nad nimi.

Zbliżała się północ, gdy Dan dostrzegł inne światło, którego różowoczerwone mruganie na ponurym niebiesko-białym tle niosło

pocieszającą obietnicę, choć przeznaczenie jego było zupełnie inne.

Królowa wylądowała z włączonymi światłami niebezpieczeństwa i później nikt nie pamiętał, by je wyłączyć. Teraz służyły jako latarnia morska, która miała sprowadzić flitter na miejsce postoju.

Dan posadził pojazd na wypalonej ziemi najbliższej miejsca, skąd wystartował. Oby tylko teraz pozostali się pośpieszyli!

O to nie musiał się martwić - czekali na niego. Półokrągła ściana

Królowej wybrzuszyła się, gdy otworzono luk. Liny zaczęły wysuwać się w dół, by przyssać się do flittera swymi magnetycznymi klawiszami. Jeszcze raz wznieśli się w powietrze, kołysząc, by po chwili zniknąć we wnętrzu statku. Gdy byli już w środku, Dan pochylił się i rozwiązał ramię,

którym związany był jego pasażer. Medyk wstał. Zrobił to dość niezgrabnie, jak ktoś, kto po raz pierwszy ubrał się w kosmiczną zbroję.

Wewnętrzny luk otworzył się i Dan ruchem dłoni wskazał więźniowi, że ma się udać do malej przegrody służącej jako komora odkażająca. Pozbywszy się wreszcie kombinezonów, przeszli przez kolejny prowizoryczny luk do głównego korytarza, gdzie czekali już na nich Rip i Ali; ich zmęczone twarze pojaśniały na widok medyka.

On pierwszy odezwał się:

- A jednak to jest „statek plag”. Rip potrząsnął głową.

- Nie jest, sir. A pan jest tym, który ma pomóc nam to udowodnić.

Mężczyzna oparł się o ścianę, jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

- Dość obcesowo staracie się uzyskać pomoc.

- Tylko to nam pozostało. Szczerze mówiąc - ciągnął Rip - jesteśmy

poszukiwani przez Patrol.

Bystre oczy medyka przyjrzały się kolejno wymizerowanym

twarzom tamtych.

- Nie wyglądacie na zdesperowanych przestępców - odezwał się

wreszcie. - To cała wasza załoga?

- Cała reszta to przedmiot pańskich badań. To znaczy, jeśli pan się

zgodzi.

- Nie zostawiliście mi chyba zbyt wielkiego wyboru, co? Jeśli na

pokładzie istnieje choroba, to bez względu na to, czy jesteście ścigani, czy nie, mnie obowiązuje Przysięga. O co chodzi?

Zaprowadzili go do laboratorium Tau i opowiedzieli całą historię.

Początkowo miał minę niedowiarka, lecz w miarę poznawania faktów na

jego twarzy pojawiał się wyraz żywego zainteresowania. Zdecydował się

zobaczyć najpierw pacjentów, a później zwierzęta uwięzione w komorze

zamrażającej. Gdzieś w połowie całego tego badania Dan, czując, że jego

dotychczasowe napięcie opada i górę bierze zmęczenie, poszedł do kabiny

i położył się, odsuwając leżącego tam kota, który i tak za chwilę wcisnął

się do koi.

Po obudzeniu, pokrzepiony na duchu i ciele, stwierdził, że znajduje

się na nowej Królowej, teraz był to statek owładnięty nadzieją i ufnością.

- Hovan już to ma! - oznajmił mu podniecony Rip. - To rzeczywiście

trucizna z pazurów tych małych diablów! To jest narkotyk - wywołuje coś

jakby głębokie uśpienie. Może też służyć jako lek. Hovan bardzo się tym

zainteresował.

W porządku - Dan puścił mimo uszu informację, która w innych okolicznościach zainteresowałaby go perspektywą przyszłego handlu, a zadał pytanie, które teraz zdawało mu się najważniejsze. - Ale czy może postawić naszych ludzi na nogi?

Uniesienie Ripa opadło nieco. - Jeszcze nie teraz. Dał im wszystkim zastrzyki. Uważa jednak, że będą musieli to przespać.

- Sami zaś nie mamy pojęcia, jak długo to potrwa - wtrącił Ali.

Czas - po raz pierwszy od wielu dni Dan powrócił myślą do kwestii czasu. Trening wyrobił w nim umiejętność zapamiętywania faktów, które pozornie mógł zapomnieć w trudnych chwilach - pamiętał o ich umowie z Kapłanami Burzy. Nawet gdyby udało im się pozbyć oskarżenia o plagę, a reszta załogi szybko wróciłaby do zdrowia, to był pewien, że nie mogli liczyć na powrót na Sargol z obiecany ładunkiem, za który już im zapłacono. To znaczy złamanie obietnicy i na tym świecie nie będą mieli szans na egzystencję zgodną z prawami handlu, nawet jeśli nie znajdą się na czarnej liście za niedotrzymanie kontraktu. Inter-Solarowcy mogliby wtedy zająć ich miejsce i zgarnąć zyski, a im nigdy nie udałoby się udowodnić, że to Kompania była przyczyną ich kłopotów, o czym załoga Królowej była całkowicie przekonana.

- Zerwiemy kontrakt - powiedział głośno, a jego słowa otrzeźwiły nieco tamtych dwóch, pozbawiając ich dotychczasowej pewności.

- Co o tym myślisz? - Rip spytał Alego. Sprawujący funkcję mechanika skinął głową.

-- Mamy dość paliwa, by wystartować i być może wylądować w

Terraport, zakładając, że zrobimy to ostrożnie i skrócimy wektory.

Stamtąd jednak nie odlecimy bez tankowania, a jako poszukiwani nie możemy chyba liczyć, że Patrol będzie siedział z założonymi rękami. Nie, zapomnijcie o jakichkolwiek planach powrotu na Sargol w wyznaczonym czasie. Thorson ma rację, w tej kwestii jesteśmy spaleni! Rip siadł ciężko na swym miejscu.

- Tak więc Eysie tak czy inaczej wyprą nas?

- Proponuję - wtrącił Dan - żeby zająć się naszymi problemami kolejno. Może i będziemy musieli wytłumaczyć się z zerwanego kontraktu przed Radą. Przede wszystkim musimy jednak pozbyć się statusu poszukiwanych. Może macie jakiś pomysł, jak się do tego zabrać?

- Hovan jest po naszej stronie. Jeśli pozwolimy mu zająć się tymi robalami, to poprze nas całkowicie. Może wystawić nam świadectwo zdrowia dla Centrum Kontroli Medycznej.

- Jakie ono będzie miało znaczenie po tym, jak złamiemy ich wszystkie przepisy? - spytał Ali. - Jeśli się teraz poddamy, nie będziemy mieli zbyt wielu szans, bez względu na to, czy Hovan poprze nas, czy nie. Hovan jest medykiem z Pogranicza, nie chcę powiedzieć, że jest byle kim w swym zawodzie, ale nie jest pierwszym z pierwszych. Mając zaś Eysie i Patrol na karku, będziemy chyba potrzebowali czegoś więcej niż poręczenie jednego medyka.

Rip popatrzył najpierw na pesymistycznie nastawionego Kamila, po czym przeniósł wzrok na Dana, zwracając się do niego na wpeł pytaniem,

na wpeł stwierdzeniem.

- Co ci przyszło do głowy?

- Przypomniało mi się coś - zaraz dodał - pamiętacie, co zrobił Van na Otchłani, gdy Patrol próbował pozbawiać nas praw po tym, jak przejęli trefny ładunek?

Ali kontynuował za niego niecierpliwie:

- Zagroził, że zwróci się do ludzi z Video z prośbą o transmisję, groził, że powie o statkach rozbitych przez pułapkę „Zwiastuna”, które zostały porzucone z pełnym ładunkiem. Tylko co to ma wspólnego z naszą obecną sytuacją? Odstąpiliśmy przecież nasze prawa handlowe na Otchłani w zamian za przywileje handlowe Cama na Sargolu, a i z tego nie było aż tak wielkiego pożytku.

- Video - Dan zwrócił uwagę na kluczowy punkt swej wypowiedzi. -

Van zagroził rozgłosem, który mógłby przynieść kłopoty Patrolowi i robił to zgodnie z Prawem. Wprawdzie my jesteśmy teraz poza Prawem, lecz rozgłos mógłby może znowu nam pomóc. Iluż to ludzi z Ziemi świadomych jest prowadzenia otwartej wojny przeciw statkom zagrożonym plagą? Ilu z tych, którzy nie latają, zdaje sobie sprawę, że legalnie można nas wysłać na słońce i usmażyć bez dania możliwości udowodnienia, że nie przenosimy nowej zarazy? Gdyby udało nam się głośno i wyraźnie powiedzieć o tym szerokiej publiczności, to może mielibyśmy szansę na uczciwe przesłuchanie.

- Przypuszczam, że chcesz to uczynić nie gdzie indziej, jak tylko w stacji Terraport. - Ali rzucił ironicznie.

- Czemu nie!

W kabinie zapadła cisza. Dwaj pozostali próbowali przyswoić sobie nową myśl, podczas gdy Dan ciągnął dalej:

- W końcu, lądując tutaj, dokonaliśmy czegoś, co jeszcze nikomu się nie udało.

Rip kreślił palcem po stole sobie tylko wiadome wzory. Ali

wpatrywał się w przeciwległą ścianę, jakby to była maszyneria, którą będzie musiał obsłużyć.

- Byłaby to chyba dość wariacka robota - skomentował wreszcie

Kamil. - A może zbyt długo jesteśmy w Kosmosie i zaczynamy słuchać już

Podsze-ptywaczy? Co ty na to, Rip? Dałbyś radę wylądować tam możliwie blisko Bloku Centralnego?

- Jednorazowo można spróbować wszystkiego. Możemy jednak

narazić naszą staruszkę na rozbitcie. Chociaż jest tam płyta między

kołyską startową Kompanii a Centrum. Będzie więc trochę miejsca, no i

moglibyśmy dać przy lądowaniu sygnał-R, żeby trzymali się z daleka, ale to mogę zrobić tylko w ostateczności.

Dan spostrzegł, że po tym nieco zniechęcającym stwierdzeniu Rip

udał się wprost do kabiny Jellico i wyciągnął taśmę dotyczącą Terraport

oraz instrukcji lądowania w tej metropolii gwiazdnych statków. Takie

nagle lądowanie z pewnością przyniosłoby im rozgłos, a uzyskanie

transmisji video i możliwość opowiedzenia ich historii zapewniłyby

publiczność nie tylko z ich świata, lecz z całego układu. Wiadomości z

Terraport były nadawane na wszystkich kanałach dzień i noc, tak że nie

było możliwości, by ktoś o nich nie usłyszał.

Przede wszystkim jednak należało skontaktować się z Hovanem.

Czy zgodzi się poprzeć ich swoją fachową wiedzą i poręczeniem? A może

dość kategoryczny sposób proszenia go o pomoc obróci się teraz

przeciwko nim? Zdecydowali, że Rip zwróci się z tym do medyka.

- Tak więc macie zamiar wylądować w samym centrum ogromnej

bazy głównej? - Były to jego pierwsze słowa po tym, jak pełniący

obowiązki kapitana Królowej wyniszczył mu sprawę. - A potem chcecie,

żebym się „wyłożył”, poświadczając, że jesteście nieszkodliwi? Nie żądasz

zbyt wiele, co, synu? Rip rozłożył ręce.

- Sir, zdaję sobie sprawę, jak to wygląda z pańskiego punktu

widzenia. Zmusiliśmy pana do przybycia tutaj, lecz nie możemy zmusić

do poświadczenia, jeśli się pan nie zgodzi.

- Nie możecie? - Medyk popatrzył na niego, unosząc brwi. - A co

powiesz o tym chłoptasiu i jego malutkim blasterze? Mógłby chyba

zapędzić mnie wprost do studia telewizyjnego. Te pukawki posiadają

dużą siłę perswazji. Z drugiej strony, mam syna, który marzy, by ruszyć

do gwiazd w jednej z tych blaszanych puszek. Gdybym wydał was

Patrolowi, mógłby mi co nieco wygarnąć na osobności. Może i jesteście

poszukiwani, ale nie wyglądacie na skończonych przestępców. Zdaje się,

że znaleźliście się w paskudnej sytuacji i staracie się wybrnąć z niej jak

najlepiej. Myślę, że mogę zabrać się z wami na resztę podróży.

Zobaczmy, w ilu kawałkach wylądujemy w Terraport i wtedy udzielię

wam ostatecznej odpowiedzi. Przy odrobinie szczęścia do tej chwili

możemy odzyskać paru z waszej załogi.

Jak dotąd, nic nie wskazywało na to, że Królowa została zlokalizowana lub że wysłano pościg w głąb Wielkiego Pogorzelska za porwanym medykiem. Mogli mieć tylko nadzieję, iż nikt ich nie wykryje, gdy jeszcze raz spróbują wejść na szlak handlowy, by wylądować w porcie. Byłaby to rzecz bardzo ryzykowna, dlatego też Ali i Rip całymi godzinami sprawdzali mechanikę lotu, podczas gdy Dan i wracający do zdrowia Weeks pomagali Hovanowi postawić na nogi pogrążonych we śnie pozostałych członków załogi.

Po trzech wizytach w ładowni i upewnieniu się, że Hoobat nie znalazł już więcej obcych stworów, Dan zamknął w klatce rozzłoszczone niebieskie straszidło, które wróciło na swe dawne miejsce w kabinie Jellico. Dan miał teraz pewność, że statek jest czysty, gdyż Sinbad skradł się znowu pewnie po korytarzach, wciskając się do każdego pomieszczenia, które mu Dan otworzył.

Rankiem tego dnia, na który zaplanowali start, Hovan uzyskał wreszcie pozytywne rezultaty zastosowanego przez siebie leczenia. Craig Tau podniósł się, rozejrzał oszołomiony i zadał jakieś niezrozumiałe pytanie. To, że natychmiast zapadł w kolejny półsen, nie zniechęciło drugiego medyka. Był to już postęp i teraz wiedział na pewno, iż jego sposób leczenia jest prawidłowy.

Gdy nadeszła godzina startu, zapięli pasy i opuścili tę okropną, zieloną puszczy, której nie ośmielili się penetrować. Wznosili się ku łukowi nieba w nadziei, że wiedza Ripa pozwoli im bezpiecznie

wylądować.

- ...zawrócił z drogi ostatniej nocy. Wysoki poziom promieniowania pozwala stwierdzić niemal z całkowitą pewnością, że uciekinierzy nie mogli udać się do niebezpiecznego rejonu centralnego. Poszukiwanie przesuwa się na północ. Władze skłonne są przyjąć stwierdzenie, iż ostatni napad może naprowadzić na Królową Słońca, statek plag, który jest poszukiwany przez Patrol po tym, jak jego załoga splądrowała stację-R należącą do Korporacji Inter-Solaru. Ktokolwiek by posiadał jakieś informacje związane z tym statkiem lub jakimkolwiek obcym statkiem, proszony jest o zgłoszenie do najbliższego posterunku Terrapolicji lub Patrolu. Proszę nie ryzykować - o jakimkolwiek kontakcie należy zawiadomić natychmiast najbliższy posterunek Terrapolicji lub Patrolu!

- Wyrażają się jednoznacznie - skomentował to Dan, przekazując wiadomość. - Równie dobrze mogliby kazać nas rozwalić w chwili spotkania.

- No cóż, jeśli uda nam się wylądować w odpowiednim miejscu - odparł Rip - to nie mogą nas rozwalić, nie wysadzając z nami znacznej części obszaru Terraportu. Nie sądzę, by się z tym bardzo spieszyli.

Dan miał nadzieję, że rozumowanie Shannona jest słuszne. To zadanie mogło mieć więcej szans powodzenia niż lądowanie na Stacji-R czy Wielkim Pogorzelsku. Czekala ich wysokiej klasy robota - trzeba było wymierzyć dokładnie i wylądować na płycie Terraport, gdzie nie można było ich zlikwidować bez dość poważnych zniszczeń i gdzie sama ich pozycja da im możliwość negocjacji. Gdyby tylko Ripowi się udało! Nie

potrafił ocenić wszystkich subtelności tego lotu ani wszystkiego, co robi.

Wiedział jednak na tyle dużo, by siedzieć cicho na swoim miejscu i nie zadawać pytań. Czekał więc cierpliwie z wyschniętym gardłem i walącym sercem. Wreszcie nadszedł moment, gdy Rip spojrzał na niego zjedną ręką zawieszoną nad sterami. Głos pilota zabrzmiał cienko i dość dziwnie:

- Dan, pomódl się - ruszamy!

Dan usłyszał pisk odrzutu tak przenikliwy, że musiał zdjąć słuchawki. To świadczyło, że musieli nieomal usiąść na czubku wieży kontrolnej. Rip zaplanował lądowanie w miejscu, gdzie mogliby zablokować parę obiektów. Położył palec na przycisku „Czerwony-R-R”, by wysłać ostatnie najistotniejsze ostrzeżenie. Używało się go tylko w przypadkach niekontrolowanego lądowania i miało ono usunąć wszystkich z lądowiska. Mogli się tylko modlić, że oczyści ono dla nich port, którego jeszcze nie widzieli.

- Rip, wyląduj równiutko. - Dan nie mógł powstrzymać się od tej drobnej uwagi. Lekki uśmiech Ripa sprawił mu radość.

- Tak dobrze, jak na jeździe kontrolnej?

Gnali na pełnych dyszach, tak samo jak lądując na innych planetach. Tam w dole, w porcie, musiało nieźle wrzeć. Dan odliczał sekundy. Dwie, trzy, cztery, pięć - jeszcze parę i będą zbyt nisko, by można było ich przechwycić bez narażenia niewinnych miejscowych statków przyziemnych. Kiedy minęła ta ostatnia chwila, w czasie której wciąż pozostawali w zasięgu ataku, odetchnął z ulgą. Jeszcze jeden punkt

dla nich. W słuchawkach słychać było odgłosy gorączkowych pytań, w jego stronę popłynęła plątanina wrzaskliwych rozkazów. Niech się wywrzeszczą, wkrótce dowiedzą się, o co tu chodzi.

ROZDZIAŁ 16

VIDEO WOJNA

Dziwne, lecz mimo napięcia, które musiało nim zawładnąć, Rip sprowadził raketę dokładnie na cztery stateczniki i biorąc pod uwagę okoliczności, mógłby zdobyć uznanie mistrzów pilotażu z Pogranicza.

Dan pomyślał, że jeśli im się nie uda, to wyczyn ten przyniesie Shannonowi co najwyżej długi wyrok w księżycowych kopalniach. Ich amortyzujące fotele złagodziły w dużym stopniu wstrząs lądowania i za chwilę byli już na nogach, gotowi do natychmiastowego działania.

Każdy kolejny ruch mieli już opanowany. Dan spojrział na ekran. Otaczały ich budynki Terraportu. Jakikolwiek atak na ich statek niósłby zbyt duże zagrożenie dla stałej zabudowy lotniska. Rip nie wylądował na upstrzonym raketami pasie lotów dalekobieżnych, lecz na betonowej płycie między Centrum Koordynacji a wieżą kontrolną; był to gładki pas zarezerwowany zwykle dla parkowania skuterów ziemnych oficjeli. Dan zastanawiał się, czy aby gorące powietrze wypuszczone przy lądowaniu Królowej nie zamieniło jakiegoś w kupę stopionego metalu.

Wszyscy czterej tymczasowi członkowie załogi tworzyli teraz zgodnie działającą drużynę. Ali, Weeks i medyk Hovan czekali przy wewnętrznym luku. Zastępca mechanika ubrany był w ogromny kombinezon, obok niego przygotowano dwie kolejne niezgrabne zbroje dla Ripa i Dana. Zamknięci byli w czymś, co miało chronić ich przed blasterem czy usypiaczem. Wspólnie z Hovanem, który wyróżniał się brakiem kombinezonu, wspięli się do jednego z pojazdów gąsienicowych

statku.

Weeks uruchomił zewnętrzny łuk, linowy dźwig wysunął mały pojazd z Królowej i kręcąc nim mocno zaczął opuszczać na wypaloną płytę.

- Do wieży. - Głos Ripa zabrzmiał słabo w słuchawkach hełmów.

Dan zasiadł przy sterach pojazdu gąsienicowego. Ali zrzucił liny, które wiązały ich ze statkiem. Przez swój okrągły hełm widział mocno ożywiony port. Mrowisko, w którym jakiś lekkoduch pogrzebał patykiem, było niczym w porównaniu z widokiem Terraport po niekonwencjonalnym lądowaniu Królowej Słońca.

- Po południowo-wschodnim wektorze zbliża się zmotoryzowany

Patrol - oznajmił spokojnie Ali. - Wygląda na to, że mają na dziobie przenośny miotacz.

- Dobra. - Dan zmienił kierunek, zostawiając z tyłu graniczny punkt kontrolny. Zatrzymał się w tej pozycji, w otworach przeziernika widział rząd twarzy. Akcja unikowa - trzeba będzie wycisnąć z nieruchawego pojazdu maksymalną prędkość.

- Policyjny helikopter nad nami. - Usłyszeli Ripa.

No cóż, tego uniknąć nie mogli. Dan przekonany był jednak, że nie zaatakują bezpośrednio, przynajmniej nie z wystawionym na pierwszy plan nie uzbrojonym i nie chronionym Hovanem.

Jego optymizm w tym względzie był zbyt duży. Zduszony krzyk Ripa skierował jego uwagę na stojącego za nim medyka. Zdażył zobaczyć, jak Hovan osuwa się bezwładnie do przodu i nieomal spada z pojazdu, przed

czym uratował go Shannon, chwytając z tyłu. Dan zbyt dobrze znał działanie promieni usypiających, by mieć wątpliwości co do tego, co się stało.

Policyjny helikopter przykrył ich ogniem swej najmniej szkodliwej broni. To, że przetrwali atak, zawdzięczali jedynie doskonale izolowanym kombinezonom, które miały zabezpieczać ich przed większością znanych i nieznanych niebezpieczeństw Kosmosu. Dan czuł, że jego ruchy zwolniły się nieco. Choć nie uległ sile ataku, to reagował wolniej. Mimo to Thorson dalej prowadził pojazd w kierunku wieży, dającej nadzieję, że cały układ ich usłyszy, podczas gdy Rip trzymał nieprzytomnego medyka na swym fotelu.

- Od czoła zbliża się wóz Patrolowy.

To ostrzeżenie Ripa zdenerwowało Dana. Sam zdążył już zauważyć ten srebrzysto-czarny pojazd. Był świadomy piekielnego niebezpieczeństwa, jakie niósł zadarty nos broni umieszczonej na jego dziobie i wymierzonej teraz wprost w nadjeżdżający z determinacją handlowy wóz polowy. W tym momencie zaświtała mu myśl, która, jak sądził, mogła być jedyną szansą - jeszcze raz zastosować ten sam trik, jakiego użył przy lądowaniu Rip.

- Wsadźcie Hovana w bezpieczne miejsce - rozkazał. - Mam zamiar rozwalić drzwi wieży!

Jego polecenie wywołało ożywienie. Omdlałe ciało medyka wepchnięto pod górną obudowę wozu, która stanowiła bezpieczne schronienie. Na szczęście tego typu pojazd przeznaczony był do ciężkiej

pracy na wyboistych obszarach innych planet pozbawionych dróg. Dan ufał, że uda mu się dostatecznie rozpędzić, by wedrzeć się na parter wieży bez względu na to, czy drzwi są zaryglowane, czy nie.

Dan nie potrafił powiedzieć, czy ich śmiałość zniechęciła wóz

Patrolu, czy może tamci zrezygnowali z bezpośredniego ataku ze względu na Hovana. Wdzięczny był jednak za te parę minut, w czasie których próbował zmusić protestujący silnik ciężkiego pojazdu do ostatniego już maksymalnego wysiłku. Gąsienice zaczęły wspinaczkę po stopniach wiodących ku okazałemu wejściu do wieży. Upłynęło parę sekund, nim trakcja zaczęła działać, i dopiero wtedy kierowca odetchnął z ulgą, widząc jak dziób pojazdu wznosi się, a on cały zdąża w kierunku monumentalnego wejścia.

Uderzyli w zamknięte drzwi z siłą, która nieomal wyrzuciła ich z siedzeń. Ale ta spiżowa, rzeźbiona brama nie mogła wytrzymać czołowego zderzenia z pojazdem specjalnego przeznaczenia używanym poza Ziemią, tak że skrzydła bramy ustąpiły, pozwalając im na wjazd do obszernego holu.

- Weźcie Hovana, i do podnośnika! - Po raz kolejny Dan wydał rozkaz. - Będę blokował wejście!

W każdej chwili spodziewał się poczuć na swym ciele siłę policyjnego blastera; zastanawiał się, czy aby kombinezon kosmonauty ochroni go.

W drugim końcu korytarza zgromadzili się uwięzieni teraz w budynku członkowie obsługi i odwiedzający, którzy uciekli przed

gwałtownym wtargnięciem pojazdu. Przywarli oni do ściany, widząc nadchodzących Branżowców ubranych w kombinezony kosmonautów i podtrzymujących nieprzytomnego medyka. Branżowcy używali do tego zawieszonych u pasa antygravitacyjnych bloków o niskim zasilaniu, które niwelowały prawie cały ciężar Hovana, tak że obaj mieli wolne ręce, w których trzymali usypiacze. Ani przez chwilę nie zawahali się ich użyć, pokrywając ogniem prawowitych mieszkańców wieży tak długo, aż wszyscy opadli na podłogę i znieruchomieli.

Upewniwszy się, że Ali i Rip panują nad sytuacją, Dan zajął się swoją robotą. Włączył wsteczny bieg i manewrując pojazdem, zatrzasnął oba skrzydła bramy; robił to z wprawą, jakiej nabył na trudno dostępnej powierzchni Otchłani. Następnie obrócił maszynę tak, że zablokowała zamknięte drzwi, co mogło dać im parę cennych chwil. Nikt nie mógł teraz sforsować wejścia, chyba że użyłby pełnej mocy miotacza.

Wydostał się z pojazdu i stwierdził, że pozostała trójka z Królowej zniknęła, pozostawiając uspiomych na podłodze Ziemi, którzy stawiali opór. Dan ruszył za kolegami. W opancerzonej dłoni niósł ich najistotniejszą broń, która miała poruszyć opinię publiczną - była to prowizoryczna klatka, a w niej jeden z okazów schwytanych w ładowni. Był to dowód na to, że nie nieśli żadnej zarazy, dowód, który mieli nadzieję pokazać z pomocą Hovana w transmisji na cały Układ. Dan dotarł do szybu podnośnika i stwierdził, że pomostu już nie ma. Czy Rip lub Ali mają na tyle przytomności umysłu, by automatycznie odesłać mu go na dół?

- Rip, odeślij podnośnik! - odezwał się żywo do laryngofonu

umieszczonego w jego komputerze helmu.

- Trzymaj kurs! - Usłyszał w słuchawkach opanowany głos Alego. -

Jedzie już na dół. Czy nie zapomniałeś zabrać eksponatu A?

Dan nie odpowiedział. Jego uwagę zaabsorbowało coś innego. Na

spiżowej bramie, nad której zamknięciem tak bardzo się mozolił,

pojawiło się czerwone koło, szybko przechodzące w jaskrawo żarzący

się krąg. A więc użyli miotacza! Tym sposobem Policja bardzo szybko

dostanie się do środka. Ten podnośnik...

Obawiając się, że straci równowagę w swym ciężkim stroju, Dan nie

próbował wychylać się, by popatrzeć w górę szybu. W chwili, gdy jego

pełna obaw niepewność sięgnęła zenitu, pojawił się pomost. Dan z klatką

w dłoni dał dwa kroki do przodu i wszedł do tymczasowej kryjówki. W

pierwszej chwili jego niezgrabne palce schowane w rękawicy ześliznęły

się z dźwigni, więc uderzył w nią ponownie, trochę mocniej, niż

zamierzał, tak że pomost pomknął w górę z szybkością, przeciw której

zaprotestował żołądek, choć był zaprawiony w lotach kosmicznych. Gdy

pomost zatrzymał się wiele pięter powyżej, Dan nieomal stracił

równowagę.

Nie przestał jednak myśleć. Zanim wyszedł, tak nastawił

przełączniki, by wyciągnęły podnośnik na najwyższy poziom i tam go

zatrzymały. To mogło wprawdzie uwięzić ich na piętrze radiofonicznym,

lecz z drugiej strony pozwalało zyskać na czasie, zanim dostaną się w ręce

przedstawicieli prawa.

Dan odnalazł resztę grupy w okrągłej sali głównej sekcji radiofonicznej. Rozpoznał tło, które oglądał tysiące razy w chwili przedstawiania spikerów. W rogu pokoju Rip, już bez kombinezonu, czynił energiczne wysiłki nad wciąż bezwładnym ciałem medyka. Ali zaś z ponurym wyrazem twarzy stał obok mężczyzny, który nosił insygnia technika komputerowego.

- Gotowe? - Rip podniósł wzrok, przerywając swe wysiłki.

Dan postawił klatkę i zaczął rozpinać swój ochronny kombinezon. -

Gdy startowałem, zaczęli wypalać dziurę w zewnętrznych drzwiach wejściowych.

- To wam się nie uda - odezwał się technik komputerowy.

Ali uśmiechnął się znużonym uśmiechem, zupełnie pozbawionym wesołości.

- Posłuchaj, przyjacielu. Od czasu, gdy zacząłem latać raketami, wciąż ktoś mi powtarza, że to lub tamto mi się nie uda. Spróbuj być trochę bardziej oryginalny i użyj tego, co masz między dość okazałymi uszami. Dostaliśmy się tutaj przy użyciu siły - wbrew rozkazom wylądowaliśmy w Terraportu - jesteśmy poszukiwani przez Patrol. Czy sądzisz, że jeden jedniutki człowiek jest w stanie przeszkodzić nam w zrobieniu tego, po co tu przybyliśmy? Nie rozglądaj się za posiłkami. Opryskaliśmy oba pokoje. Możesz sam obsłużyć awaryjne połączenia rozgłośni i zrobisz to. Jesteśmy Wolnymi Pośrednikami, ha! - Tamten, spoglądając na wychudzonych młodych mężczyzn, zaczął powoli tracić pewność siebie. - Widzę, że zaczynasz rozumieć, co to oznacza. Tam, na

Pograniczu, nie patyczkujemy się i idziemy na całość. Znam z pięćdziesiąt sposobów wydobycia z ciebie paru wrzasków w trzy minuty, a co najmniej dziesięć z nich nie zostawi najmniejszego śladu na twym ciele! A więc będzie transmisja, czy nie?

- Odpowiedzcie za to przed Izbą! - warknął technik.

- W porządku, ale najpierw nadamy. I może pewnego dnia statek, któremu coś się przytrafi, będzie miał łatwiejszą drogę niż my. Bierz się do roboty. Pamiętaj, że będziemy mieli włączony play-back. Będziemy wiedzieli, jeśli nie dasz nam wolnego kanału. Jak tam Rip, co z Hovanem? Rip wyglądał na zmartwionego.

- Musiał dostać pełną dawkę. Nie mogę go docucić.

Czy miał to być koniec ich śmiałego wyczynu? Mogą, każdy z osobna lub wszyscy razem, wystąpić przed kamerami, przedstawiając swą sprawę, mogą też pokazać uwięzionego stwora, lecz bez fachowego świadectwa medyka, bez popierającej ich opinii przepadli. No cóż, nie zawsze szczęście siedzi na sterowniku przez całą drogę.

Mimo to jakiś głęboki upór nie pozwalał Danowi dopuścić myśli, że przegrali. Podszedł do medyka skulonego na krześle. Najwyraźniej Hovan był głęboko uspiiony, pogrążony w półśpiączce, jaką wywołują promienie usypiające. Denerwujące było, że to właśnie on mógł dostarczyć im antidotum na coś takiego, mógł poradzić im, jak go ocucić. Za ile godzin sam się obudzi? Zanim to nastąpi, ich opór w stacji zostanie złamany - będą już pewnie w areszcie Policji lub Patrolu.

- Jest nieprzytomny. - Dan oznajmił, kładąc kres ich nadziejom.

Jedynie Ali wydawał się niewzruszony.

Stał, podtrzymując więźnia, na jego przystojnej twarzy pojawił się dziwny wyraz, jakby próbował coś sobie przypomnieć. Wreszcie przemówił, zwracając się do technika komputerowego:

- Macie tu HDOS? Tamten zdawał się dziwić.

- Myślę, że tak. Ali skinął na niego.

- Upewnij się - rozkazał, idąc za nim do drugiego pokoju.

Dan spojrział pytająco na Ripa.

- Cóż, na Ogromną Mglawicę. Jest to HDOS?

- Nie jestem inżynierem. Może to coś, co pomoże nam się stąd wydostać.

- Na przykład para skrzydeł?

Dan pozwolił sobie na odrobinę sarkazmu. Wciąż miał przed oczyma ten świecący krąg w drzwiach jakieś dwadzieścia pięter poniżej.

Humory Policji czy Patrolu nie poprawią się w miarę pokonywania kolejnych przeszkód zostawionych przez Branżowców. No cóż, nie czeka ich nic dobrego, jeśli zostaną schwytani, zanim zdołają uzyskać możliwość bezstronnego wysłuchania.

W drzwiach ukazał się Ali.

- Wnieście tu Hovana.

Rip i Dan wnieśli medyka do mniejszego pomieszczenia, gdzie zastali Alego i technika zajętych przywiązywaniem lekkiego, wykonanego z rurek, krzesła do maszyny, która dla niewprawnego oka mogła być zbiorem prętów. Zgodnie z instrukcją posadzili na krześle wciąż śpiącego

spokojnie Hovana i przywiązali go. Nic nie rozumiejąc, Rip i Dan odsunęli się, podczas gdy technik komputerowy, obserwowany bacznie przez Alego, poczynił ostatnie przygotowania i wreszcie włączył jakiś ukryty przycisk.

Po paru chwilach Dan stwierdził, że nie jest w stanie przyglądać się temu, co się dzieje. Zdawało mu się, iż przywykł już do sztuczek Hiperprzestrzeni, przyspieszenia czy anty ciężkości, lecz obroty tego krzesła, okropne kołysanie na wpół leżącej postaci sprawiły, że jego wzrok jak i zmysł równowagi znalazły się na granicy wytrzymałości. Jednak w chwili, gdy wśród buczenia tajemniczej maszyny Alego usłyszeli jęk, wiedzieli już, że zastępca mechanika rozwiązał problem - Hovan budził się.

Gdy go rozwiązali, medyk otworzył oczy i zatoczył się. Przez kilkanaście minut wciąż nie wiedział, gdzie są i w jaki sposób tam się znaleźli.

Policja pewnie była już w głównym holu na dole. Może już mają podnośnik, który ich tu przywiezie. Ali zmusił technika komputerowego, by włączył awaryjne sterowanie, mające odciąć całkowicie blok, w którym się znajdowali. Nie byli pewni jednak, czy ten środek bezpieczeństwa wystarczy. Czas szybko mijał.

Podtrzymując chwiejącego się Hovana, wrócili do studia transmisyjnego, gdzie technik komputerowy z pomocą Alego zajął miejsce przy pulpicie kontrolnym. Dan postawił klatkę ze zwierzęciem na przedzie stołu spikera i czekał, by siedli przy nim Rip i trzęsący się

medyk. Kiedy jednak Shannon nie ruszył się, Dan podniósł zdziwiony wzrok - nie było czasu na wahanie się. Stwierdził, że uwaga obu jego towarzyszy skupiona jest na nim. Rip wskazał na krzesło spikera.

- To ty jesteś od gadania w czasie transakcji, no nie? - Pełniący obowiązki dowódcy spytał krótko. - Teraz właśnie trzeba będzie pogadać w żargonie Branżowców.

Nie mieli chyba jego na myśli! Chyba jednak tak. Rzeczywiście, Szeff Ładowni był zwykle rzecznikiem statku, ale w sprawach handlowych. Jak miał tam stanąć i bronić ich sprawy? Był ostatnim, który dołączył do załogi, największy żóltodziób. Czuł, jak wysycha mu w gardle, a nerwy napinają się, lecz nie wiedział, że jego twarz i zachowanie nie zdradzają tego. Na jego kamiennej twarzy, która skrywała wewnętrzne konflikty od pierwszych dni pobytu w Centrum, uwydatniła się determinacja.

Branżowcy nie byli w stanie dostrzec wahania, z jakim zbliżał się do miejsca spikera.

Dan zdążył zaledwie usiąść, jedną dłoń trzymając na klatce, gdy Ali energicznie dał znak technikowi, by rozpoczął transmisję. Usłyszeli nad sobą słaby dźwięk, co znaczyło, że play-back zaczął działać. Tym sposobem mogli sprawdzić, czy audycja jest nadawana, czy nie. Choć Dan nie mógł zobaczyć oglądającej go w całym Układzie widowni, zdawał sobie sprawę, że pokój ten i ci, którzy w nim przebywają, są widziani w każdym włączonym w tej chwili video. Zamiast prawdziwych wydarzeń słuchacze mieli otrzymać melodramat równie niesamowity, jak ich ulubione romanse. Potrzeba było tylko wtargnięcia Patrolu, by dopełnić sceny

zbrodniczej fikcji.

Ali wskazał na niego palcem i Dan pochylił się w przód. Przed sobą miał tylko fałdy kurtyny zakrywającej całą ścianę, lecz powinien pamiętać, że siedzi naprzeciw mnóstwa twarzy, twarzy tych, których razem z Hovanem muszą przekonać, jeśli mają uratować Królową i jej załogę.

Kiedy się odezwał, jego głos był spokojny i zrównoważony, tak jakby przedstawiał w kabinie Vana jakiś związany z załadunkiem problem.

- Narody Ziemi...

Marsjanie, Wenusjanie, kolonizatorzy z Asteroidów - wewnątrz wszyscy oni pozostawali Ziemianami i na tym postanowił bazować. Był Ziemianinem, który zwraca się do swych rodaków.

- Narody Ziemi, stajemy przed wami, by szukać sprawiedliwości! -

Nie wiadomo, jak to się stało, lecz słowa przychodziły mu z łatwością, płynęły z ust, gdy on koncentrował się na świecącym przed nim świetelku.

Słowo „sprawiedliwość” zabrzmiało w jego uszach, utwierdzając go w słuszności sprawy.

ROZDZIAŁ 17

ZATRZYMANI

Tym, którzy nie przemierzają gwiazdnych szlaków, nasza sprawa może wydać się zaskakująca - mówił gładko. W miarę jak przemawiał, Dan nabierał pewności, starając się tamtym ludziom uzmysłwić, co to znaczy być poza Prawem.

- Jesteśmy poszukiwani przez Patrol, wyjęci spod Prawa jako „statek plag” - wyznał szczerze. - Lecz prawda jest następująca...

Z płynnością języka, o jaką nigdy siebie nie podejrzewał, Dan opowiedział, co wydarzyło się na Sargolu i o zarazie, którą przywieźli z tamtego świata. W odpowiednim momencie wsunął do klatki dłoń, ubraną w rękawicę, i wyciągnął wijącego się stwora, który bezskutecznie wbijał w nią swe trujące pazury. Trzymał go nad ciemnym stołem, tak by wszyscy niewidzialni widzowie mogli przekonać się, jak groźnie zmienia kolor, co czyni go tak niebezpiecznym. Dan ciągnął opowieść o dalszej pechowej podróży Królowej i o ich wymuszonym lądowaniu na Stacji-R.

- Spytajcie Inter-Solar - zwrócił się do publiczności. - Nie działaliśmy jak piraci. W swoich dokumentach mają poręczenie, które zostawiliśmy.

Następnie Dan opisał niesamowite polowanie, gdy z pomocą Hoobata udało im się wreszcie odkryć i wykluczyć niebezpieczeństwo, jak i ich lądowanie w sercu Wielkiego Pogorzeliska. Tutaj przedstawił swą wyprawę po pomoc lekarską i porwanie Hovana. W tym momencie zwrócił się do medyka.

- Oto medyk Hovan. Zgodził się wystąpić w naszym imieniu i zaświadczyć o naszej racji - racji, która mówi, że Królowa Słońca nie została opanowana przez jakąś nieznaną plagę, lecz uległa zarażeniu żywym organizmem, który znajduje się pod naszą kontrolą.

W ciągu paru niepewnych chwil zastanawiał się, czy Hovan rzeczywiście to zrobi. Wydawał się rozdygotany i chory, jak gdyby gwałtowne przebudzenie, jakiemu go poddali, oszłomiło go zbyt mocno, by mógł się pozbierać.

Korzystając jednak z wewnętrznych zapasów sił, medyk zebrał potrzebną mu energię. W tym, co miał powiedzieć, pokładali największą nadzieję. Mówiąc, od czasu do czasu wtrącał jakieś techniczne szczegóły, co, jak sądził Dan, mogło dodać powagi jego opisowi tego, co odkrył na pokładzie statku i zrobił, by przeciwdziałać skutkom trucizny. Gdy tamten skończył, Dan zabrał jeszcze głos:

- Tak, złamaliśmy Prawo - przyznał szczerze - lecz działaliśmy w samoobronie. Wszystko, o co teraz prosimy, to bezstronne zbadanie sprawy, umożliwienie nam bronięcia się, tak jak zwykle czynicie to wy przed sądami tej planety. - Koniec wywodu został mu jednak przerwany.

Z play-backu nad ich głowami ryknął inny głos, ucinając jego ostatnie słowa:

- Poddajcie się! Tu Patrol. Poddajcie się lub poniesiecie konsekwencje! - Potem nastąpił lekki trzask, świadczący, że ich kontakt ze światem zewnętrznym został zerwany. Technik komputerowy odwrócił się znad pulpitu z drwiącym uśmiechem.

- Dostali się do obwodu i odcięli nas. Jesteśmy załatwieni.

Dan wpatrywał się w klatkę, w której siedziało teraz prawie

niewidoczne, skulone zwierzę. Zrobił, co mógł - wszyscy zrobili, co mogli.

Czuł okropne zmęczenie, znużenie ogarniające nie tyle ciało, co nerwy i

ducha.

Ciszę przerwał Rip, zwracając się do technika:

- Możesz dać sygnał na dół?

- Chcecie się poddać! - Tamten ożywił się. - Tak, jest to wewnętrzny

telefon, który mogę uruchomić.

Rip wstał. Odpiął swój pas i położył go na stole, rozbijając się tym

samym. Ali i Dan bez słowa uczynili to samo. Zrobili, co do nich należało -

przedłużenie walki byłoby bezsensowne. Pełniący obowiązki kapitana

Królowej wydał ostatni rozkaz:

- Powiedz im, że schodzimy nie uzbrojeni, poddajemy się. -

Zatrzymał się przed Hovanem. - Lepiej zostań tutaj. Gdyby były jakieś

kłopoty, nie ma potrzeby, byś był wśród nas.

Hovan skinął głową i cała trójka opuściła pokój. Przypominając

sobie, co zrobił z podnośnikiem, Dan powiedział:

- Możemy być tu odcięci. Ali wzruszył ramionami.

- W takim razie możemy poczekać, aż przyjdą i nas zgarną.

Ziewnął, jego czarne oczy zapadły się mocniej.

- Nie obchodzi mnie, czy pozwolą nam spać bez końca, czy nie. Czy

myślisz - zwrócił się do Ripa - że pomogliśmy sobie choć trochę?

Rip nie zaprzeczył, ale i nie potwierdził.

- Wykorzystaliśmy naszą jedyną szansę. Reszta zależy od nich. -

Wskazał na ścianę i ruchliwy świat poza nią.

Ali uśmiechnął się ponuro.

- Widzę, że zostawiłeś to, jak to się tam nazywa, Hovanowi.

- Chciał jednego do eksperymentów - odparł Dan. - Myślę, że zapracował na niego.

- A oto nadchodzi to, na co zapracowali myśmy - wtrącił Rip, słysząc odgłosy zbliżającego się podnośnika.

- A może powinniśmy się schować? Ruchliwe brwi Alego potwierdziły jego wątpliwości. - Siły Prawa i Porządku mogą wybuchnąć siłą blastera.

Rip nie ruszał się jednak. Stał, patrząc wprost na drzwi. Pozostali dwaj, przyciągnięci czymś w jego postawie, zajęli miejsca po obu stronach, zwróciwszy twarzą ku niepewnej przyszłości. Cokolwiek miało ich spotkać, mieli stawić temu czoło razem.

Do pewnego stopnia Ali miał rację. Za chwilę ukazało się czterech mężczyzn. Wszyscy trzymali odbezpieczone blastery lub używane podczas zamieszek strzelby ogłuszające wymierzone w Branżowców. Gdy Dan wznosił otwarte dłonie nad głowę, przyjrzał się przeciwnikom. Dwaj nosili srebrzystoczarne mundury Patrolu, a pozostała dwójka ubrana była w zieleń policji ziemskiej. Wszyscy zaś wyglądali na takich, z którymi lepiej nie żartować.

Jasne było, że gotowi są nie patyczkować się z buntownikami.

Pomimo bierności załogi Królowej ich ręce zostały skrępowane z tyłu

pleców. Gdy po krótkiej rewizji stwierdzono, że nie są uzbrojeni, dwóch z przybyłych wepchnęło ich na podnośnik, druga zaś dwójka pozostała, prawdopodobnie, by stwierdzić szkody, jakie poczynili w Wieży.

Policjanci w zasadzie nie rozmawiali, wyjąwszy parę krótkich słów, które wymienili między sobą, i rzuconej ostro więźniom komendy do marszu. Wkrótce znaleźli się w holu głównym, stając przed wrakiem ich pojazdu i drzwiami, w których widać było wypaloną nierówną dziurę. Ali przyglądał się temu z właściwym dla niego spokojem.

- Dobra robota - pochwalił Dana. - Będą mieli...

- Ruszaj dalej! - Ciężka łapa spadła między jego łopatki, zmuszając go do marszu.

Kamil obrócił się, jego oczy płonęły.

- Trzymaj łapy przy sobie! Nie jesteśmy jeszcze kopalnianym motłochem. Chyba należy nam się najpierw rozprawa.

- Jesteście poszukiwani - odciął członek Patrolu z pogardą.

Dan zamarł. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak ważny jest ten aspekt w obecnym ich położeniu. Do poszukiwanych można było strzelać bez ostrzeżenia oraz podania przyczyny i nie miało to konsekwencji prawnych. Jeśli przypną im taką etykietkę, to praktycznie nie będą mieli żadnych szans. Zobaczywszy, że Ali nie ma ochoty odpowiadać, zrozumiał, że i on jest tego świadomy. Wszystko będzie zależało od tego, jak duże wrażenie zrobiło ich wystąpienie. Jeśli opinia publiczna poprze ich, wtedy będą mieli szansę obrony prawnej. Inaczej księżycowe kopalnie będą najlepszym wyrokiem, o jakim mogą marzyć.

Wypchnięto ich na zewnątrz w oślepiający blask słońca. Zobaczyli Królową. Promienie rodzimego słońca odbijały się w jej odrapanej meteorom burcie. Wokół statku w bezpiecznej odległości rozstawiono niewielki, jak im się zdawało, korpus zmechanizowany. Władze upewniały się, że żaden nowy buntownik nie wyskoczy z wnętrza.

Dan spodziewał się, że załadują ich do jakiegoś pojazdu lub helikoptera i wywozą. Zamiast tego kazano im iść między szpalerem przenośnych miotaczy i innego sprzętu na otwartą przestrzeń, gdzie mogli ich zobaczyć wszyscy pełniący obowiązki przy ekranie.

Przy głośniku stał oficer Patrolu, przypięta do jego piersi odznaka miecza pogromcy odbijała słońce, oślepiając patrzących. Kiedy zobaczył, że więźniowie są już na miejscu, wziął do ręki mikrofon i przemówił - jego głos słyhać było wyraźnie na całym terenie i prawdopodobnie równie dobrze w zamkniętym statku:

- Macie pięć minut na otwarcie luku. Wasi ludzie zostali schwytani.

Macie pięć minut na otwarcie luku i poddanie się.

Ali cmoknął.

- Ciekawe, jak ma zamiar to zrobić? - Rzucił pytanie w powietrze i przypadkowo w stronę formujących wokół nich czworobok strażników.

- Będzie potrzebował czegoś więcej niż miotacza do otwarcia staruszki Królowej, jeśli odrzuci jego propozycję.

Dan przyznał mu rację. Miał nadzieję, że Weeks wytrzyma, przynajmniej do momentu, gdy dowiedzą się czegoś więcej o swojej przyszłości. Żadne narzędzie ani broń, jakie mógł dostrzec, nie były w

stanie przebić się przez powłokę Królowej. Na pokładzie mieli dość zapasów, by Weeks i jego podopieczni przetrwali co najmniej tydzień. A ponieważ Tau zaczął wykazywać oznaki wychodzenia ze śpiączki, więc załoga mogła liczyć na zwiększenie swych mocy obronnych do tego czasu. Wszystko zależało od decyzji Weeksa.

Żaden z luków na lśniących burtach statku nie otworzył się.

Wrażenie bezwładnego wraku, jakie sprawiała Królowa, było całą odpowiedzią na komendę. Dan nabierał pewności. Weeks podjął wyzwanie, dalej będzie nękał policję i Patrol.

Nie dane im było przekonać się, jak długo trwałoby oblężenie Królowej, gdyż na planie pojawiła się nowa postać. Hovan, eskortowany przez ludzi Patrolu, przecisnął się przez kordon i podszedł do oficera przy mikrofonie. Wyglądało na to, że ma zamiar podjąć walkę. Rozmowę przy mikrofonie słyszeć było na całym placu, co nie od razu sobie uświadomili.

- W środku znajdują się chorzy. - Zagrzmiął głos Hovana. -

Domagam się prawa wykonywania swego obowiązku.

- Jeśli się poddadzą, otrzymają potrzebną im pomoc - odpowiedział mu oficer, lecz jego słowa nie zrobiły żadnego wrażenia na medyku z Pogranicza. Dan nie wiedział, że w osobie tamtego wybrał lepszego popiecznika, niż mógł się spodziewać.

- Pro publico bono! - Hovan wydał wojenny okrzyk swej Służby. -

Dla Dobra Publicznego.

- „Statek plag”...? - Zaczął oficer, lecz Hovan zbył go niecierpliwym

ruchem ręki.

- Bzdura! - Jego głos rozbrzmiewał coraz donośniej. - Na pokładzie nie ma żadnej zarazy. Jestem gotów potwierdzić to przed Radą. Jeśli odmawiacie tym ludziom lekarskiej pomocy, która jest niezbędna, to przedstawię tę sprawę w mojej Komisji.

Dan wstrzymał oddech, Hovan zaczynał „krążyć po ich orbicie”. Nie był członkiem załogi Królowej i miał prawo być niezadowolony ze sposobu, w jaki go potraktowali; jego obecna postawa mogła więc istotnie wpłynąć na wydarzenia.

Oficer Patrolu, który nie chciał dać za wygraną, odpowiedział mu:

- Jeśli jest pan w stanie dostać się na pokład, proszę iść.

Hovan wyrwał zaskoczonemu oficerowi mikrofon.

- Weeks! - odezwał się rozkazująco. - Wchodzę na pokład - sam!

Oczy wszystkich zwróciły się na statek i przez chwilę wydawało się, że Weeks nie uwierzył medykowi. Po chwili jednak na spiczastym dziobie statku otworzył się luk ewakuacyjny, używany tylko w wypadkach skrajnego niebezpieczeństwa, a z niego zaczęła opadać powoli plastikowa drabinka.

Na lewo od siebie Dan dostrzegł kątem oka jakiś błysk zdradzający ruch. Pomimo skrzepowania rzucił się na policjanta, który wymierzył ogłuszającą strzelbę w otwarty luk. Uderzył ramieniem w brzuch tamtego, a ciężar jego ciała pociągnął ich gwałtownie na betonowe podłoże. Rip krzyknął ostrzegawczo i czyjeś dłonie chwyciły brutalnie bezbronnego Zastępcę Szefa Ładowni.

Postawiono go na nogi, w ustach czuł słodycz krwi w miejscu, gdzie otrzymał zadany przez przestraszonego i zaskoczonego oficera cios, który rozciął mu wargę o zęby. Splunął krwią i popatrzył groźnie na otaczających go rozgniewanych ludzi.

- Czemu go nie kopniesz? - spytał Ali, jego głos był pełen jawnej pogardy. - Ma przecież związane ręce, masz łatwy cel.

- Co się tu dzieje? - spytał oficer, który przedarł się przez krąg strażników. Policjant wstał, podnosząc strzelbę, którą Dan wytrącił mu w czasie ataku.

- Pański chłopak - odparł natychmiast Ali - szukał jakiegoś celu wewnątrz luku. Czy tak wygląda wasze zawieszenie broni, sir?

Odpowiedzią było wściekle spojrzenie, po czym strzelec został odesłany na tyły. Odzyskując jasność umysłu, Dan spojrział na Królową.

Hovan wspinał się po drabinie - był już na długość ramienia od uchylonego luku. Fakt, że medyk zdołał tyle osiągnąć, był, choć w niewielkim stopniu, obiecujący. Niedługo jednak mogli cieszyć się swym małym zwycięstwem. Wyprowadzono ich z placu, wsadzono do pojazdu i odwieziono do odległego o kilkanaście mil miasta. Zatrzymano ich w

areszcie Patrolu, a nie Terrapolicji. Dan nie wiedział, czy należy to brać za dobrą monetę. Jako Wolny Pośrednik odczuwał umiarkowany respekt

dla organizacji, którą oglądał w akcji na Otchłani. Po pewnym czasie

znaleźli się w pustym pokoju. Jedynym meblem była tam ławka, na której już bez kajdanków usiedli z ulgą. Dan zrozumiał ostrzegawczy gest Alego - poddani byli pewnie ukrytej obserwacji; musiał być również ktoś w

jednym z małych, znajdujących się tam pokoi, kto im się przysłuchiwał.

- Nie wiedzą chyba, na co się zdecydować. - Dan oparł się plecami o ścianę. - Możemy być albo skończonymi przestępcami, albo bohaterami.

Chcą, by czas pokazał.

- Jeśli jesteśmy bohaterami - spytał trochę zrzędlawie - to dlaczego biedzimy się tu zamknięci? Chętnie zażyłbym paru ziemskich uciech, poczynając od solidnego posiłku.

- Żadnych odcisków palców, żadnych psychotestów - rozważał Rip. -

Tak, jeszcze nas nie przepuścili przez maszynkę.

- Z pewnością nie zapomnieli o nas. Wytrzymaj twarz, dzieciaku - Ali zwrócił się do Dana - ślinisz się jeszcze!

Zastępca Szefa Ładowni potarł brodę dłonią, którą umazał we krwi płynącej z rany na podbródku. Na szczęście zęby pozostały na miejscu.

- Przydałby się Hovan, żeby poczytał im jeszcze trochę o Prawie - zauważył Kamil. - Powinieneś mieć opiekę lekarską.

Dan ponownie przetarł twarz. Nie potrzebował aż takiej troskliwości, lecz domyślał się, że Ali mówi ze względu na tych, którzy ich obserwowali.

- Co do Hovana, to zastanawiam się, co zrobił z tym szkodnikiem, którego miał pilnować. Nie miał go, zdaje się, ze sobą, gdy wychodził z wieży - spytał Ripa.

- Jeśli się zgubił - Dan zdecydował się dać trzymającym ich w więzieniu trochę do myślenia - to będą mieli kłopoty. Jest praktycznie niewidoczny i do tego jadowity. Niewykluczone, że może się rozmnażać.

Nic o nim nie wiemy.

Ali roześmiał się.

**- Niezły numer! Wyobraźcie sobie setkę takich miłych potworków
myszujących po stacji nadawczej, podczas gdy kapitan Jellico ma
jedynego na Ziemi Hoobata! Będzie mógł postawić swoje warunki w
zamian za opanowanie zarazy. Cała okolica będzie pełna śpiochów, zanim
przez to nie przejdą.**

**Czy ta uwaga skłoniła paru ludzi Patrolu, by pognali do Wieży w
poszukiwaniu schwytanego na statku stworzenia? Myśl o tym dodawała
więźniom trochę otuchy.**

**Mniej więcej za godzinę otrzymali posiłek, cicho i bez jakiegokolwiek
asysty. Przez otwór znajdujący się w ścianie tuż nad podłogą wsunięto
trzy tace. Rip zmarszczył nos.**

**- Tak, złapałem wektor! Jesteśmy przecież zarażeni, tylko patrzeć,
jak pokryjemy się czerwoną wysypką!**

**Ali podniósł termopokrywki pojemników, po czym wstał nagle i
skłonił się w stronę pustej ściany.**

**- Wielkie, wielkie dzięki - przemówił uroczyście. - Chyba najlepsze,
co najmniej porcje zastępcy dowódcy. Nie omieszkamy wyrazić
najwyższego uznania za tę troskliwość panującym władzom podczas
przesłuchania.**

**Jedzenie było rzeczywiście dobre. Dan jadł ostrożnie ze względu na
uszkodzoną wargę. Cała przygoda zaczynała przybierać nieco
pomyślniejszy obrót. To, że nie zastosowano wobec nich procedury, jakiej**

podlegali przestępcy, ten wspaniały posilek - mogły świadczyć o

pomyślnym końcu całej sprawy. Patrol nie zdecydował się jeszcze, jak z nimi postąpić.

- Nakarmili nas - zauważył Ali odstawiając z brzękiem na tacę

ostatnie naczynie. - Teraz należałoby się spodziewać, że pozwolą pospać godziwie. Dobrze by mi zrobiło parę dni i nocy spędzonych na koi.

Ta uwaga nie zrobiła jednak na nikim wrażenia i cała trójka

siedziała dalej na ławce, a czas płynął wolno. Według zegarka Dana

musiała być teraz noc, choć jednostajne światło w pozbawionym okien

pokoju nie ulegało zmianie. Co Hovan robił na pokładzie Królowej? Czy

udało mu się postawić kogoś na nogi? Czy Królowa wciąż pozostaje nie

zdobyta, czy może są już na niej Terrapolicja lub Patrol?

Ciało miał obolale, był tak zmęczony, że oczy go piekły, jakby ktoś

wsypał mu pod powieki gorącego piasku. Głowa sama opadła, gdy zapadał

raz po raz w krótką drzemkę, z której budził się nagle, by znów zasypiać.

Rip zasnął oparty plecami i głową o ścianę, Ali zaś rozparty siedział z

zamkniętymi oczami. Zastępca Szefa Ładowni był przekonany, że Kamil

jest bardziej czujny niż jego towarzysze, jakby oczekiwał na coś, co

według niego ma się wkrótce wydarzyć.

Dan śnił. Jeszcze raz szedł po rafie wystającej z sargolskiego morza.

Teraz jednak nie miał broni, a z morza wynurzył się gorp. Gdy dotrze do

znajdującej się przed nim wyrwy w obmywanej wodą skale, pajęcze

obrzydlistwo zaatakuje, lecz on będzie bezbronny. Mimo to musi iść dalej,

gdyż nie potrafi panować nad tym, co robi.

- Obudź się! - Poczul na ramieniu dłoń Alego, który potrząsał nim w przód i tył, starając się być delikatnym. - Czy musisz udawać kosmicznego wariata?

- Ten gorp - Dan oprzytomniał i zarumienił się. Nie chciał wyjawić snu, w szczególności nie Alemu, którego uszczypliwość zawsze wprawiała go w zakłopotanie.

- Nie ma tu żadnych gorpów. Jedyne...

Słowa Kamila zagłuszył szcęk metalu o metal otwieranych drzwi.

Nie ukazał się w nich jednak ubrany w srebrzystoczarny kombinezon strażnik, który miał ich zaprowadzić na rozprawę. Na progu stał Van Ryck, uśmiechając się z wyrazem swej zwykłej trochę sennej życzliwości.

- No proszę, oto ci, za którymi tak tęskniliśmy. - Jego radosny głos był najpiękniejszym, jaki Dan kiedykolwiek usłyszał.

ROZDZIAŁ 18

KONIEC TRANSAKCJI

- No i znaleźliśmy się tutaj. - Rip zakończył swe sprawozdanie

rzeczowo, jakby opowiadał o najzwyczajszej podróży, powiedzmy tej z Terraportu do Luna City, o zwykłym, pozbawionym przygód transporcie towaru.

Cała załoga Królowej Słońca, z wyjątkiem Tau, zebrała się w jednym z wielu pomieszczeń Kwatery Głównej Patrolu. Sądząc po standardzie ich sali konferencyjnej, musieli zostać ocenieni lepiej niż wyjęci spod prawa przestępcy. Z drugiej strony jednak wiedzieli, że na nic nie zdałyby się próby opuszczenia tego budynku.

Van Ryck siedział niewzruszony na swym miejscu, splótłszy dłonie na swym dość okazałym brzuchu. Siedział równie nieruchomo, jak i kapitan, podczas gdy Rip opisywał wszystkie przygody od czasu ich choroby. Starsi oficerowie powstrzymywali się od komentarzy, pomimo że pozostali wykazywali ożywione zainteresowanie opowieścią. Dopiero po niej Jellico zwrócił się do Szefa Ładowni.

- I co ty na to, Van?

- Co się stało, to się nie odstanie.

Uniesienie Dana zniknęło jak za dmuchnięciem sargolskiego wichru. Szef Ładowni nie był zadowolony. Znaczyło to, że istniała inna możliwość rozwiązania tego problemu, lecz młodszy członkowie załogi wykazali zbyt małe doświadczenie.

- Gdybyśmy dziś odpalili, to moglibyśmy dotrzymać umowy. Dan

podskoczył.

- No właśnie!

To był fakt, o którym zapomnieli, szukając wyjścia z całej tej kabały.

Nie będzie możliwości odlotu dzisiaj ani prawdopodobnie w ciągu najbliższych dni, ani w ogóle kiedykolwiek, jeśli sprawy obrócą się przeciwko nim. Tak więc zerwą kontrakt i w związku z tym Rada ich odpowiednio potraktuje. Dan wzdrygnął się na myśl o tym. Można było walczyć z Patrolem - od dawna istniał pewien rodzaj rywalizacji między Wolnymi Pośrednikami a Policją Kosmiczną. Nie można było jednak zadzierać z Radą i jednocześnie pozostać w posiadaniu licencji pozwalającej na działanie w Kosmosie. Zerwany kontrakt mógł wykreślić kogoś spośród gwiazd na zawsze. Kapitan Jellico ponuro przyjął tę uwagę.

- Eysie tylko czekają, by zająć nasze miejsce. Chciałbym wiedzieć, dlaczego byli tak pewni, że mamy na statku plagę.

Van Ryck parsknął.

- Mogę dać ci co najmniej pięć odpowiedzi: po pierwsze, mogą znać skłonności tych zwierząt do drewna, wtedy łatwo jest przewidzieć rezultat przewożenia takiego ładunku. Mogli również podłożyć je nam przez Salarików. Nigdy tego nie udowodnimy. Myślę, że mają zamiar przejąć kontrakt na Sargolu, chyba że... - urwał, wpatrując się przed siebie w ścianę między Ripem a Danem. Jego pomocnik wiedział, iż rozważa jakąś nową myśl. Pomysły Vana zawsze były godne uwagi, więc Jellico nie przeszkadzał mu teraz, zadając zbyteczne pytania.

To właśnie Rip zwrócił się po chwili bezpośrednio do kapitana:

- Sir, czy wiadomo, jakie mają w stosunku do nas plany?

Kapitan Jellico chrząknął i odpowiedział, uśmiechając się sardonicznie:

- Według mnie zajęci są teraz sumowaniem listy przestępstw, jakich wasza czwórka się dopuściła. Może nawet musieli zapuścić ten duży komputer HG. Nie ma jeszcze wyników. Przekazaliśmy im automatyczny zapis lotu, a to mogło tylko dodać im materiału do przemyślenia.

Dan zastanawiał się, co powiedzą eksperci po obejrzeniu automatycznego zapisu ostatnich tygodni Królowej - rejestr lądowania na Wielkim Pogorzelsku powinien być dla nich małym zaskoczeniem. Van Ryck wstał i podszedł do drzwi pokoju. Szybkość, z jaką je otworzono, upewniła Dana, że byli pod stałą obserwacją.

- Sprawy służbowe - odezwał się Szef Ładowni - odnośnie do kontraktu. Zaprowadźcie mnie do zamkniętej kabiny komputerowej. Dla Służby Ochronnej kontrakty nie były tak „święte”, jak dla Pośredników, lecz Handel miał swoje prawa, więc Van Ryck jako osoba postronna wobec kłopotów Królowej, osoba, której formalnie nie można było o nic oskarżyć, został wyprowadzony z pokoju. Drzwi zamknęły się za nim, przypominając pozostałym, że nie są wolni. Jellico ponownie rozparł się w swym krześle. Długie lata bliskiej przyjaźni nauczyły go, że w sprawach Handlu i obsługi towarowej Szefowi Ładowni można było zaufać. Potrafił on również wymyślić sposób wyplątania ich z kłopotów, których nie można było uniknąć, stosując bardziej bezpośrednie metody.

Obecny problem próbowano rozwiązać już metodą bezpośrednią - reszta należała do Vana i kapitan chętnie zrzekł się odpowiedzialności.

Niedługo jednak pozostali sami. Drzwi otworzyły się ponownie i do pokoju wszedł wyższy rangą członek Patrolu. Żaden z Wolnych Pośredników nie podniósł się. Jako członkowie innej Służby uważali się za równych. Szczycili się tym, że ich brunatne tuniki często były zwiastunami galaktycznej cywilizacji, której symbol stanowiły czerń i srebro.

Mimo to Rip, Ali, Dan i Weeks starali się udzielać najbardziej wyczerpujących odpowiedzi na lawinę zadawanych im pytań.

Szczegółowo opisali swą wizytę na Stacji-R, potem lądowanie na Wielkim Pogorzelsku i wreszcie porwanie Hovana. Uparte przekonanie Dana o słuszności postępowania rosło w miarę nasilania się pytań. Jak zachowałby się w takich okolicznościach ten dowódca albo ten oficer skrzydłowy, czy też ten starszy zwiadowca siedzący tu teraz? Za każdym razem, gdy sugerowali, że w którymś momencie postępował niezgodnie z Prawem, Dan truchlał.

Oczywiste, że na Pograniczu musiały obowiązywać prawo i porządek. Bez wątplenia też musiały strzec życia na spokojniejszych planetach wewnętrznych układów. Był jak najbardziej za tym na Otchłani; ucieszył się nawet na widok Patrolu, który blasterem utorował sobie drogę do pirackiej kwatery założonej na tym na wpół wymarłym świecie. Zawsze podziwiał ich w akcji, ale podzielał opinię wszystkich Wolnych Pośredników, iż zbyt często prawo narzucane siłą Patrolu stało

po stronie możnych i potężnych Kompanii. Prawo to mogło być także wypaczone, a przeprowadzane przez Patrol akcje, choć formalnie legalne, nie zawsze broniły tych, którzy nie mieli dość funduszy, by ubiegać się o swoje w odległych sądach Rady. Dan był pewien, że i teraz Eysie użyli całych swych wpływów przeciwko ludziom z Królowej.

Na koniec całego przesłuchania odczytano im z taśmy ich wypowiedzi, a oni podpisali je kciukami. Dan rozmyślał, czy były to sprawozdania, czy wyznania. Być może podpisy złożone pod tymi szczerymi relacjami zaprowadzą ich do księżycowych kopalń. Na razie jednak nikt nie kwapił się ich stąd zabrać.

Kiedy Weeks przypieczętował dół taśmy swym kciukiem, kapitan Jellico spojrział na zegarek i zabrał głos:

- To już dziesięć godzin - zauważył. - Moi ludzie potrzebują odpoczynku, wszyscy jesteśmy głodni. Czy skończyliście?

Rzecznikiem tamtych był Dowódca:

- Macie pozostać jeszcze w odosobnieniu, kapitanie. Pański statek nie został jeszcze uznany za zwolniony, ale zostaną wam przydzielone kwatery.

Po raz kolejny poprowadzono ich pozbawionymi okien korytarzami do innej części rozległych pomieszczeń Kwatery Głównej Patrolu. Tam również nie było okien, ale były koje i mała mesa. Ali, Dan i Rip położyli się, przedkładając sen nad posiłek. Ostatnim widokiem, jaki Dan zapamiętał, był Jellico rozprawiający żywo ze Steenem Wilcoxem. Obaj popijali z kubków najprawdziwszą, gorącą ziemską kawę.

Po dwunastu godzinach snu cała trójka przestała już być tak zadowolona ze swego położenia. Nikt do nich nie zaglądał, a i Van Ryck nie wracał. Fakt ten dawał im odrobinę nadziei, gdyż wierzyli, że walczy on w ich sprawie. Cała jego handlowa wiedza, umiejętność obchodzenia przepisów i targowania się musiały, według nich, przynieść im zwycięstwo.

Do pokoju wszedł medyk Tau z Hovanem. Obaj wyglądali na zmęczonych, lecz zadowolonych. To, co powiedzieli, przywróciło wiarę niepewnie dotychczas czującym się Branzowcom.

- Zanudziliśmy ich tym - powiedzieli. - Są gotowi przyznać, że przyczyną były jadowite stworzenia, a nie żadna plaga. A właśnie - uśmiechnął się do Jellico i rozejrzał pytająco - gdzie jest Van? To leży w jego gestii. Mamy zamiar zrobić interes na tych egzemplarzach, które chłopcy zamrozili. Ubiega się o nie Terra Labo. Powiedziałem, że pogadam o tym z Yanem, on może na tym nieźle zarobić. Gdzie jest?

- Poszedł gdzieś w sprawie naszego kontraktu - odparł Jellico. - Co nowego w naszej sprawie?

- Muszę skreślić was z listy „statków plag”. Stanowimy też dużą rewelację. Tam, na zewnątrz, krąży chyba ze dwudziestu video-operatorów próbujących się tu dostać, by przeprowadzić wywiady na gorąco. Wygląda na to, że chłopcy - tu wskazał palcem na asystentów - trochę namieszali. Wewnątrzsłoneczna inwazja nie byłaby większą rewelacją. Ludzie są zaniepokojeni. Byłem już dwukrotnie na video, chcą też dobrać się do Hovana.

Medyk z Pogranicza przytaknął mu.

- Chcą, żebym występował w trzytygodniowym cyklu - zachichotał. -

Zaprosili mnie też do wystąpienia w „Bohaterach Gwiezdných Szlaków” i

dwu quizach. Co do ciebie, młody przestępczo - zwrócił się do Dana - to

będziesz miał do czynienia z co najmniej trzema sieciami. Zdaje się, że

dobrze prezentujesz się na ekranie. - Tę ostatnią uwagę dodał tak, jakby

to było jakieś oskarżenie, także Dan poczuł się zawstydzony. - Twój

szalony numer zrobił swoje. A jeśli chodzi o pana, kapitanie, to trzech

ludzi chce kupić pańskiego Hoobata. Pragną chyba pokazać, jak on

załatwia te robale. Proszę więc być przygotowanym.

Dan wzdrygnął się, gdy pomyślał o sobie obok Queexa w głównych

wiadomościach. Jedyne, o czym marzył, to wydostać się z Ziemi i udać na

jakiś miły, nieskomplikowany świat, gdzie problemy rozwiązuje się za

pomocą usypiaczy oraz blastera i gdzie nie są znane ekrany video.

Dowiedziawszy się, co ich czeka na zewnątrz, członkowie załogi

Królowej zaczęli być wdzięczni za uwięzienie w sekcji kwarantanny. Czas

jednak mijał, a Szef Ładowni nie wracał. Wzmagało to ich niepokój. Teraz

byli już co prawda nieomal pewni, że kara wymierzona przez Patrol lub

Terrapolicję nie będzie zbyt drastyczna. Zerwany kontrakt był jednak

czymś zupełnie innym, tak poważna sprawa mogła unieruchomić ich

dużo skuteczniej niż jakiegokolwiek prawne rozporządzenie. Jellico zaczął

krążyć po pokoju, Tang i Wilcox grali w przestrzenne cztero wymiar o we

szachy, lecz popełniali niezliczone błędy, Stotz zaś gapił się

melancholijnie w ścianę, zbyt zaabsorbowany swymi ponurymi myślami,

by wydostać się z mesy.

Czas przestał już mieć dla nich tak wielkie znaczenie, wyjąwszy może fakt, że przypominał im o pewnej już teraz porażce w przedsięwzięciu na Sargolu. Minał drugi dzień ich uwięzienia, gdy zjawił się wreszcie Van Ryck. Szef Ładowni wyglądał na zmęczonego, lecz nie wykazywał zaniepokojenia. Wręcz przeciwnie, wchodząc nucił coś, co według niego było popularną melodią.

Jellico nie zadawał pytań. Patrzył jedynie na swego zaufanego oficera z figlarnie wzniesionymi brwiami. Reszta otoczyła Vana, po którym widać było, że jest zadowolony z siebie. To mogło znaczyć tylko, iż w jakiś cudowny sposób udało mu się sprowadzić ich do „równego lądowania”, iż wybronił Królową od kłopotów i doprowadził do sytuacji, którą można było opanować.

Zatrzymał się na progu i spojrzał na Dana, Alego i Ripa z udawaną surowością.

- Niedobrzy chłopcy - powiedział, potrząsając głową i przeciągając przymiotnik. - Zostaliście zdegradowani, każdy o dziesięć pozycji na liście.

Dan szybko przeliczył, że znaczyło to powrót na najniższy szczebel.

A może i niżej, choć nie wyobrażał sobie, jak można spaść poniżej rangi otrzymanej w chwili przydziału. Mimo to wiadomość ta raczej poprawiła mu humor, niż go zmartwiła. W porównaniu ze skazaniem na paskudne księżycowe kopalnie taka degradacja była niczym. Poza tym wiedział, że najgorsze wiadomości Van Ryck podaje na samym początku.

- Traciecie honoraria za tę podróż - ciągnął Szef Ładowni.

Tutaj wtrącił Jellico:

- Grzywna pokładowa?

Gdy Van Ryck skinął głową, Jellico dodał:

- Statek to pokrywa.

- I ja im to powiedziałem - przerwał oficer. - Królowa otrzymała zakaz lądowania na Ziemi przez dziesięć lat słonecznych.

I to było do przyjęcia. Inni Wolni Pośrednicy wracali do swych rodzinnych portów raz na jakieś ćwierć wieku. Wszyscy odetchnęli z ulgą

- było to i tak dużo mniej, niż się spodziewali.

- Żadnych wycieczek na Ziemię.

W porządku, nie wylądują na Ziemi. Po ostatnich doświadczeniach

nie zapalali do Terraport miłością, która kazałaby im zostać tam dłużej, niż jest to konieczne.

- Tracimy też kontrakt na Sargolu...

To ich zabolalo. Chociaż w zasadzie pogodzili się z taką ewentualnością w chwili, gdy zdali sobie sprawę, że nie mogą wrócić na wonną planetę.

- Na rzecz Inter-Solaru? - Wilcox zadał to ważne pytanie.

Na twarzy Van Rycka pojawił się szeroki uśmiech, jakby strata, którą właśnie ogłosił, miała przynieść im jakąś korzyść.

- Nie, na rzecz Konsorcjum!

- Konsorcjum? - Powtórzył kapitan, a reszta mu zawtórowała.

Odtąd to główny wróg Inter-Solaru...?

- Zawarliśmy z Konsorcjum umowę - poinformował ich Van Ryck. -

Nie chciałem, by Inter-Solar wzbogacili się na naszej stracie. Poszedłem więc do Vickersa z Konsorcjum i powiedziałem, w czym rzecz. Wie, że my byliśmy na Sargolu mocno zaangażowani, a Eysie nie. Poza tym tylko czekał, by móc przyłożyć im do tyłka blaster. Lekki krążownik wystartuje jutro z ładunkiem do Kapłanów Burzy - będzie na czas.

Tak, lekki krążownik, jeden z najszybszych statków będących w posiadaniu dużych Kompanii, mógł dolecieć na Sargol nawet z lekkim wyprzedzeniem terminu.

Stotz pokiwał z uznaniem głową, słysząc o takim rozwiązaniu.

- Lecę z nim! - To poderwało wszystkich. Van Ryck miał opuścić

Królową. To tak, jakby kapitan Jellico ogłosił nagle, że odchodzi na emeryturę i ma zamiar uprawiać wodorosty. - Tylko na tę jedną podróż - zapewnił ich spiesźnie. - Pomogę im wskoczyć na wspólny wektor z Kapłanami Burzy i dokonam przekazania sprawy tak, by ostatecznie odsunąć Eysie.

W tym momencie przerwał mu kapitan Jellico:

- Czy chcesz powiedzieć, że Konsorcjum nie przejmuje po prostu naszych udziałów, lecz je wykupuje? Cóż to za transakcja?

Uśmiechając się promiennie, Van Ryck pokiwał głową potakująco.

- Przejmują nasz kontrakt i naszą pozycję u Salarików.

- W zamian za co? - Spytał w imieniu wszystkich Steen Wilcox.

- Za dwudziestopięciotysięczny kredyt i usługi pocztowe między

Xeeho i Transworld, to planety z pogranicza. Są dostatecznie daleko od

**Ziemi, by ominąć nakaz banicji. Patrol będzie nas eskortował, żeby
sprawdzić, czy zabieramy się do pracy jak dobrzy mali kosmonauci.**

**Będziemy mieli spokojną, miłą robotę za stałą pensję na dwa lata. A jak
wszystkie świetliste władze zapomną o nas, z powrotem wskoczymy na
handlowe szlaki.**

**A co z wynagrodzeniem? Chodzi o pocztę pierwszej czy drugiej
klasy? Kiedy zaczynamy?**

**- Płacą po każdym kursie. Stawki pokładowe - odpowiadał na
kolejne zadawane pytania. - Poczta pierwszej, drugiej i trzeciej klasy,
wszystko, co ma rządową pieczęć i może mieć jakiegokolwiek znaczenie w
tamtych stronach! Zaczynacie, gdy tylko dotrzecie na Xeeho i zmienicie
człowieka Konsorcjum, który obsługiwał ten rejon.**

- Podczas gdy ty polecisz na Sargol - skomentował Jellico.

**- Podczas gdy ja odbędę jedną podróż na Sargol. Obejdziecie się
beze mnie. - Opuścił swą olbrzymią dłoń na ramię Dana i ścisnął je. -**

**Sądząc po tym, jak nasi juniorzy pomogli nam wykaraskać się z ostatnich
kłopotów, możemy chyba zaufać im trochę więcej niż dotychczas. A poza
tym, w czasie kursu pocztowego SzeF Ładowni ma tyle roboty, co kot
napłakał. W sprawach załadunku możecie zdać się na Thorsona, na tym
akurat on już się zna.**

**Dan zastanawiał się, czy to dwuznaczne zakończenie stanowiło
pochwałę czy ostrzeżenie.**

**- Zanim się obejrzyście, już będę z powrotem! Konsorcjum wysadzi
mnie na Transworld i tam do was dołączę w czasie drugiego kursu.**

Chociaż raz nie będziemy musieli się o nic martwić. Nic nie może się wydarzyć w czasie pocztowego kursu.

Kiwnął głową w stronę najmłodszych członków załogi.

- Czekają was bardzo nudny okres, który dobrze wam zrobi. Będziecie mieli okazję nauczyć się swojej roboty tak, byście mogli odzyskać utracone stopnie przy następnym przydziale. No - ruszył szybko w stronę drzwi - przeladują mnie na krążownik Konsorcjum. Rozumiem, że nie macie ochoty spotkać się z operatorami video.

Roześmiał się, usłyszawszy ich pośpieszne zapewnienia. - No cóż, Patrol też nie chciałby wysłuchiwać tej paplaniny video o „brutalnym przejęciu oficjalnych wiadomości” i dlatego gdzieś za godzinę wypuszczają was tylnym wyjściem. Królowa już jest w kołysce, a połowy skuter zawiezie was do niej. Obsłużą was przy starcie do Luna City. Tam możecie uzupełnić wyposażenie niezbędne w przestrzeni kosmicznej poza strefą przyciągania Ziemi. Szczerze mówiąc, im szybciej opuścicie ten świat, tym bardziej wszyscy będą szczęśliwi - Zarówno tu, jak i w Radzie. Dobrze chyba będzie trochę się przycząić i pozwolić im zapomnieć o istnieniu Królowej Słońca i jej zwariowanej załogi. Razem czy osobno udało wam się złamać, lub przynajmniej naruszyć, połowę istniejących przepisów, więc chcieliby wymazać nas z pamięci.

Kapitan Jellico wstał.

- Ich pragnienie naszego odlotu jest chyba równie silne, jak nasze.

Znowu wyciągnąłeś nas z kłopotów, Van, i szczęśliwie tak niewielkim kosztem.

Van Ryck przewrócił oczami.

- Nawet nie wiecie jak szczęśliwie. Cieszcie się, że Konsorcjum

nienawidzi nawet przestrzeni, w której latają statki Inter-Solaru.

Mogliśmy to wykorzystać dla siebie. Wystarczy pozwolić wielkoludom

skoczyć sobie do gardeł, a przestaną nas niepokoić. To tylko propozycja,

ale działa. W każdym razie czekają nas błogosławione i spokojne mroki.

Dzięki Duchowi Wolnego Kosmosu nie ma praktycznie możliwości

napytania sobie biedy na bezpiecznych szlakach handlowych.

Pomimo faktu, że Szef Ładowni - Van Ryck - znał Królową Słońca,

jak i temperamenty jej załogi, to takie emfatyczne stwierdzenie było

stanowczo zbyt optymistyczne.